

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/73

1953



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI:

INŻYNIERIA DUSZ

M. SOKOLNICKI:

NIEMCY PO WIELKIEJ PRZEGRANEJ

W. ZALESKI:

DZIEŃ W WYBRANOWIE

SPIS RZECZY :

Juliusz Mieroszewski :	<i>Inżynieria dusz</i>	3
Jurij Serech :	<i>Zachód jest Zachodem — Wschód jest Wschodem</i>	9
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmenty dziennika</i>	25
◆		
Marian Pankowski :	<i>Ballada o pogrzebanym życiu</i>	37
Rudolf Hagelstange :	<i>Wyjątki z „Ballady o pogrze- banym życiu”</i>	39
Danuta Bienkowska :	<i>Psalmy z Holloway Road</i>	41

ARCHIWUM POLITYCZNE

Paweł Hostowiec :	<i>Istotne i nieistotne aspekty wy- borów niemieckich</i>	43
Michał Sokolnicki :	<i>Niemcy po Wielkiej Przegranej</i>	48
Londyńczyk :	<i>Ludzie stamtąd</i>	70

KRAJ

Wojciech Zaleski :	<i>Dzień w Wybranowie</i>	73
--------------------	---------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

A. M. :	<i>Fakty i wnioski</i>	85
Józef W. Włodarkiewicz :	<i>Z socjologii sportu</i>	92

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Kazimierz Iranek-Osmecki :	<i>Przyczynki do Powstania War- szawskiego</i>	99
Maciej Feldhuzen :	<i>Rubens miał filię w Szkocji</i> ..	105

KRONIKA KULTURALNA

Krytyk :	<i>Film sowiecki — „Młodość Chopina” — Niemcy</i>	120
M. K. :	<i>Księga mickiewiczowska</i>	127
m. :	<i>Doktorat</i>	130

KSIAŻKI

(j) :	<i>Ameryka w oczach przyjaciół</i>	132
KAJ :	<i>„English becomes Polish”</i>	133
L. :	<i>Polska à la minute</i>	134
(j) :	<i>Polonica i antypolonica</i>	135
Lech Paszkowski :	<i>Powieść o emigrantach w Aus- tralii</i>	137
(j.u.) :	<i>Technika o wolność</i>	139
Czesław Miłosz :	<i>Most absolutny</i>	140
Janusz Jasińczyk :	<i>Dwie powieści o Wrześniu</i>	141
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	146
(j) :	<i>Przegląd miesięczników</i>	148
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	149



T. Gieryski, K. Zbyszewski, J. Leszcza, M. Wańkowicz, W. Lednicki, T. Tchórzewski, K. Hrubyk, W. Mazurkiewicz :

<i>Listy do Redakcji</i>	151
<i>Résumé en langue française</i> ..	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad — Novembre 1953

INSTYTUT



LITERACKI

PRZYPOMINAMY

o

ODNOWIENIU PRENUMERATY

Adres londyńskiego biura „KULTURY” jest następujący :
Juliusz Mieroszewski,
11, Gainsborough Road,
London, W.4., Tel. : CH1swick 3231

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII^e)

Inżynieria dusz

Zeznania Biskupa Kaczmarka w czasie pokazowego procesu w Warszawie są czymś bardziej charakterystycznym dla drugiej połowy XX wieku — niż samolot odrzutowy czy bomba wodnoroowa. Być może, że gdyby trzy lata temu Biskupowi Kaczmarkowi dano do wyboru, że albo podpisze zeznania, które obecnie złożył, albo zostanie rozstrzelany — Biskup byłby wybrał tę drugą alternatywę. Ale takiego wyboru nie miał. Możliwość męczeństwa za wiarę w walce przeciw reżimowi komunistycznemu została wyłączona. Walka przeciw komunistycznej dyktaturze nie może kończyć się śmiercią niepokonanych. Musi się kończyć klęską duchowo złamanych i upokorzonych.

Jest obojętne jakimi metodami władze totalistyczne doprowadzają swych więźniów do pożądanego stanu psychicznego. Istotny jest tylko fakt, że tego rodzaju stan psychiczny jest do osiągnięcia. Pytanie zasadnicze brzmi : czy leżało w granicach ludzkich możliwości zachować się inaczej niż Biskup Kaczmarek ? Czy człowiek niezłomnej wiary miałby możliwość, z chwilą gdy stanął przed sądem, zaprzeczyć prokuratorowi i zdemaskować jego kłamstwa ? Ostatnie procesy za „żelazną kurtyną” zmuszają do przyjęcia poglądu, że nie jest rzeczą możliwą oprzeć się metodom psychologicznego urabiania stosowanym przez władze reżimów komunistycznych. Jeżeli więzień jest dostatecznie ważną osobistością by opłacało się stosować wobec niego całą gamę metod i środków — wynik należy uznać za przesądzony. Przez dwa czy trzy lata stosując odpowiednie metody, można normalnego człowieka przerobić na neurotyka z całkowicie zaburzonym poczuciem rzeczywistości. Nie można wykluczyć, że Biskup Kaczmarek jest obecnie do tego stopnia psychicznie chory, iż wierzy sam w „prawdziwość” własnych zeznań.

Nie zdajemy sobie sprawy co ta „inżynieria duchowa” oznacza. Kończy się mit o bohaterach, który do połowy XX wieku kołysał dzieje ludzkości. Gdyby Sokrates był sądzony w Warszawie a nie w Atenach — byłby przed śmiercią odwołał wszystkie swoje „herezje”. Gdyby Galileusz sądzony był przez Bezpiekę

a nie przez Trybunał Św. Inkwizycji — byłby wygłosił przed sądem długie przemówienie udawadniając, że ziemia jest nieruchomym centrum wszechświata i nie dowiedzielibyśmy się, że... *eppur si muove*.

Jeżeli system „inżynierii psychologicznej” stosowany przez reżimy komunistyczne zostanie udoskonalony i zastosowany na szerszą skalę, ludzie będą ograbieni z prawa umierania za własne przekonania. Nie będzie bohaterów, którzy trwają niezłomnie w wierności dla swych przekonań w obliczu plutonów egzekucyjnych — nie będzie męczenników opromienionych wielkością wspianego człowieczeństwa. Ich miejsce zajmą chore postacie samooskarżycieli.

Słedzenie „nośności” idei jest rzeczą zdumiewającą. Jak straszliwe obciążenia przygniatają komunizm. A jednak, nawet w stosunku do tak materialistycznej idei ludzie nie stosują kryteriów pragmatycznych, to znaczy, nie sądzą komunizmu po jego owocach. Idea żyje własnym życiem, niezależnym od czynów i zbrodni jej realizatorów. Tylko w oparciu o to prawo można wytłumaczyć istnienie potężnych partii komunistycznych poza granicami Związku Sowieckiego.

Był czas, że heretyków palono na stosie i łamano kołem. Ale Kościół przetrwał inkwizycję ponieważ paląc na stosie głosił równocześnie Ewangelię i nie przestał nigdy apostołować przykazania miłości i przebaczenia, choć Jego czyny w pewnych okresach były zaprzeczeniem głoszonych prawd. Z podobnych praw psychologicznych wypływa siła komunizmu. Zaznaczam, że nie jest moją intencją porównywanie Kościoła z komunizmem. Porównuję jedynie reakcje ludzkie w stosunku do dwóch różnych idej.

Siłą komunizmu jest fakt, że komuniści popełniając zbrodnie i nieprawości nie ustają w głoszeniu ideologii Marksa i Lenina. Choć w praktyce uprawiają imperializm, podbój i wyzysk — nie przestają głosić hasła pokoju, równości i wolności. Choć w Polsce, w Czechosłowacji czy w samej Rosji robotnicy uginają się pod ciężarem wyśrubowanych norm — w Londynie, w Paryżu, w Rzymie czy na Malajach działacze partyjni głoszą zasadę: „każdy według swych możliwości — każdemu według jego potrzeb”.

Historia wykazuje jasno, że jest niezmiernie trudno skompromitować ideę zbrodniami popełnianymi w jej imię. Byt idei jest autonomiczny i nie można jej pokonać ograniczając się do negatywnej krytyki realizatorów.

Albert Camus w swojej powieści pt. „La Peste” daje obraz Oranu w którym szaleje dżuma. Miasto jest izolowane od reszty świata i żyje w koszmarnym transie zbiorowej samotności. W pewnym okresie epidemii dżuma atakuje przede wszystkim dzieci. Szpitale dziecięce są przepełnione i tysiące bezgrzesznych chłopców i dziewczynek kona w mękach nie dających się opisać. Ludzie niewzruszonej dotąd wiary zaczynają wątpić w Opatrzność Bożą. I wówczas katolicki ksiądz O. Paneloux wygłasza w katedrze kazanie poświęcone temu zagadnieniu. „Katolicyzm

jest wiarą” — powiedział O. Paneloux — „którą można albo w całości przyjąć albo w całości odrzucić”. Śmierć w męczarniach niewinnych dzieci jest rzeczą straszną i w naszym wymiarze niewytłumaczalną. Ale jakież wybór ma katolik? Może albo pochylić w pokorze głowę albo odrzucić całą wiarę katolicką. Ponieważ jest rzeczą absurdalną uznać całą wiarę katolicką za fałsz — nie pozostaje nic innego jak w pokorze pochylić głowę.

W pamiętnikach z wojny domowej w Hiszpanii angielskiego autora, którego nazwiska w tej chwili nie pamiętam — jest opisany następujący epizod. Autor, który był wówczas „intelektualnym” komunistą i ochotnikiem w jednym z oddziałów Brygady Międzynarodowej — otrzymał rozkaz rozstrzelania sześciu białych kadetów wziętych do niewoli. Odmówił wykonania rozkazu. Wówczas jego dowódca stary wypróbowany komunistą wezwał go do siebie i powiedział mu co następuje: Komunizm albo się przyjmuje albo się go odrzuca. Jeżeli się go przyjmuje winno się ślepe posłuszeństwo władzom partyjnym. Masz do wyboru albo wykonać rozkaz i pozostać komunistą albo umrzeć jako bankrut — bo za odmowę wykonania rozkazu każę cię rozstrzelać. Gdy będziesz stał przed plutonem egzekucyjnym będziesz musiał sobie powiedzieć, że wszystko co mówiłeś i czym żyłeś jest fałszem a światowa rewolucja komunistyczna jest oszustwem. Innego wyboru przed tobą nie ma.

To są dwa identyczne poglądy wypływające z integralizmu obu idej z których każda jest całkowitym zamkniętym systemem.

Wydaje mi się, że na laickim Zachodzie z Ameryką włącznie nie docenia się owego autonomicznego dynamizmu idei komunistycznej. Polityka sowiecka jest znacznie bliższa komunizmu — niż Polityka Zachodu Chrześcijaństwa. Każdy, kto obserwuje politykę sowiecką widzi jasno, że mimo odchyłań strategicznych — zmierza ona ku realizacji celów komunistycznych, tj. do ugruntowania komunizmu na całym świecie.

Między hasłami polityki Zachodu a praktyką jest daleko mniejsza przepaść niż między teorią komunizmu a jego praktyczną realizacją w imperium sowieckim. Ale to jest wynikiem faktu, że polityka Zachodu nie ma u swych podstaw ideologicznych założeń. Jesteśmy wprowadzeni w Chrześcijaństwo ale celem naszej polityki nie jest bynajmniej krystianizacja świata i dlatego jesteśmy mniej chrześcijańscy niż komuniści są komunistyczni. Przeprowadziliśmy rozdział między religią a polityką, pomiędzy religią a państwem, pomiędzy religią a nami. Z chwilą gdy Chrześcijaństwo stało się „prywatną sprawą” każdego z nas — utraciło aspekt idei uniwersalnej. Jedyne prawdziwie uniwersalną formą Chrześcijaństwa jest dziś jeszcze katolicyzm, lecz katolicy stanowią mniejszość w obu demokracjach anglosaskich.

Powyższe uwagi zmierzają do wykazania pewnych błędów, które popełniamy na Zachodzie w strategii tzw. „wojny psychologicznej”. Czysto negatywna krytyka komunizmu może tylko umocnić anty-komunistyczną postawę przekonanych antykomunistów. Tego typu propaganda umacnia anty-komunistyczne na-

stroje Polaków, Czechosłowaków czy Węgrów, którzy w przytłaczającej większości są przeciwnikami komunizmu. Lecz okazuje się, że tego typu propaganda jest całkowicie bezskuteczna wobec ludów Azji, które są poza zasięgiem imperium sowieckiego jak również jest mało skuteczna w krajach zachodniej Europy jak Francja czy Włochy.

Na anglosaskim Zachodzie nikt nie chce żadnej ideologii. To co Jung określa „natural religious function” zepchnięto na daleki muzealny margines. Jestem daleki od kwalifikowania tych przemian. Nie da się jednak zaprzeczyć, że Anglosasi skłonni są przypuszczać, iż ideał szczęścia będący wynikiem tego procesu i ewolucji jest tak oczywiście doskonały, że powinien być atrakcyjny dla wszystkich ludów świata. Wyobrażam sobie, że wysoko cywilizowanym patrycjuszom rzymskim nie mogło również pomieścić się w głowie, że ktoś może przekładać ponure wschodnie Chryścijaństwo nad doskonałą „Roman way of life”. Wskutek tych przyczyn Anglosasi w planowaniu swej wojny psychologicznej wychodzą z dwóch założeń, które zbyt pochopnie przyjęli za pewniki. Po pierwsze — że ujemny wynik praktyczny posiada dostateczną moc przekonywującą by zdyskredytować ideę. I po drugie — że cywilizowany dobrobyt jest wszystkim czego ludzie pragną.

W stosunku do anglosaskiego Zachodu można istotnie dwie powyższe tezy przyjąć za pewniki. Większość Anglosasów po obu stronach Atlantyku rozumie kategoriami pragmatycznymi. Komunizm w ich opinii jest ideą, która ma charakter utopijny. Poza tym też sama większość cywilizowany dobrobyt uważa za ideał ziemskiego szczęścia i odrzuca komunizm jako sprzeczny z przyjętą „way of life”.

Ale cywilizacja anglosaska nie jest powszechna. Fenomenalna kariera komunizmu poza ramami obszaru anglosaskiego dowodzi, że w reszcie świata głód idei jest zjawiskiem socjologicznym o wielkiej i żywotnej dynamice. I z tym faktem polityka amerykańska musi się liczyć.

Ktoś może powie, że Zachód nie ma wprawdzie ideologii ale hołduje pewnym ideałom jak wolność, sprawiedliwość, poszanowanie praw człowieka itp. To prawda. Ale wolność dla kogo? Dla Anglosasów. Sprawiedliwość dla kogo? Dla Anglosasów.

To jest najsłabszy punkt ideałów Zachodu. Komunizm jest potencjalnie dla wszystkich. Dziesiątki tysięcy mil od Moskwy — w Burmie czy w Indochinach ludzie oczekują komunistycznego milenium. Bo komunizm jest nie tylko dla Rosjan. Jest przeznaczony i głoszony dla wszystkich ludów świata. Tajemnicą siły Sowietów jest fakt, że bez względu na ich własne zbrodnie głoszą nieprzerwanie ideę komunistyczną. Anglosaski Zachód nie popełnia zbrodni — ale niczego nie głosi i niczego nie obiecuje. Zachód pragnie obronić jedynie swoją własną wolność i zachować instytucje demokratyczne na swoim własnym terytorium.

„Nową wiarę” staramy się zwalczyć, rejestrując i rozgłaszając z nakładem wielkich kosztów i niemałego trudu zbrodnie

popełniane przez „czerwonych kapłanów”. Ale historia uczy, że tą drogą jeszcze nikt nie zwalczył żadnej wielkiej religii czy wielkiej idei. Dzięki naszemu indyferentyzmowi zatraciliśmy zdolność wczucia się w psychologię ludzi, którzy wierzą w ideę. Idea podobnie jak religia czerpie zawsze swą moc z Jutra, z przyszłości — nigdy z Dziś czy z Wczoraj. Po dwóch tysiącach lat nie zrealizowaliśmy Królestwa Bożego na ziemi ale wierzący Chryścijaнин wpatrzony jest w tę wizję i ku niej dąży. Podobnie jest z komunizmem. Ludzi fascynuje komunistyczne Jutro, przyszłość. Wizji nie ma się krytyka oparta o pragmatyczne kryteria. Nie pomniejsza jej również zbrodnicość teraźniejszości.

Jakie wypływają wnioski z tych rozważań?

Amerykanie muszą przeciwstawić komunizmowi nie „American way of life” lecz dynamiczny ideał wolności. Trzeba głosić ten ideał w ten sam sposób i z tą samą żarliwością z jaką komuniści głoszą komunizm. Co to oznacza? Wiem, że odpowiedź zabrzmie „retorycznie” ale niemniej jest moim głębokim przekonaniem, że u dna walki z komunizmem leży problem wiary. Pytanie brzmi: czy Amerykanie wierzą z równą mocą w ideał wolności jak komuniści w ideał komunistyczny?

Rozmaici „spece” i uczeni sowietolodzy dla których zagadnienie komunizmu jest zawsze sprawą stosu zadrukowanego papieru a nigdy zagadnieniem żywych ludzi — usypiają naszą czujność zapewniając, że komunizm jest tylko formą rosyjskiego imperializmu. Czytając tego typu opracowania czytelnik dochodzi do wniosku, że komunizm jest cywilną religią w którą nikt nie wierzy. Sowiety podtrzymują ją sztucznie, bo jest politycznie dogodna.

Najniebezpieczniejsze są tzw. „pół-prawdy”. Komunizm jest narzędziem imperializmu sowieckiego ale tylko dzięki temu jest tym narzędziem, że jest wiarą, która poza granicami ZSSR ma miliony autentycznych żarliwych wyznawców i miliony ukrytych sympatyków. I tu leży główne źródło wielkiego nieporozumienia. My na Zachodzie jesteśmy za wolnością. Ale jesteśmy *inaczej* za wolnością niż komuniści są za komunizmem. Gdyby komuniści byli tylko tak za komunizmem jak my jesteśmy za wolnością nie byłoby „zimnej wojny” a OZN przypominałby rodzinny piknik. Gdy zachodni mężowie stanu mówią o „zmianie atmosfery” czy o „odprężeniu” jest to oznaką, iż znów ożyła w nich nadzieja, że komuniści staną się wreszcie w ten sam sposób komunistyczni jak republikanie są republikańscy, socjaliści socjalistyczni a liberałowie liberalni. Lecz to są płonne nadzieje.

Nie chodzi o jakąś nową konkurencyjną ideologię. Byłoby również katastrofą antykomunizm wyświęcić do rangi samodzielnej doktryny co nieuchronnie wiodłoby do faszyzmu. Chodzi natomiast o to, by w obliczu komunistycznego niebezpieczeństwa w Ameryce odrodził się rewolucyjny aspekt wolności. Tylko przez odrodzenie idei wolności, przez przywrócenie jej rewolucyjnej dynamiki Amerykanie mogą oddziaływać na wyobraźnię ludów poza obszarem świata anglosaskiego. Dziś słowo „wolność” czy ter-

min „liberation” nie są nawet cieniem cienia idei wolności. To są tylko dekoracyjne frazy — jedne z wielu — jakie wyprodukowała rutyna zawodowej dyplomacji.

Cały problem sprowadza się do tego, by wolni chcieli propagować wolność. Europejscy sprzymierzeńcy Stanów Zjednoczonych oddziaływają hamująco na politykę amerykańską. Celem tej polityki jest nie wyzwolenie lecz mityczny układ z Sowietami, który gwarantowałby bezpieczeństwo Rosji i pokój zachodniej Europie. Tego typu polityka nosi miano „realnej” podczas gdy politykę wyzwolenia uważa się za nieodpowiedzialną awanturę. (Chamberlain uważał się także za realistę gdy na lotnisku londyńskim wymachiwał kartką papieru z podpisem Hitlera).

W powyższej sprawie trzeba odróżnić dwa różne problemy. Atlantycka maszyna polityczno-wojskowa jest narzędziem polityki „containment”. Polityka powstrzymywania jest w pewnej mierze odpowiedzią na imperializm sowiecki — nie jest natomiast żadną odpowiedzią na ideę komunistyczną. Być może system atlantycki jest dostateczną machiną, by przeciwstawić się Związkowi Sowieckiemu. Jest jednak niedostatecznym narzędziem do walki z ideologią komunistyczną.

W chwili gdy Amerykanie rozumieją, że ich wrogiem jest nie tylko materialna potęga Sowietów lecz w pierwszym rzędzie idea komunistyczna będą musieli odpowiedzieć jasno i wyraźnie na następujące pytanie: czy gotowi są uczynić więcej dla utrwalenia wolności w świecie niż komuniści gotowi są uczynić dla triumfu idei komunistycznej? Innymi słowy jeżeli Amerykanie pragną przeciwstawić się zwycięsko nie tylko Sowietom lecz i światowemu komunizmowi muszą głosić wolność dla wszystkich narodów i politykę Stanów Zjednoczonych podporządkować temu celowi w tej samej mierze i w tej samej skali jak czynią to Sowiety w stosunku do komunizmu.

Juliusz MIEROSZEWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

*Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.*

W każdą niedzielę dodatek.

*Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie,
Australii i Nowej Zelandii.*

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

*17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.*

Zachód jest Zachodem - Wschód jest Wschodem

W tytule znalazło się zdanie zacytowane z Kiplinga. Zaczynę jednak od Małyszki.

Andrij Małyszko — to właściwie jedyny wybitny poeta ukraiński z tego pokolenia, które zaczęło pisać w latach trzydziestych, a zatem w stalinowskiej epoce. Inni koryfeusze ukraińskiej poezji należą do pokolenia starszego, które „przebudowało się” właśnie w tym czasie. Co najbardziej uderza w poezji Małyszki, to fakt, że jest on jedynym poetą swego pokolenia i okresu, który potrafi zachować swoją poetyczność i nawet szczerość w oficjalnych utworach, w patriotycznie-urzędowo-stalinowskich sztancach. To nie łatwo — i przez długi czas nie umiałem odkryć sekretu. Wydaje się, że obecnie znalazłem rozwiązanie. Ale o tym pomówimy później.

Gdy w sowieckiej polityce zaczęła się linia antyamarykańska, Małyszko znalazł się w liczbie tych, których wysłano do Ameryki, aby ją „ośpiewać”. W wyniku powstała książka wierszy pt. „Za sinym morzem” (1950). Małyszko otrzymał za ten utwór nagrodę Stalina. W przeciwieństwie do innych zbiorów Małyszki, właśnie ten odznacza się prawie zupełnym brakiem szczerości. Jest to poezja urzędowa w pełnym znaczeniu. Inaczej — nie poezja, lecz polityka.

Zdanie, że obecnie polityka wdarła się we wszystkie dziedziny ludzkiego życia — stało się już truizmem. Ale zjawisko to ma swoją podszewkę. Skoro wszystko jest polityką, to znaczy, że nie mamy do czynienia z czystą polityką, to znaczy, że pod kopułą polityki kryją się procesy ludzkie — psychologiczne, kulturalne. W artykule tym pragnę mówić o procesach politycznych i zjawiskach p o p r z e z politykę, zatem b e z polityki. Z takiego punktu widzenia książka Małyszki budzi pewne zainteresowanie; politycznie — jest to kupa ogólników sowieckiej propagandy, czyli nicość. W swoim aspekcie pozapolitycznym staje się ludzkim dokumentem, przyczynkiem do zrozumienia problemu Zachód-Wschód, albo — w ponownym przekładzie na język polityki — Rosja-Ameryka.

Już od dawna te dwa kraje wpatrują się w siebie nawzajem. Oznaki te są widoczne dla każdego. Publikacje o Rosji w Ameryce i o Ameryce w Rosji sięgają liczb astronomicznych. Temat amerykański należy do panujących w sowieckiej literaturze, teatrze, filmie. Hollywood powoli przedstawia się na tematykę związaną z „rosyjskim niebezpieczeństwem”. Reakcje obywateli sowieckich są zawsze zahamowane, więc możemy jedynie snuć przypuszczenia — jednak ze stuprocentowym prawdopodobieństwem — na temat ich zainteresowania prawdziwym życiem amerykańskim. W Ameryce reakcje te są jawne. Mówią, że poruszenie publiczności na ulicach Nowego Jorku podczas choroby i śmierci Stalina dałoby się porównać jedynie z poruszeniem w dniu ogłoszenia lub zakończenia wojny.

Tak, te dwa kraje patrzą na siebie szeroko otwartymi oczyma. A mimo to widzą bardzo niewiele. Na przeszkodzie stoją granice, ulewa propagandy, powódź kłamstwa. Ale nie tylko to. Tak się dzieje, że nawet wówczas, gdy wszystkie zewnętrzne, sztucznie stworzone przeszkody upadają, Amerykanin o najlepszym woli zrozumienia i sowiecki obywatel o ostrym, choć ukrytym zaciekawieniu, nie rozumieją życia obserwowanej krainy. Działa jakiś ukryty hamulec? Jakież przyzmaty, które, przepuszczając przez siebie wrażenia, załamują je i wykrzywiają? Książka Małyszki może nieco pomóc do zrozumienia problemu po jednej stronie.

Byłoby naiwnością sądzić, że Małyszko może pokazać pozytywne aspekty amerykańskiego życia. Nie po to jechał do Ameryki. Jego zadanie polegało na szukaniu czarnych zjawisk i wybieraniu z nich najczarniejszych. Nie ukrywa tego. Pierwszy wiersz zbioru, napisany zanim dojechał do Ameryki, zawiera następujące zdanie: „Będziemy stykać się z nieszczęściem za tym sinym, za szerokim morzem”. Zwracam uwagę na ten czas przyszły — b e d z i e m y. Jeszcze niczego nie widział, a już wszystko wie. Książka miała być nie o Ameryce, lecz przeciw Ameryce. Ale ważne jest, co negatywnego znalazł Małyszko w Ameryce.

I tu — największy paradoks. Małyszko nie znalazł w Ameryce nic negatywnego. Cała jego książka mówi o negatywach, ale tych negatywów w Ameryce nie ma. Są inne, może większe, ale nie te, o których pisze Małyszko. Negatywy, przypisywane przez niego Ameryce, należą do dwóch typów. Pierwsze z nich — pochodzą z sowieckich plakatów. Ktoś już zauważył, że na tych plakatach r e k i n y W a l l S t r e e t u zawsze są w cylindrach, chociaż na prawdziwym Wall Streecie nie łatwo spotkać kogoś w cylindrze. U Małyszki po Ameryce spacerują „fazyści z lornetkami” i „bankierzy jak bizony” (!!!), którzy

Trud ludzki krwią zlewają i potem,
aby kieszenie swe wypchać złotem,
aż ból poczuwszy w serech swych pustych
konają w nocy w domach rozpusty.

Ta Ameryka trafiła do książki Małyszki nie z ulic Nowego Jorku, lecz ze szpalt „Krokodyla”. Nas — naprawdę nie interesuje. Znamy ją. Stworzył ją w latach dwudziestych Majakowski i jego koledzy w tzw. „Oknach ROST'u”. Wegetuje po dziś dzień i nikt jej nie wierzy.

Natomiast interesujące są negatywy innego typu, „dojrzałe” przez Małyszkę. Są tak niespodziewane i nieprawdopodobne, że od razu wolę zacząć od przykładów. Małyszko spotkał w Ameryce robotników i najmitów, którzy „żują brudną skórę chleba, zapijając ją, zwyczajnie, wodą...”; którzy „od rana nie mieli w ustach, wczoraj chleb się skończył u biedaków”; których, gdy postarzejają, „wyrzucają za bramę” jak żebraka. Gdy bohater Małyszki jedzie transatlantykiem z Europy do Ameryki, wszyscy „żują wołowinę świeżą, olbrzymie steaki i rostbeefy”, natomiast on sam „kupiwszy jedzenia za kilka centów, poprosił szklanek wody”, choć ogólnie wiadomo, że na transatlantykach wyżywienie włączone jest do ceny biletu! Zaś jego bohaterzy i bohaterki marzą — nie o własnym domu czy samochodzie, rzecz normalna w Stanach, ani nawet o maszynie do prania — nie! — marzenie starej murzynki, obsługującej windę, to powrót na wieś:

Zyto bym siała, pszeniczkę bym żęła,
z pieśnią od pola do siola się wiodąc...

Nie może być żadnej wątpliwości. Mamy przed sobą typowy kompleks ludowej poezji. Nędzarze, umierający z głodu, podczas gdy bogacze nie wiedzą co robić z pieniędzmi, z typowym podkreśleniem równie typowej rosyjskiej apelacji do ostatniej s k ó r k i czarnego chleba; rzecz prosta, amerykański nędzarz mówiłby o ostatniej filiżance fasolowej zupy, kupionej w automacie za ostatnie dziesięć centów. A cóż dopiero owe marzenie o powrocie na wieś, o takiej pracy, gdy z pola wraca się nie samochodem, ale na piechotę i z pieśnią, w Ameryce z jej przeszłości sześcioma milionami traktorów! Tak pisał Hrabowskiy o ukraińskich najmitach, tak pisał Niekrasow o rosyjskich bandosach, ale jestem pewny, że gdyby podobne perspektywy odmalować Murzynce, pracującej przy windzie, nie byłaby w stanie niczego pojąć, albo też przeraziłaby się usłyszanym.

Rzecz nieprawdopodobna. Po latach uprzedmiotwienia, po marksistowskich studiach, upolitechniczniony poeta wykazał w nienaruszonym stanie ludowy *) kompleks myślenia i świato-

*) Czytelnikowi polskiemu należy się mały komentarz. Autor używa terminu „narodnyckij”, któremu słowo „ludowy” odpowiada tylko częściowo. Określenie to jest pochodzenia rosyjskiego i wiąże się ze zjawiskiem, znanym w historii i literaturze Rosji, jako „narodnicestwo”. Upatrując zbawienia w prostym ludzie i od niego oczekując wykonania misji dziejowej, inteligencja rosyjska wytworzyła specjalnego typu postawę psychiczną, z której wynikły dalsze konsekwencje dla polityki, socjologii i kultury. „Narodnicestwo” zatem i nasze „ludowość” — to niezapelnienie to samo. Woląłem

poczucia. Kompleks ten był na tyle silny, że poeta zobaczył Amerykę wyłącznie przez jego pryzmat. Dokładniej, nie dojrzał on Ameryki dlatego, że patrzył przez ów pryzmat. Gdy się pragnie, można Stanom zarzucać bardzo wiele, ale ludowość jako typ życia, jako styl myślenia, jako sposób organizowania bytu są im całkowicie obce i po prostu niezrozumiałe. Ale to nie wszystko. To nie tylko poeta wykazał ową ludową tendencję oglądania i nieostrzegania Ameryki. Ten sposób nieostrzegania otrzymał oficjalne wyróżnienie (nagroda Stalina). Można by wiele powiedzieć o roli ludowego kompleksu w rosyjskiej rewolucji i sowieckim ustroju. Sądzę, że to jeden z głównych kluczy do ich zrozumienia, podczas gdy jego pokrywka w postaci marksistowskiej frazeologii — posiada znaczenie drugorzędne.

Zresztą Małyszko w ogóle nie chce dostrzegać konkretnych w Ameryce i w ogóle ich nie szuka. Gdy dostrzegłem niezwykłą ogólnikowość amerykańskich wrażeń Małyszki — jest tak, jakby książkę napisał człowiek, który nigdy nie widział Ameryki, a przecież Małyszko w niej był — zacząłem wynotowywać każdy konkretny szczegół życia, podchwycony przez autora. Jest ich tak mało, że zaryzykuję podanie pełnego ich spisu i biorę odpowiedzialność za to, że jest kompletny. Oto co zauważył Małyszko w Ameryce: że nie brak Murzynek pracujących przy windach; że wielu robotników nosi kowbojskie blazy; że chleb amerykański jest niesmaczny („biały, prząsny, waży niewiele, ani zapach ma, ani posila...”); że whisky w przeciwieństwie do wódki jest żółta; że drzewom trudno wyrastać na nowojorskim granic. Bez przesady — to wszystko. Ze wszystkich obrazów potraktowane zostały szerzej i ze szczerością — jedyną w całym zbiorze — obrazy chleba i dębu na Broadwayu. Znowu typowy, ludowski kompleks — ubóstwienie żytniego chleba i tęsknota za lasem, polem, wsią. Podświadoma nienawiść do miasta i techniki, a może głównie przemysłowej cywilizacji i kultury.

Zresztą, Małyszko nie szuka w Ameryce amerykańskości; szuka — sowiecizny. Najbardziej pozytywne z jego wrażeń — to zastyszana pieśń: „Katusza”! Poprzez urzędowe odrzucenie Ameryki, jako kraju, w którym panują rekiny Wallstreetu, przeziera głębszy, szerszy, bardziej indywidualny kompleks wrogości, żeby nie powiedzieć — nienawiści, do wszystkiego, co obce, w ogóle, bez żadnego wyjątku. Autor mówi niechętnie o „obcych drogach w amerykańskiej trawie”. Uznaje jedynie trawę własnego kraju. W Ameryce „plac są jak czarne kruki i martwy jest granit i bruk”. Nawet ptaki — ale lepiej zacytować:

Tutaj ptaki są nieme i — cóż
 że gniazda rodzinne też mają!
 A u nas słowiki do zórz
 noc całą majową śpiewają.

Jednak nie używać sztucznych terminów „ludowość”, „ludowcy”, do tego mało rozpowszechnionych i raczej bałamutnych. Czytelnik zechce w dalszym ciągu pamiętać, że stosując słowo „ludowy” w bardzo umownym znaczeniu. (Przyp. tłumacza).

Ostatecznie Małyszko zdradza się znowu poprzez gramatykę. Na samym początku zdradził go czas przyszły, gdy, jeszcze nie zajechawszy do Ameryki, już wiedział, że będzie się stykać się z nieszczęściem; podobnie przy pożegnaniu z Ameryką zdradza go liczba mnoga: „Tych obcych ziem, Ameryk obcych nie noszę w sercu moim ja...” Nie mówi o konkretnej Ameryce; mówi o wszystkim, co obce. Argentyna, Australia, czy Filipiny — wszystko skazane z góry. Bo wszystko — obce Ameryki...

Byłoby błędem widzieć w tym jedynie wyraz i skutek sowieckiej propagandy. Naturalnie, propaganda ta aktywizuje ową apriorystyczną, z góry wyznaczoną, właściwą światopoglądowi niechęć do wszystkiego, co obce, ale jej korzenie tkwią głębiej. Nie będę śledził ich wzrostu w okresie Średniowiecza, ale, jeśli ograniczymy się do nowszych czasów, nie trudno stwierdzić ich oczywisty związek z ludowym kompleksem. Niezwykle ważną okoliczność: kompleks ten z niemiejszą siłą działa u tych ukraińskich emigracyjnych poetów — bezsprzecznie antysowieckich — którzy wychowali się pod Sowietami (Mychajło Sytnyk, Leonid Połtawa). Jak i gdzie indziej, sowiecka propaganda jedynie wykorzystuje to, co istnieje, i nadaje mu odpowiedni kierunek.

Postawa sowieckiego człowieka wobec Zachodu nie jest rzecz prostą. Swoją idealną wyraz znalazła ona w znanym sformułowaniu w powieści Olesia Honczara: „Tak, u nich (u n i c h — to już tradycyjne w Sowietach określenie Zachodu) są doskonałe zapalniczki, ale my mamy leninizm”. Emigracyjna krytyka wyśmiewa tę formułkę i zobaczyła w niej uznanie przewagi Zachodu, ukryte pod oficjalnie nakazanym wychwalaniem leninizmu. Bo zapalniczki — to technika, to życiowe wygody — rzecz realna, a leninizm — bzdura bez wartości. To wielkie uproszczenie. Psychologicznie biorąc (a umówiliśmy się, że nie będziemy mówić o polityce), leninizm oznacza w powyższym sformułowaniu nie polityczny kierunek, lecz system życiowy. A ów system istotnie i automatycznie wyklucza nie tylko „zapalniczki”, ale nawet „amerykańską trawę” i „amerykańskie ptaki”. To znaczy, realną zapalniczkę, wszystko jedno — do zapalania papierosów czy o atomowym zastosowaniu, można od Zachodu przejąć, ale po wyrwaniu z życiowego i psychologicznego kontekstu „obcych Ameryk” i wstawieniu w kontekst „leninizmu”.

Odkrywa się tu przed nami coś straszliwie istotnego i ważnego, coś s t r a s z n e g o: Sowietom można narzucić technikę i super-technikę. Mogą one dogonić i przegonić „obce Ameryki” w produkcji „zapalniczek”. Ale pod względem psychologicznym i kulturalnym pozostają — ś w i a d o m i e i p r y n c y p i a l n i e — na pre-przemysłowym, pre-urbanistycznym, ludowym poziomie. Z tego punktu widzenia wszelkie znaki równania między istotą amerykańskości i sowiecizmu, z lekkiej ręki Burnhama („Ustrój managerów”) rozpowszechnione w pewnych kołach, są całkowicie fałszywe i szkodliwe. Amerykańska kultura, sposób życia, psychologia — istotnie są techniczne i urbanistyczne. sowiecki styl życia i światopoczucie jest i pozostał w swoich

podstawach ludowy, a zatem z określonych stanowisk — prymitywniejszy. „Przodujący” ustrój sowiecki jest w swoich podstawach w zestawieniu z amerykańskim a nawet zachodnio-europejskim bezwzględnie zacofany. Można krok po kroku analizować polityczne posunięcia ZSSR w zewnętrznej i wewnętrznej polityce, a okaże się, że „wszystkie one noszą we wnętrzościach treść ludową, pre-techniczną. Ostatecznie, wszystkie one mają na celu — po gwałtownym przyswojeniu umiejętności wyrabiania „zapalniczek” — zachowanie w możliwie nietkniętym kształcie ludowej treści życia i myślenia.

Książka Małyszki pomogła nam zrozumieć jedną połowę zagadnienia. Wschód nie rozumie Zachodu nie tylko na skutek urzędów, przeszkód i propagandy. Przede wszystkim nie rozumie go na skutek całkowicie obcego Zachodowi ludowego charakteru myślenia i odczuwania. Czy z tych samych powodów Zachód nie rozumie Wschodu? Poszukajmy odpowiedzi w książce Godfrey Blundena, „Epoka zabójców” (The Time of the Assassins)*).

Powieść ta wyszła w roku 1952. Literacko jest to typowo przeciętny produkt amerykańskiej literatury. Jest tu trochę napięcia akcji, rozdziały kończą się kulminantami; jest nieco „potoku świadomości” w stylu Joyce, nieco zagadkowości rosyjskiej duszy, ale również trochę i konkretnych informacji o Charkowie z lat wojny. Wszystko to — na pewnym literackim poziomie, ale bez własnej indywidualności. O książce Blundena warto mówić nie jako o literackim dziele, ale jak o ludzkim dokumencie. Świadczy ona o tym, co Amerykanin chciał i mógł zobaczyć na Sowieckiej Ukrainie, gdzie znalazł się w 1943 roku.

W przeciwieństwie do Małyszki, Blunden chciał zobaczyć i zrozumieć jak najwięcej. W przeciwieństwie do Małyszki, możliwości jego były wielce ograniczone. On sam mówi z całą szczerością, że przebywał w Sowietach, jako amerykański korespondent wojenny i że przez cały czas miał jeden dzień dla swobodnego poruszania się — j e d e n d z i e n ! Podobnie jak u Małyszki, główną przeszkodę dla ujżenia rzeczywistości stanowiły nie zewnętrzne utrudnienia, lecz nieświadomione nastawienie wewnętrzne. Było nią przekonanie, że człowiek sowiecki (równa się: rosyjski, słowiański, albo wschodni) posiada jakąś specjalną duszę, coś à la Tolstoj. Toynbee formułuje tę pewność w następujący sposób: „Aczkolwiek ów krąg kulturalny (zachodnio-chrześcijański) odczuł na sobie pewne egzotyczne wpływy — literatury rosyjskiej, chińskiego malarstwa, hinduskiej religii... nie ulega wątpliwości, że wszystkie one pozostały poza światem kultury, do jakiej należymy...”

Jest w książce Blundena doskonała scena. Niemiecki oficer, Willy Soedermann, dostał się do rosyjskiej niewoli. Przy jego przesłuchaniu obecni są amerykańscy korespondenci. Z krzykiem

*) Le temps des assassins.

Niemiec mówi, że go rozstrzelają. Amerykanie wiedzą, że go nie rozstrzelają; zamieniają go na numer w kopalniach Kazachstanu, albo Kandałakszy, włączają go w potok ludzkich robotów, wtrącają go w warunki bydłowej vegetacji, a w nim zabijają nie zwierzę, ale człowieka, osobę. I oto poprzez fronty i okoliczności polityczne, poprzez sojusze wojenne przeciągają się między nimi i jałsem jakies nici psychologicznego związku. Być może, spotykali się kiedyś, w Awinionie czy Neapolu, jako turyści, każdy z małym aparatem fotograficznym. Ale z rosyjskimi oficerami, którzy są teraz ich sojusznikami, nigdy się tam nie spotykali. Są sobie obcy. Należą do dwóch innych światów. Ta prawda podchwyczona została subtelnie i na pewno szczerze. To niewątpliwa psychologiczna prawda.

Blunden zapewne nie czytał Honczara. Ale i u niego znajdziemy motyw przewodni, który gra tę samą funkcję, co honczarowskie zapalniczki i leninizm. Kiedy Blunden pragnie określić na czym polegała zmiana stylu życia w gmachu niemieckiej komendatury — przedtem NKWD — po ucieczce Niemców, pisze, że zapach machorki przyszedł na miejsce tureckiego tytoniu. Przedśmiertne wrażenie Scharfuehrera, Schewe, gdy nad rannym chylił się partyzant — t o z a p a c h Rosjanina. Zapach potu i machorki. Machorka odpowiada tu leninizmowi, turecki tytoń — zapalniczkom.

Te szczegóły, czy te symbole istotnie charakteryzują dwa typy życia. Ludowy i urbanistyczny. Ale Blunden sądzi, że chodzi tu o dwa odmienne ludzkie typy, o dwa różne kręgi kulturalne. I to uwytadnia całą osobliwość jego podejścia.

Przed wszystkim wyjaśnia charakter jego licznych lapsusów. Jest ich, zwłaszcza jeśli chodzi o drobne realia, niezwykle dużo. Autor znalazł się w Charkowie bezpośrednio po niemieckiej okupacji i zaledwie przez jeden dzień, a opisuje właśnie okupację niemiecką. Nie było rzeczą łatwą zebranie wśród wystraszonych ludzi obiektywnych informacji dotyczących niemieckiego systemu. Inne pomyłki byłoby łatwo usunąć przy pomocy pierwszej lepszej encyklopedii.

Ale mniejsza o drobne błędy czy przeoczenia. Mają one znaczenie jedynie jako ogólne tło, na którym jaskrawiej występują dwie zasadnicze pomyłki autora. Według Blundena, Niemcy przyszl na Ukrainę nie tylko jako kolonizatorzy i mordercy, ale również jako przedstawiciele zachodniego kręgu kulturalnego. Oto Charków za ich czasów: „Dokoła kipiało życie. W ostatnich tygodniach przybyli liczni imigranci, wraz z żonami i rodzinami, i śródmieście Charkowa nabierało już zacisznego niemieckiego wyglądu. Wszędzie otwierano niewielkie sklepy, na białym tle szyldów widniały gotyckie litery. W hotelach odbywały się wesole zebrania, na których oficerowie, będący na urlopach, spotykali się z żonami i krewnymi, przybyłymi z Reichu. Kina były otwarte i niemieckie zespoły występowały w głównych teatrach. Afisze zapowiadały koncerty z beethovenowskiego cyklu. Wielojęzyczna milicja patrolowała ulice”. Z historycznym

Charkowem z czasów niemieckich okupacji, przyczajonym w przyfrontowej zonie, w trzech czwartych zrujnowanym przez bolszewików przy odwróceniu, głodnym, zamarzłym, usianym trupami, rozkopanym przez uliczne barykady, brudnym, zamiecionym śniegiem, całkowicie pozbawionym życia, opis ten ma tyle wspólnego co z Atenami za Peryklesa. Nie było niemieckich sklepów, w ogóle nie było cywilów. Ale ważne jest, że właśnie tak wyobraża sobie wszystko autor. Bo to odpowiada jego pojęciom o ludziach z Zachodu. Nawet wtedy, gdy występują w roli morderców.

Jeszcze ciekawsze są z tego punktu widzenia losy bohaterów powieści Blundena. Oto najtypowsze :

Niemiecki komunista, Müller, ratując się przed obozem koncentracyjnym, wstępuje do SS. Musi przejść przez próbę — rozstrzelanie dziecka. Zbrodnia powoduje duchowe załamanie i, szukając kary za nią, oddaje się partyzantom, którzy zadają mu straszną śmierć. „Wina i kara” Dostojewskiego. Stara komunistka, Lidia Artemowa, posłuszna śrubka w okrutnej polityce wyniszczania, prowadzonej przez komunistów. Wszystko ludzkie zostało w niej zagłuszone przez ślepy, bezlitosny dogmat. Ale gdy trzeba zniszczyć gromadę dzieci z ich nauczycielką, Marusią Sielową, na czele, zdradza partyjną linię i usiłuje ratować dzieci. Ginie wraz z nimi. „Wina i kara”. Jedynie Sielowa ginie bez winy własnej, na skutek swej ludzkości. Ofiara cudzych zbrodni, czyli Sonia Marmieladowa. Ale Marusia nie jest prostytutką. Nie obeszło się i bez niej — oto Olimpia. Rozdwojony portret Soni Marmieladowej. Ona również ginie. Kulminacyjny moment — gdy nauczycielka Marusia i ulicznica Olimpia całują komunistkę Artemową. W głodnym i zmarzniętym Charkowie bohaterzy powieści Blundena miotają się, szukając w e p o c e m o r d e r c ó w moralnie czystych dróg i oczyszczonego sumienia.

Pozostałe trzy postacie powieści mogą wydać się inne. Ale i one opanowane są ideą ratowania dusz, tyle że na innym poziomie, bez rozdwojenia. Może dlatego, że dwie z nich należą do młodego pokolenia i nie znają niczego poza systemem komunistycznym. Foma (autor pisze Fomin, tak samo Marusję zwie Mariusą) zostaje komunistycznym partyzantem. Powód — nieważne, że nieświadomiony — zemsta na Niemcach za to, że przynieśli ze sobą ustrój morderców. Jest wina, kara — odłożona na później. Przeciwwstawienie — dziewczynka, Sofja Samołowa. I ona również bezlitośnie mści się na komunistach. Jak Foma, widzi tylko jedną stronę medalu i nie dojrzała do zrozumienia, że obydwie reprezentują to samo.

I wreszcie jeszcze jeden bohater powieści, stary ukraiński działacz kulturalny, profesor Szewczenko, wcielone sumienie książki. Zrozumiał on sens epoki morderców i dlatego też nie działa, jest pasywny, jedynie wygłasza cudowne poetyckie opowieści. Coś w rodzaju Łukasza z „Na dnie” Maksyma Gorkie-

go. Uzupełnienie poprzednich bohaterów, których losy przebiegają według klucza Dostojewskiego.

Jeśli pierwszym błędem Blundena było ustawienie kontrastu sowieckiego i zachodniego świata w płaszczyźnie zamkniętych kulturalnych kół, które nie mogą połączyć się, drugi i niemniej fatalny błąd polega na tym, że ujrzawszy prymitywizm ludzkiego życia i zachowanie się na Wschodzie, doszedł do wniosku, iż pod tym wszystkim kryje się „skomplikowana wielkość duszy rosyjskiej” w duchu Dostojewskiego, Tołstoja i „Na dnie” Gorkiego (nie biorę go tutaj w całości). Tak oto paradoksalnym biegiem rzeczy Kipling z jego „Zachód jest Zachodem, Wschód jest Wschodem i nie spotkają się nigdy”, podał rękę Dostojewskiemu i epileptyczny prawosławny chrystianista uściśnął wyciągniętą dłoń piewcy niezłomnego brytyjskiego imperializmu.

Szkoda niszczyć złudzenia. Bardzo nieprzyjemnie wykazywać, że w wywodzie jakoby harmonijnym i głębokim nie ma ani harmonii ani głębi. W każdym razie od krytyka i esseisty oczekuje się, że wskaże głębokości jeszcze głębsze. A tymczasem wypada występować w roli andersenowskiego chłopca, który krzyczał : „Król jest nagi !” Ale ów chłopiec nie pisał krytycznych artykułów ani esejów. A jednak trzeba oświadczyć, że ta cała, przedstawiona przez Blundena, harmonia pożądana moralnej czystości i wiecznej rosyjskiej sprawiedliwości, rosyjskiej czy też w tym wypadku w ogóle wschodniej (bo Blunden chętnie podkreśla, że jego bohaterzy są Ukraińcami, nie Rosjanami, zaś miasto, w którym rozgrywa się akcja, nazywa Charkiwem nie Charkowem) — to czystej wody literatura, wszystko — miraż i oszukiwanie samego siebie, usiłujące wrażeniami, zacerpniętymi z rosyjskiego piśmiennictwa, zastąpić brak konkretnego materiału, jakiego autor nie był w stanie zebrać w ciągu jedyne go swobodnego dnia. Dodać należy, że problemy Raskolnikowa i Soni Marmieladowej bynajmniej nie dręczą współczesnego sowieckiego człowieka, że Dostojewski nie stanowi klucza do jego duszy, że w ogóle duchowe jego życie zostało całkowicie sprymityzowane, zaś zagadnienia materialnej pewności i po prostu chleba powszedniego posiadają dla niego znacznie większe znaczenie, niż sprawy moralne. Jako świadek może wystąpić właśnie Małyszko. Jego przeciwstawienie Sowietów Ameryce rozwija się wyłącznie po linii materialnego zaopatrzenia człowieka. Podczas gdy w jego Ameryce „chleb nie gości na ubogim stole robotniczym”, w jego Sowietach „na stołach robotniczych kładą się ciężkie korowaje”. Nie oddaje to prawdziwego stanu obu krajów, ale oddaje marzenia głodnego sowieckiego człowieka. I to jest dla niego zagadnienie numer 1, a nie moralna czystość, wina i kara, ani nawet panowanie epoki morderców.

Weźmy sowiecką sztukę. Niezależnie od cenzuralnych i politycznych warunków, sztuka stanowi duchowe pożywienie społeczeństwa, oraz odbija jego duchowe zainteresowania, a w każdym razie formuje je. Zagadnienia moralności, filozofii, sensu istnienia z sowieckiej sztuki zostały w ogóle wykluczone. Gnoseo-

logia, ontologia i etyka zastąpione swoistą teleologią. Nie wiem, czy w jakiegokolwiek innej literaturze tytuł „Co robić”? powtarzał się tak często, jak w rosyjskiej. Tytuł powieści Czernyszewskiego, która w swoim czasie znajdowała się pod poduszką każdej rosyjskiej pensjonarki. Tytuł traktatu Lwa Tołstoja. Wreszcie tytuł książki Lenina. Cała współczesna sowiecka literatura i sztuka odpowiadają nie na pytania — czemu, skąd i dokąd, a na pytania: Co robić? Radzą podnosić produkcję pracy, opanować technikę i bezwzględnie wykonywać polecenia partii. Radzą zastanawiać się nie nad tym, czym jest świat i człowiek, ale nad tym, jak ich przerobić (już Marx oświadczył, jak wiadomo, że dotychczasowi filozofowie chcieli świat zrozumieć, obecnie należy myśleć, jak go zmienić). Nawet i o tym myśleć już nie potrzeba, bo myślą wodzowie i partia; wystarczy wiedzieć, jak szybciej, lepiej efektywniej wykonywać ich rozkazy.

Proces ten można prześledzić na sztuce tworzonych w Sowietach i w Sowietach reprodukowanej. Tak zwany „klasyczny spadek”. Wielce pouczająca jest historia „Hamleta”. Jeszcze w dwudziestych latach duński król męczył się na rosyjskiej scenie i nie wiedział, czy życie nie jest snem i jaki jest sens tego snu. Ale wówczas Szekspir był przedstawicielem gnijącej feudalnej arystokracji, toteż podobne pytania były przejawem rozkładu i dekadencji. To konające klasy dręczy sens życia, natomiast młode i idące z postępem nie myślą. Działają. Z czasem jednak zdecydowano, że wypada jakoś niezręcznie, iż wszystkie wybitne utwory dawnej literatury powstały w kręgu gnijących klas. Szekspir awansował na przedstawiciela młodego i postępowego w jego czasach mieszczaństwa, w związku z czym Hamlet musiał stać się człowiekiem akcji i skoncentrowanej woli. Teatr Wachtangowa szybko „zrewidował” „Hamleta”, który w interpretacji Goriunowa wystąpił jako muskularny i rumiany rzeźnik, nie wiadomo dlaczego wymachujący szpadą zamiast obuchem i bijący nie woły, lecz przedstawicieli podupadłych feudałów, jak Poloniusz czy Klaudiusz. Oczywiście, z takiej interpretacji „Hamleta” wynikał regularny skandal, sztukę zdjęto z afisza i „Hamlet” znikł z sowieckiej sceny. Nie to, że go zabroniono, po prostu okazał się nie na miarę.

Wylimitowanie ze sztuki i działalności duchowej w ogóle wszelkich zagadnień z wyjątkiem przepisów na konkretne zachowanie się na dziś i, być może, na jutro (nie zawsze) — to oznaka świadomego kultywowania prymitywizmu. Prymitywizacja duchowego życia prowadzona jest już od blisko dwudziestu pięciu lat, metody jej są rozliczne, a osiągnięcia niezwykle. W różnych częściach ZSSR przeprowadzano ją w różnych okresach. W Ukrainie np. proces ten zakończył się mniej więcej w 1933 roku, a główną metodą stanowiło fizyczne wyniszczenie przede wszystkim duchowych szczytów narodu. W połowie trzydziestych lat, gdy w Rosji uchowało się jeszcze sporo kulturalnych tradycji, kontrast między poziomem duchowego życia w Ukrainie i w Rosji był tak rażący, że — przyznać muszę — sądziłem,

iz stworzono go celowo, aby, nie likwidując ukraińskiej kultury formalnie, skompromitować ją jej uboższą. Obecnie, po piętnastu latach, widać, że było to wrażenie mylne. Rosyjska kultura sprowadzona została do tego samego poziomu, kontrast znikł. Tyle, że identyczny proces został w Rosji rozłożony na dłuższy okres czasu, gdyż główną metodę stanowił nie fizyczny terror, lecz przyciępienie nieuludzkimi warunkami życia i bzdurną propagandą, od której powtarzania nie można się uchylić.

Jako świadka postawię sowiecki film, ponieważ jest on dostępny na Zachodzie, zatem każdy może sprawdzić moje wnioski. Weźmy film „Wielki koncert”. Wybrałem właśnie ten film, bo nie ma on wyjątkowego i bezpośredniego politycznego charakteru, zatem jego prymitywizm nie wynika z nakazów propagandy. Gdy Natasa idzie na pierwszy egzamin do konserwatorium mówi, że na pewno go nie zda i nigdy nie zostanie śpiewaczką, bo jest zbyt mała, na co otrzymuje całkiem poważną odpowiedź: „Można być małym i mieć wielki talent”. Nie ma w tym nic wspólnego z polityką ani propagandą, ale ogarnia mnie przerażenie, bo to, co kryje się za wspomnianą prostą sceną i lakonicznymi słowami, stanowi kultywację truizmu i pustej gadaniny jako stylu życia. Nie lepsze jest końcowe zdanie filmu: „Wszyscy wielcy aktorzy uczą się od życia”. Jest w tym ten sam styl płaskości i prymitywizmu, co w kolorowanych fotografiach, określanych w ZSSR, jako malarstwo, albo w muzyce i idiotycznych tekstach piosenek o „Katuszy”. Zatrącenie indywidualności, oryginalności, elementarnego poczucia stylu.

To samo stosuje się do nauki, przynajmniej humanistycznej (nie podejmuję się wydawać opinii o technice, możliwe, że właśnie atomowe zapalniczki są nienajgorsze). Czasopismo Akademii Naukowej ZSSR, „Zagadnienia językoznawcze” za rok 1952 zamieszcza artykuły dwóch typów. W jednym z nich powtarzane są stalinowskie truizmy o języku (zawsze ta sama „kultura” truizmu); w innych, na poziomie studenckich referatów kopiuje się prace filologów zachodnich z dodatkami na wstępie i w zakończeniu, że w Sowietach wszystko jest lepsze — i to w pracy, opóźnionej o całe trzydzieści lat (już bohater Turgeniewa oświadczył: „dwa razy dwa u nas też daje cztery, ale wychodzi to jakos ż y w i e j”).

Są to zjawiska o d i n t e l i g e n c i a, polityki prowadzonej przez Moskwę z całą konsekwencją. Z pewnego punktu widzenia cała historia rosyjskiej rewolucji stanowi dzieje walki z inteligencją. Słowa — inteligent, inteligentki — używane są często przez Lenina jako obraźliwe. Pogromy inteligencji w pierwszych latach rewolucji były liczniejsze niż pogromy żydowskie, tradycyjne dla dawnej Rosji. W ludowym języku rosyjskim słowo „inteligent” nabiera jakiejś sadyzyczno-sarkastycznej intonacji; oznacza ono człowieka niepotrzebnego, nie dostosowanego do praktycznego życia. Kapelusz — oznaka inteligenta — po dzień jest znienawidzony w ZSSR, stanowi legitymację nienawiści; natomiast panuje szara c z a p e c z k a, („kiepoczka”),

nie próżno określana w tej pieśczołliwej formie. Proces odinteligenecenia trwa crescendo i dotychczas. Lenin miał jeszcze sporo cech dziennikarza, zatem inteligenta. Stalin w swoich buciarach — to już przeciwstawienie inteligencji, ale jeszcze ją do pewnego stopnia rozumie (np. jego stosunek do Gorkiego, albo Aleksieja Tołstoja) i odziedziczył po niej dążenie do własnego stylu, grubo ciosanego, ale jednak własnego. Po przeczytaniu jednej strony już się poznaje jego pióro. Malenkow, o ile można się zorientować, nie ma już i poczucia stylu.

Odinteligenecenie Rosji i podwładnych jej narodów to jeden z wyników tego hasła, które nie było wypisane w żadnym programie, ale określało sobą istotę rosyjskiej rewolucji. Jej charakterystyczną osobliwość stanowił fakt, że nie przyszła ona pod sztandarem polepszenia życia, ale pod hasłem: „Niechaj mi będzie źle, byle mojemu sąsiadowi nie było lepiej!” Wyraźnie i niemal otwarcie obliczona została nie na podwyższenie poziomu życia — materialnego i kulturalnego, ale na likwidację kontrastów na n i ż s z y m p o z i o m i e. I ten swój program wykonała z największym powodzeniem.

Ale zazdrość — a czymże z psychologicznego punktu widzenia (umówiliśmy się nie rozpatrywać zjawiska ze stanowisk politycznych) jest to, jak nie kompleksem zazdrości? — jest uczuciem złożonym. Oznacza pragnienie zniszczenia kogoś, kto stoi wyżej; oznacza pragnienie zajęcia jego miejsca i jednocześnie lęk przed tym. Stąd też we współczesnej Rosji rośnie — psychologicznie usprawiedliwiony — kult szlifów w najszerszym, symbolicznym znaczeniu tego słowa, stąd rośnie kult klasycznego baletu i „rosyjskiej muzyki klasycznej”, Czajkowskiego i Borodina; stąd — a powtarzam, że chodzi o podejście psychologiczne — rośnie sprzeciw wobec modernizmu w sztuce. Bo to pierwsze stanowiło dla inteligencji konieczność, podstawę, minimum, a to drugie — dopiero przebijало sobie drogę. „Rosyjska klasyczna muzyka” — to krawat, przywrócony do praw po długotrwałym okresie podejrzliwości, natomiast modernizm — to kapelusz, ba, więcej — to cylinder, wobec czego odstąpiono je „rekinom Wall Streetu”.

Pociąg do „inteligencności” właściwy bywa nawet lokajom. Kołchoźnicy w „Wielkim koncercie” cytują ni przypiął ni przytątał „Słowo o pułku Igora” podczas przedstawienia „Księcia Igora” (który styłowo ze „Słowem” nie ma nic wspólnego) i zachowują się identycznie tak, jakby zachowali się w podobnej sytuacji lokaje z „Owoców oświaty” Lwa Tołstoja. Psychologia ta polega na gorącym pragnieniu wykazania swej „inteligencności” i zarazem nie pokazywania jej, ukryciu jej, bo po pierwsze, można ją pokazać w niewłaściwym momencie, a po drugie, niebezpiecznie jest wyróżniać się. To dlatego sowiecka uprzywilejowana inteligencja ukrywa swój wyższy poziom życia. To dlatego — w bezpośrednim i przenośnym sensie — korzysta z systemu ukrytych punktów zaopatrzenia. To dlatego primadonna moskiewskiej opery, Dawydowa, ma-

jąca wbród pieniędzy, udaje się do kolchozu w wielce sfatygowanym przydzwiewku i wyśpiewuje jakieś „czastuszki”, a jednocześnie scenarzysta „Wielkiego koncertu” zmusza zwykłą kolchoźnicę do odśpiewania przeboju rosyjskich operowych śpiewaczek, „Słowika” Alabjewa. Tu także tkwi jeden z korzeni owej ludowości, która przerasta całe sowieckie życie i która z taką jaskrawością przejawiała się w odznaczonej nagrodą Stalina książce Małyszki. I w tym klucz do szczerości jego poezji. Jej szczerść znajduje się w stosunku wprost proporcjonalnym do jej ludowości.

Ludowość ta była w istocie rzeczą przejawem strachu rosyjskiej inteligencji, gdy przekonała się, jak mało zna lud i jaki dystans dzieli ją od ludu. Stąd pragnienie u l u d o w i e n i a s i ę, zaprzeczenia samej sobie, jako inteligencji. Stąd wchodzenie w lud. Stąd samobójstwa w latach rewolucji. Kompleks ludowości w obecnym sowieckim życiu stanowi częściowo nieświadome przedłużanie tradycyjnego już stylu życia, częściowo świadome maskowanie się, dążenie do przetrwania jako warstwy, jako właśnie inteligencji. Pod tym względem jego rola zmieniła się o 180 stopni. Ludowość przedrewolucyjna była szczerą i prowadziła do samobójstwa. Współczesna ludowość jest szczerą jedynie do pewnego stopnia, a poza tym to system mimikry, wynikły z instynktu samozachowawczego. Z drugiej strony jednak jest obecnie o tyle szczerza, że dawna ludowość nie sprowadzała inteligencji do ludu, bo nie rozpuszczała jej w prymitywizmie. Natomiast ludowość obecna rozpuszcza inteligencję w prymitywizmie i tym samym zbliża ją do ludu bardziej niż dawna. W t a k i m s e n s i e twierdzenie sowieckiej propagandy, że współczesna sowiecka inteligencja jest ściśle związana z ludem, jest słuszne. Ale to tylko jedna strona prawdy, a po drugiej stronie podświadomy strach i wątpliwość: czy ma się prawo być lepszym od innych, czy ma się prawo okazywać swą wyższość.

O tym, jak powstał ów zarazem zazdrosny, nieszczerze świętoszkowaty i sentymentalny kompleks, który zrodził najpierw udawaną, a następnie szczerą religię prymitywizmu — o tym nie raz pisano w literaturze o rosyjskich „zbytecznych ludziach”. Jedni wyjaśniali go narodową psychologią Rosjan, inni — sztucznością i gwałtownością europeizacji Rosji, tworzącej wyrwę między kulturalnym poziomem wyższych klas a chłopami i proletariatem robotniczym. Nie będę kontynuował tej polemiki, choć raczej skłaniam się do tej drugiej opinii.

Ale niezależnie od genezy tego kompleksu, faktem jest, że on istnieje i że jest mało zrozumiały albo całkiem niezrozumiały dla Zachodu, gdzie — nawet jeśli będziemy abstrahować od filozofii, religii i etyki, a zatrzymamy się jedynie na kryteriach ludzkiego zachowania — hasłem była zawsze swoboda jednostki w jak najlepszym budowaniu własnego życia. I dziś jeszcze, sam tego nie dostrzegając, Zachód znalazł się w sytuacji tołstojewskiego Niechludowa z „Poranku ziemianina”. Niechludow przy-

jechał na wieś, ożywiony najlepszym pragnieniem zrozumienia chłopów, czynienia im dobra, ale oni mu nie wierzą, ani rozumieją, gotowi są nawet kpić sobie z jego dobrych zamiarów. I właśnie wówczas zbity z pantaląku Niechludow, czy też Zachód, czy Blunden ma przed sobą dwie możliwości: przypuścić, że na Wschodzie w ogóle niczego nie ma, prócz próżni prymitywizmu, albo założyć, że za widocznym prymitywizmem kryje się jakaś niezwykła komplikacja zagadkowej rosyjskiej duszy. I tu przychodzi z pomocą Dostojewski, tu śpieszą z taką pomocą Kipling i Toynbee.

Ale problem Dostojewskiego nie był problemem Rosji, a tym mniej — zespółu narodów, złączonych politycznym reżimem rosyjskim; był problemem inteligencji rosyjskiej, której resztki pozostały jedynie na emigracji (i właśnie na emigracyjnym terenie, spotykając się z Amerykanami i w ogóle ludźmi Zachodu, zmuszają ich już samym faktem swego istnienia i swej problematyki do wiary w doniosłość Dostojewskiego dla poznania wielkiej niewiadomej). Podążanie za tym problemem przy najlepszych nawet zamiarach oznacza zabrnęcie w czystą literaturę, we wzruszającą scenę złożenia pocałunku na policzku starej komunistki przez prostytutkę i nauczycielkę, i wspólnej zguby wszystkich trzech.

Zaś wybór pierwszego rozwiązania i uznanie prymitywizmu za organiczną cechę Wschodu jest równoznaczny z zajęciem pozycji hitlerowców, którzy twierdzili, że „Ost” potrzebuje jedynie chleba, gospodarza i nahajki, równoznaczny z pozycją współczesnych Kennanów, którzy sądzą, że narodowe i kulturalne zagadnienia nie mają dla sowieckiego człowieka żadnego znaczenia, że potrzebne mu są jedynie społeczne reformy, czyli — przy pewnej wulgaryzacji sprawy — znowu kawałek chleba, gospodarz i... jeśli nie nahajka, to przynajmniej ściśle normy postępowania.

Nie ma wątpliwości, że prymitywizm został głęboko zaszczerpiony w psychologii narodów ZSSR. Kompleks ludowy wyrósł w Rosji, psychologicznie ma swoje usprawiedliwienie i przejawia się obecnie u wszystkich narodów. Ale u nikogo, nawet u Rosjan, którym jego cechy są najwłaściwsze i wśród których rozwinęły się z żelazną konsekwencją przyczyn i następstw, nie wpływają one z jakiejś niezmiennej wewnętrznej treści. Próżno byłoby poszukiwać dzisiaj w duszy sowieckiego człowieka złożonych problemów moralnych, ale równie niewłaściwie byłoby sądzić, że problemy te są mu w ogóle obce i niedostępne. Zasada jest tu prosta, prawo elementarne: głodny człowiek chce chleba; po nasyceniu się marzy o lepszym pożywieniu; następnie przychodzi marzenie o własnym zacisznym kącie, a jeszcze później o rzeczach bardziej skomplikowanych. O takich, jakie marksizm określa jako nadbudowę. Słusznie — chyba w takim rozumieniu, że człowiek może istnieć jakiś czas, zachowując zdolność ich tworzenia bardziej w potencji niż w rzeczywistości. Przez to nie chcę powiedzieć, że w ZSSR nie istnieje moralność.

Ale istnieje ona bardziej jako odruch i wycucie, niż jako zagadnienie!

Raz jeszcze ku wielkiemu memu żalowi muszę wystąpić w roli andersenowskiego chłopczyka. Zagadnienia są prostsze, niż się wydają. Zachód nie rozumie Wschodu, Wschód nie rozumie Zachodu. To fakt. Winę ponoszą nie tylko zewnętrzne przeschody.

Wschód nie rozumie Zachodu, ponieważ znajduje się na znacznie prymitywniejszym poziomie, skomplikowanym przy tym przez kompleks ludowości. Zachód nie rozumie Wschodu, bo albo przyjmuje prymitywizm za zjawisko organiczne, albo dostrzeka w nim nadzwyczajnych komplikacji. Małyszko i Blunden być może kiedyś się poznają. Możliwe, że ich spotkanie będzie interesujące. Ale dziś jeszcze nie może ono się odbyć.

Jurij SERECH

(Przełożył z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI)

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE

publie notamment dans son numéro de novembre

FRANÇOIS MITTERRAND : La politique française en Afrique du Nord; CZESLAW MIŁOSZ : L'Occident; ALDOUS HUXLEY : Le Français de Paris; PIERRE CORVAL : Prêtres-ouvriers et civilisation du travail; JOSEPH ROTH : Tarabas (extrait) présentation de Hermann Kesten; PIERRE BERGER : Saint-John Perse ou les pleins pouvoirs de la poésie.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8^e).
Téléphone : EUROPE 55-15 à 17 — C.C.P. 17.800 Paris.

Le N° de 112 p. ill. France : 120 frs — Etranger : 150 frs.
Spécimen gratuit sur demande

Der MONAT

MIĘDZYKRAJOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

PROFILS

Revue trimestrielle
consacrée à la vie
culturelle des Etats-Unis

N° 5

Sous la Direction de
MALCOLM COWLEY

POÉSIE
FICTION
MUSIQUE
ARCHITECTURE
ESSAIS
CRITIQUE

Conrad Aiken Changement d'avis

John Cheever Romance réaliste

Richard Gay Isham Street

Otis Ferguson

Le jeune homme au cornet

Hugh Morrison

Maisons américaines de style
moderne

Malcolm Cowley

La situation littéraire
aux États-Unis en 1953

David Riesman

Quelques remarques sur les modifica-
tions à la conception des loisirs

Dominique Arban

Nathaniel Hawthorne

Kenneth Burke

Discours imaginaire d'Antoine

Henry A. Murray

Conrad Aiken

Claude-Edmonde Magny

John Steinbeck : *East of Eden*

Edmund Wilson

The Letters of Theodore Roosevelt

200 PAGES DONT 12 DE PHOTOGRAPHIES
150 fr.

En vente chez votre libraire, ou chez Calmann-Lévy, Editeurs, 3, rue
Auber, Paris-9°. Abonnement (4 numéros) : 550 fr. Etranger : 750 fr.
La revue est publiée aussi à Londres, Florence, Francfort et New York.

GLAD

Fragmenty dziennika

Spotkawszy się z młodym malarzem Eichlerem u Grodzickich, oświadczyłem : nie wierzę w malarstwo ! (Muzykom mówię : nie wierzę w muzykę !) Potem dowiedziałem się od Zygmunta Grocholskiego, że Eichler go pytał, czy ja dla hecy uprawiam takie paradoksy. Oni nie domyślają się, ile w tej hecy jest prawdy... prawdy chyba prawdziwszej od prawd, którymi się karmi ich niewolnicze „przywiązanie” do sztuki.

Wczoraj wybrałem się do Museo Nacional de Bellas Artes z N. N., ulegając jego namowom. Nadmiar obrazów zmęczył mnie zanim jeszcze przystąpiłem do ich oglądania; chodziliśmy od sali do sali; przystawaliśmy przed którymś z obrazów; po czym podchodziliśmy do innego obrazu. Mój towarzysz tchnął, rzecz jasna, „prostotą” i „naturalnością” (tą wtórną naturalnością, będącą przewyciężeniem sztuczności) i, zgodnie z obowiązującym savoir-vivrem wystrzegając się wszystkiego co by mogło być pomówione o przesadę... ja ziałem apatią, która mieniła się barwami obrzydzenia, niechęci, buntu, złości, absurdu...

Oprócz nas jeszcze z dziesięć osób... które podchodziły, przyglądały się, odchodziły... mechaniczność ich ruchów, ich ściszenie, nadawały im pozór marionetek, a oblicza ich były żadne w porównaniu z obliczami, które spoglądały z płócien. Nie po raz pierwszy daje mi się we znaki twarz sztuki, gasząca twarze ludzi żywych. Któż chodzi do muzeum? Malarz jakiś — częściej student szkoły sztuk pięknych, lub uczeń szkół średnich — kobieta niewiedząca co robić z czasem, kilku miłośników — osoby, które przybyły z daleka i zwiedzają miasto — ale, poza tym, nikt prawie, choć wszyscy gotowi przysięgać na kolanach, że Tycjan lub Rembrandt to cuda od jakich zbiegają ich dreszcze.

Nie dziwi mnie ta nieobecność. Wielkie, puste sale obwieszane płótnami są odpychająco wstrętne i zdolne strącić na dno rozpacz. Obrazy nie nadają się do tego, żeby je umieszczać jeden obok drugiego na gołej ścianie, obraz jest po to, aby ozdobił wnętrze i był radością tych, którzy mogą z nim obcować. Tutaj wytwarza się tłok, ilość przytłacza jakość, arcydzieła liczone na tuziny przestają być arcydziełami. Któż może przyj-

rzeń się Murillowi gdy obok Tiepolo domaga się spojrzenia, a dalej trzydzieści innych malowideł krzyczy : patrz, patrz ! Istnieje nieznośny, obnażający, upokarzający kontrast pomiędzy *zamierzeniem* każdego z tych dzieł sztuki, które chcą być jedyne i wyjątkowe, a ich wywiezieniem w tym budynku. Ale sztuka — nie tylko malarska — obfituje w takie marginesowe zgrzyty, absurdy, brzydoty, głupoty, które wyrzucamy poza nawias naszego odczuwania. Nie razi nas stary tenor w roli Zygryda, freski, których nie można dojrzeć, Venus z oderwanym nosem, starość kobiety, deklamującej młode wiersze.

Ja jednak coraz mniej jestem skłonny do dzielenia mojej wrażliwości na przegródki i nie chcę zamykać oczu na absurdy, które towarzyszą sztuce, nie będąc nią. Wymagam od sztuki nie tylko aby była dobra jako sztuka, ale też aby była dobrze osadzona w życiu. Nie chcę tolerować zbyt śmiesznych jej świątyń, ani modłów... zbyt ośmieszających. Jeżeli to są arcydzieła, które takim mają wypełniać nas zachwytem — dlaczego uczucie nasze jest trwożne, niepewne i błędzi po omacku ? Zanim padniemy na kolana przed arcydziełem, zastanawiamy się czy to aby arcydzieło, pytamy nieśmiało, czy powinno nas oszalać, informujemy się skrętnie czy wolno nam doświadczać owych niebiańskich rozkoszy — po czym dopiero oddajemy się zachwytowi. Jakże pogodzić tę piorunującą rzekomo moc sztuki, tak nieodpartą, spontaniczną, oczywistą, z chwiejnością naszej reakcji ? I na każdym kroku zabawne gafy, okropne wpadki, fatalne pomyłki demaskują całą fałszywość naszego języka. Fakty policzkują co chwila nasze kłamstwo. Dlaczego ten oryginał wart jest 10 milionów, a ta jego kopia (choć tak doskonała, że dostarcza tych samych absolutnie wrażeń artystycznych) warta jedynie 10 tysięcy ? Dlaczego przed oryginałem zbiera się nabożny tłum, a kopii nikt nie podziwia ? Tamten obraz dostarczał niebiańskich wzruszeń póki był uważany za „dzieło Leonarda”, ale dziś nikt nań nie spojrzy ponieważ analiza farb wykazała, że to dzieło ucznia. Te plecy Gauguin'a są majstersztykiem, ale żeby ocenić ów majstersztyk trzeba znać technikę, mieć w głowie całą historię malarstwa oraz smak wyspecjalizowany — jakim prawem tedy podziwiają go ci, którym brak przygotowania ? Otóż (tak mówiłem do mego towarzysza po opuszczeniu muzeum) gdybyśmy, zamiast analizować farby, poddali ściślejszemu, doświadczałnemu badaniu reakcje widza, wywabilibyśmy na powierzchnię bezmiar fałszerstw od którego wszystkie Partenony zawałyby się z trzaskiem i splonąłaby ze wstydu Sykstylna.

Lecz on spojrział na mnie spod oka — zrozumiałem, że przeżywa kryzys zaufania. Wywody moje brzmiały mu prostacko nie dlatego że, w jego pojęciu, nie miałem racji, lecz przede wszystkim dlatego, że to nie był język osoby z „towarzystwa” artystycznego i ani Malraux, ani Cocteau, ani żaden inny z ludzi których on považał, nie wypowiedzieliby się w ten sposób. Była to sfera pojęć, z której oni już dawno wyrośli, tak, była to „niższa sfera”, coś naprawdę poniżej poziomu, nie, w tym tonie nie

można mówić o sztuce ! I wiedziałem, co przyszło mu do głowy : że jestem Polakiem, czyli istotą bardziej prymitywną. Lecz jednocześnie byłem autorem książek, które on uważał za „europejskie”... więc chyba nie był to w moich ustach prymitywizm słowiański, ale raczej zgrywa, robienie z siebie wariata. Rzekł : — Pan to mówi żeby się drażnić.

Drażnić ! Jeżeli drażni się ze mną wasza tępota, pozwólcie że i ja podrażnię się z wami ! Dlaczego nie chce się wam przyjąć do wiadomości, iż wyrafinowania nie tylko nie wykluczają prostoty, lecz właśnie powinny i muszą iść nią w parze ? Że ten, kto komplikując siebie, nie potrafi jednocześnie siebie upraszczać, traci zdolność przeciwstawienia się wewnętrznego siłom, które w sobie obudził i które go zniszczą ? Jeżeliby nawet w moich słowach nie było nic więcej, jak tylko chęć nie ulegania sztuce, zachowania wobec niej suwerenności, to już należałoby temu przyklasnąć : gdyż to jest zdrowa polityka artysty. Ale — poza tym — inne, głębsze racje czały się we mnie, o których on nie wiedział. Mogłem być powiedzieć mu :

— Myślisz, że jestem naiwny, a jednak to ty jesteś naiwny. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co dzieje się w tobie, gdy patrzysz na obrazy. Sądzisz, że dobrowolnie zbliżasz się do sztuki, zwabiony jej pięknem, że to obcowanie odbywa się w atmosferze wolności i że spontanicznie rodzi się w tobie rozkosz, wyczarowana boską różdżką Piękności. Naprawdę zaś jest tak, że jakaś ręka schwyciła cię za kark, przyprowadziła przed obraz, rzuciła cię na kolana — i że wola potężniejsza od twojej kazała ci wysiłać się, abyś doświadczył uczuć należytych. Jaka to dłoń i jaka wola ? Ta dłoń nie jest dłonią pojedynczego człowieka, ta wola jest wolą zbiorową, zrodzoną w wymiarze międzyludzkim, zgłota ci obcym. Tak więc, ty wcale nie podziwiasz — ty jedynie starasz się podziwiać.

Mogłem to powiedzieć i wiele więcej... ale wstrzymałem się... To wszystko musi pozostać we mnie zduszone — jakże nadać właściwy ciężar tej myśli, rozbudować ją i zorganizować w obszerniejszej pracy, gdy czas mój jest czasem drobnego urzędnika, przez nikogo nie szanowany ? Wypowiadać się półsłówkami ? Aluzjami do prawdy, której nie można z siebie wydobyć w całej pełni ? Musiałem pozostać niewyznany i fragmentaryczny, beznadziejny wobec absurdu, który mnie wykrzywił... nie tylko mnie...

On mówi : ja podziwiam. Ja mówię : ty usiłujesz podziwiać. Drobną różnicą, a jednak na tym drobnym przeinaczeniu wybudowano górę pobożnego kłamstwa. I w tej to skłamaniej szkole wyrabia się styl ; i nie jedynie — artystyczny, lecz styl myślenia i czucia elity, która uczęszcza tutaj, aby wydoskonalić swoje odczuwanie i zdobyć pewność formy.

Piątek.

Przypominam sobie odczyt, który wygłosiłem kilka lat temu we Fray Mocho (drukowany potem w *Kulturze* : „Przeciw poetom”). Wówczas, gdy starałem się wykazać tym Argentyn-

czykom, przecież tak oddalonym od Europy, konieczność odnowienia naszego podejścia do poezji wierszowanej, powiedziano mi: — Jakto? Pan domaga się, aby sztuka była „dla wszystkich”, pan, który jest typowym pisarzem elitarnym?

Ależ ja bynajmniej nie domagam się sztuki popularnej, ani nie jestem (też to powiedziano) wrogiem sztuki, ani nie podaję w wątpliwość jej wagi i znaczenia. Ja tylko twierdzę, że ona oddziaływuje inaczej, niż sądzimy. I gniewa mnie, że nieznamość tego mechanizmu czyni nas nieautentycznymi tam właśnie, gdzie rzetelność ma największą cenę. A już najbardziej gniewa mnie w Polakach.

Gdyż nasz słowiański stosunek do spraw sztuki jest bardziej luźny, mniej zaangażowaliśmy się w sztukę niż zachodnio-europejskie narody i stać nas na większą swobodę ruchów. To właśnie tłumaczyłem nieraz Zygmuntowi Grocholskiemu, który ciężko przeżywa swoją polskość tak w nim żywiolową, a przywołaną Paryżem; i jego szamotanie jest równie ciężkie jak dramat tylu artystów polskich, których jedynym hasłem stało się „dogonić Europę”, a którym w tym pościgu przeszkadza, że są odmiennym i specyficznym typem Europejczyka, urodzeni w miejscu gdzie Europa nie jest już w pełni Europą. Coś w tym rodzaju powiedziałem też Eichlerowi gdy rozmawialiśmy u Grodzickich:

— Dziwi mnie, że malarze polscy nie próbują wyzyskać atutu, jakim na terenie sztuki jest polskość. Wiecznie macie naśladować Zachód? Korzyć się przed malarstwem, jak Francuzi? Malować z powagą? Malować na kłęczkach, z najgłębszym uszanowaniem, malować nieśmiało? Uznaję ten rodzaj malarstwa, ale przecież on nie leży w naszej naturze, wszak tradycje nasze są inne, Polacy nigdy zbytnio nie przejmowali się sztuką, my skłonni byliśmy sądzić, że nie nos dla tabakiery, a tabakiera dla nosa i bardziej odpowiadała nam myśl, że „człowiek jest powyżej tego co wytwarza”. Przestańcie bać się własnych obrazów, przestańcie wielbić sztukę, potraktujcie ją po polsku, z góry, poddajcie ją sobie, a wówczas wyzwoli się w was oryginalność, otworzą się przed wami nowe drogi i pozyskacie to co jest najcenniejsze, najplodniejsze: własną rzeczywistość.

Nie przekonałem Eichlera, który wiele włożył wysiłku w wyrobienie sobie solidnej europejskości — i spoglądał on na mnie wzrokiem, do którego już się przyzwyczailem, który wyraża: jak łatwo jest gadać! Malarze, plastycy, przytłoczeni ogromem trudności technicznych, skupieni na swej walce o doskonałość rysunku, koloru, nie pragną na ogół wydobyć się ze swego warsztatu, nie doceniają tego, iż nowe ujęcie pozwala rozciąć niejedną węzeł, niedający się rozwiązać. Gdy więc ja żądam od nich, aby byli ludźmi którzy malują — oni chcą być tylko malarzami. A jednak ufam, iż jest w nas dzisiaj miejsce na myśl bardziej własną o sztuce, i twórczą. Kolejno bowiem doświadczyliśmy na sobie dwóch koncepcji, z których jedna, arystokratyczna, zmusza odbiorcę do zachwywania się czymś, czego nie może odczuć ani

pojąć, druga zaś, proletariacka, zmusza twórcę do fabrykowania czegoś, czym gardzi, co jest poniżej niego i dobre tylko dla prostaczków i maluczkich. Zmaganie się tych wrogich szkół odbywa się na naszym ciele i z taką siłą one siebie niszczą, że wytworzyła się w nas próżnia — czy wydobędziemy się kiedyś z tej łaźni oczyszczeni i zdolni do własnego i odrębnego aktu twórczego?

Nie traćcie drogiego czasu na pościg za Europą — nigdy jej nie dogonicie. Nie próbujcie stać się polskimi Matisse'ami — z braków waszych nie urodzi się Braque. Uderzcie raczej w sztukę europejską, bądźcie tymi, którzy demaskują; zamiast podciągać się do cudzej dojrzałości, spróbujcie raczej ujawnić niedojrzałość Europy. Postarajcie się zorganizować wasze prawdziwe odczuwanie, aby uzyskało byt obiektywny w świecie, znajdźcie teorię zgodną z waszą praktyką, stwórzcie krytykę sztuki z waszego punktu widzenia, stwórzcie obraz świata, człowieka, kultury, który by był zgodny z wami — gdy ten obraz namalujecie nie trudno wam przyjdzie malować inne.

Sobota.

G.R. odczytał mi list otrzymany od Polki, o którym twierdzi, że jest właściwie do mnie skierowany. Przepisałem poniższe ustępy:

„Rzeczywiście, nie chcę wiedzieć, nic, nic, nic, chcę tylko wierzyć. Wierzę w nieomyślność mojej wiary i w prawdziwość moich zasad. Ktoś zdrowy nie chce narażać się na bakcyle, a ja nie chcę wdychać miazmatu myślowego, mogącego nadwąlić wiarę moją, która mnie jest koniecznie potrzebna do życia, a nawet jest samym życiem moim...”

„Wierzyć można tylko jeśli się chce wierzyć i jeśli się w sobie pielęgnuje wiarę, a kto wystawia umyślnie wiarę swoją na próbę, żeby sprawdzić czy ona aby tę próbę wytrzyma, ten już nie wierzy w wiarę. Tak jest, że nie tylko trzeba wierzyć. Trzeba wierzyć, że trzeba wierzyć. Trzeba mieć wiarę w wiarę! Wiarę w siebie trzeba pokochać”.

„Wiara bez wiary w wiarę nie jest mocna, ani też nikomu nie może przynieść satysfakcji”.

Odczytałem to we Fray Mocho. Pytano z ciekawością, czy katolicyzm w Polsce jest obecnie równie gorący jak przedtem i czy Polonia *siempre fidelis*? Powiedziałem, że Polska dzisiejsza jest jak kawałek suchego chleba, który z trzaskiem łamie się na dwie części: wierzącą i niewierzącą. Powróciwszy do domu, pomyślałem, że ustępy powyższe nadają się do rozpatrzenia. Ta „wiara w wiarę”, ten tak silny akcent położony na akcie woli, stwarzającym wiarę, to wycofywanie się z wiary w sferę, gdzie ona się tworzy — oto coś co rzeczywiście mnie zahacza.

Poza tym: jakie mam zająć stanowisko wobec katolicyzmu? Nie mam na myśli mojej pracy ściśle artystycznej, gdyż tam nie wybiera się stanowisk ani postaw, sztuka stwarza się sama — ale myślę o mojej literaturze w jej kształcie społecznym, o tych

tam artykułach, felietonach... Jestem zupełnie sam w obliczu tego problemu, ponieważ myśl nasza, sparaliżowana w roku 1939, nie ruszyła się odąd ani na krok naprzód w dziedzinie tych spraw fundamentalnych. Niczego nie możemy przemyśleć ponieważ nie mamy swobodnej głowy. Myśl nasza tak bardzo jest przykuta do naszej sytuacji i tak zafascynowana komunizmem, iż możemy myśleć jedynie przeciw niemu lub z nim — i *avant la lettre* jesteśmy przytwierdzeni do jego rydwanu, pokonał nas, wiążąc nas z sobą, choć cieszymy się pozorami wolności. Więc i o katolicyzmie wolno dziś myśleć jedynie jako o sile zdolnej do oporu, a Bóg stał się pistoletem, z którego pragniemy zastrzelić Marksa. To jest święta tajemnica, która chyli głowy wytrawnych masonów, z laickich felietonów wyгнаła dowcip antykleerykalny, poecie Lechoniowi dyktuje wzruszające strofy do Matki Boskiej, socjalistyczno-ateistycznym profesorom przywraca wzruszającą niewinność z czasów pierwszej komunii i w ogóle działa cuda, o jakich dotąd nie śniło się filozofom. Ale... jestże to triumf Boga, czy Marksa? Gdybym był Marksem, byłbym dumny — ale gdybym był Bogiem, czułbym się, jako absolut, trochę nieswojo. Faryzeusze! Jeśli katolicyzm stał się wam potrzebny, to zdobądźcie się na nieco więcej powagi i spróbujcie naprawdę zbliżyć się do niego. Niech ten wspólny front nie będzie tylko polityką. Jestem po prostu za tym aby, cokolwiek się dzieje w naszym życiu duchowym, działało się w sposób możliwie najgłębszy i najrzetelniejszy. Nadeszła chwila w której ateści powinni szukać nowego porozumienia z Kościołem.

Lecz zagadnienie, postawione w sposób zasadniczy, staje się natychmiast tak odstręczająco trudne iż, doprawdy, opadają ręce. Jak mamy porozumieć się z kimś, kto wierzy, chce wierzyć i nie dopuszcza do siebie innej myśli jak tylko tę, której dogmat nie wsadzi na indeks? Czyż istnieje jakikolwiek wspólny język pomiędzy mną, który wywodzę się z Montaigne'a i Rabelego, a tą zapamiętałą w wierze korespondentką? Cokolwiek bym powiedział, ona przymierzy to do swojej doktryny. W niej wszystko jest już rozstrzygnięte, gdyż ona zna ostateczną prawdę o wszechświecie — co sprawia, iż jej człowieczeństwo ma zupełnie odmienny charakter i, z mego punktu widzenia, niezmiernie dziwaczny. Aby z nią dojść do ładu musiałbym skruszyć te jej ostateczne prawdy — ale im bardziej stanę się dla niej przekonujący, tym bardziej będę szatański i tym szczerzej ona zatka uszy. Nie wolno jej dopuszczać zwątpienia, racje moje staną się właśnie pożywką jej *credo quia absurdum*.

Tutaj zaś nasuwa się groźna analogia. Gdy rozmawiasz z komunistą — czy nie masz wrażenia, że mówisz z „wierzącym”? Dla komunisty także wszystko jest załatwione, przynajmniej w obecnej fazie dialektycznego procesu, on jest w posiadaniu prawdy, on wie. I, co więcej, wierzy, i, co więcej jeszcze, chce wierzyć. Choćbyś go przekonał, on nie da się przekonać, gdyż oddał się Partii: Partia wie lepiej, Partia wie za niego. Czyż nie wydało ci się, gdy twe słowa odbijały się od tego hermetyzmu,

jak groch o ścianę, że właściwa linia podziału biegnie między wierzącymi a niewierzącymi i że ów kontyent wiary obejmuje tak skłócone kościoły jak katolicyzm, komunizm, nazizm, faszyzm... W tej więc chwili poczułeś się jak zagrożony kolosalną świętą Inkwizycją.

Sobota.

Inżynier Ł. zaprosił mnie na zebranie pewnego Katolickiego Stowarzyszenia. Ze dwadzieścia osób i zakonnik. Odmówiono krótką modlitwę, po czym Ł. czytał teksty Simone Weil w własnym i bardzo dobrym — o ile mogłem sądzić — tłumaczeniu. Potem dyskusja.

Jak zawsze na takich zebraniach, uderzył mnie przede wszystkim rozpaczliwe braki techniczne tego przedsięwzięcia. Simone Weil jest trudna, skondensowana, naładowana przeżyciem wewnętrznym, do wielu jej myśli trzeba powracać po kilka razy — ktoś z tych ludzi mógł uchwycić je w locie, przyswoić sobie, zapamiętać? Ale, gdyby nawet je uchwycono...

Dyskusja była z tych, które nikogo nie są zdolne zaniepokoić, ponieważ stały się chlebem codziennym. Mimo to zdawało mi się, że sytuacja przemawia do mnie jak Szekspir:

*Ale jest we mnie coś niebezpiecznego,
Czego, ci radzę, strzeż się...*

To nieprawda, że wszyscy są równi i że każdy może omawiać każdego. Simone Weil dostała się w tryby tych mniej wyrobionych umysłów, tych dusz chyba mniej dojrzałych i tym to nieporadnym trybem poczęto walcować zjawisko o wiele wyższe i przewyższające. Przemawiali skromnie i bez pretensji, ale nikt nie zdobył się na stwierdzenie, że nie rozumiał i że w ogóle nie ma prawa o tym mówić.

Najdziwniejsze było iż oni, będąc o sobie o tyle poniżej Weil, traktowali ją z góry, z wyżyn tej zbiorowej mądrości, która ich wywyższała. Czuli się w posiadaniu Prawdy. Gdyby na tej sesji pojawił się Sokrates, odnieśliby się do niego jak do żaka, gdyż on nie był wtajemniczony... Oni wiedzą lepiej.

Ten właśnie mechanizm, który człowiekowi niższemu pozwala uniknąć osobistej konfrontacji z wyższym, wydał mi się niemoralny.

Niedziela.

A jednak nie życzę sobie, nie pragnę wojny z katolicyzmem; szczerze szukam porozumienia. I to, rzecz jasna, niezależnie od politycznej koniunktury. Wiele wody upłynęło od czasów gdy Boy atakował „czarną okupację”. Nie byłem nigdy zwolennikiem zbyt płaskiego laicyzmu, a wojna i powojnie niewiele mnie zmieniły w tym względzie, raczej utwierdziły w pożądanym świecie bardziej elastycznego, o głębszej perspektywie.

Jeżeli mogę współżyć z katolicyzmem to dlatego, że coraz mniej mnie obchodzi idea, a cały nacisk kładę na stosunek człowieka do idei. Idea jest i będzie zawsze parawanem, za którym dzieją się sprawy inne i ważniejsze. Idea jest pretekstem. Idea jest narzędziem pomocniczym. Myślenie, które w oderwaniu od rzeczywistości ludzkiej, jest czymś majestatycznym i wspaniałym, rozprawdzone w masie istot namiętnych i niedostatecznych staje się niczym więcej, jak tylko wrzaskiem. Znudziły mi się głupie dyskusje. Kontredans argumentacji. Wyniosłe mądrzenie się inteligentów. Puste formuły filozofii. Rozmowy nasze byłyby wspaniałe, ach, tak, pełne logiki, dyscypliny, erudycji, metody, precyzji, zasadnicze, doniosłe, odkrywcze, gdyby nie odbywały się o dwadzieścia pięter powyżej nas. Byłem niedawno u pewnego intelektualisty na śniadaniu. Nikt by się nie domyślił, słysząc te definicje poparte tylu cytatai, że to zupełnie ślepy półgłówek, który się wyżywa w sferze wyższej.

To znużenie nie tylko mnie jest właściwe. I ono coraz bardziej zniechęca do wszelkiej wymiany myśli. Już prawie nie wsłuchuję się w treść słów, a tylko słucham *jak* one są mówione; i wymagam od człowieka jedynie tego, aby nie dał się ogłupić własnymi swymi mądrościami, aby jego światopogląd nie odebrał mu naturalnego rozumu, jego doktryna nie pozbawiła go ludzkości, jego system nie usztywnił go i nie zmechanizował, jego filozofia nie uczyniła go tępym. Żyję w świecie, który jeszcze karmi się systemami, ideami, doktrynami, ale symptomy niestrawności są coraz wyraźniejsze, pacjent już dostał czkawki.

Niechęć, jaką odczuwam do idei jako takiej, pozwala mi znaleźć *modus vivendi* z ludźmi, którzy je wyznają. Pytanie, które stawiam katolikom nie jest: jakiego Boga wyznają, a tylko: jakimi pragną być ludźmi? A zadając je, liczę się z niedorozwojem człowieka. W moim pojęciu oni zespolili się w grupę, podległą pewnemu mitowi, aby wzajemnie się stwarzać. Dla mnie przeto mit ma charakter pomocniczy, a ważne jest, jaki człowiek rodzi się pod jego wpływem. Ale i tu wymagania moje stały się mniej wyszukane niż dawniej, w epoce triumfującego rozumu. Dziś, gdy przyglądam się katolikowi to jakbym sobie się przyglądał — w tym zwierciadle widzę zmiany, jakie dokonały się we mnie pod działaniem surowej historii ostatnich lat. Czy domagam się dzisiaj od ludzkości aby była postępową, zwalczała przesady,niosła sztandar oświaty i kultury, dbała o rozwój sztuki i nauki? Zapewne... ale przede wszystkim pragnąłbym, aby ten drugi człowiek mnie nie ugryził, nie zapluł i nie zadreczył. I tu spotykam się z katolicyzmem. Łączy mnie z nim jego przenikliwe wyczucie piekła, zawartego w naturze naszej i jego lęk przed nadmierną dynamiką człowieka. Przyglądając się katolikowi widzę, iż stałem się pod pewnymi względami ostrożniejszy. To co w dumnej dobie Nietzschego uchodziło za sprzeniewierzenie się życiu dionizyjskiemu, ta właśnie oględna polityka katolicyzmu w stosunku do sił przyrodzonych stała mi się bliższa odkąd wola

życia, podniesiona do swego maksymalnego napięcia, poczęła siebie pożerać.

Bliski stał mi się Kościół w swojej nieufności do człowieka — i moja niechęć do formy, moje pragnienie wycofania się z kształtu, owo stwierdzenie „to jeszcze nie jestem ja”, które towarzyszy każdej mojej myśli i uczuciu, pokrywa się z intencjami Jego doktryny. Kościół boi się człowieka i ja boję się człowieka. Kościół nie ufa człowiekowi i ja nie ufam. Kościół, przeciwstawiając doczesność wieczności, ziemi-niebo, usiłuje zapewnić człowiekowi ten właśnie dystans do jego natury, który i mnie jest konieczny. A nigdzie wyraźnie nie zaznacza się to pokrewieństwo, jak w naszym podejściu do Piękności. I ja i On — Kościół — obawiamy się piękności na tym padole łez, dążymy do jej rozładowania, pragniemy bronić się przed nadmiernym oczarowaniem. Decydujące jest dla mnie, że i On, i ja, domagamy się rozdwojenia człowieka, On — na ludzki i boski pierwiastek, ja — na życie i świadomość. Po okresie w którym sztuka, filozofia, polityka rozglądały się za człowiekiem integralnym, jednolitym, konkretnym, dosłownym, wzrasta zapotrzebowanie na człowieka nieuchwytnego, będącego grą sprzeczności, fontanną wytryskającą z antynomii, systemem nieskończonej kompensacji. A ten kto nazwie to „eskapizmem”, jest niemądry.

Dojrzewamy pomimo wszystko, gdzieś na samym spodzie. Jeżeli katolicyzm wyrządził, w moim pojęciu, wielkie szkody polskiemu rozwojowi, to ponieważ spłynął się w nas do wymiaru zbyt łatwej i zbyt pogodnej filozofii, będącej na usługach życia i jego bezpośrednich potrzeb. Z katolicyzmem głębokim, tragicznym, nie trudno porozumieć się dzisiaj literaturze, albowiem zawiera on tę treść emocjonalną, która i w nas rośnie, gdy spoglądamy na rozwydrzenie świata. Odwrót! Odwrót! Odwrót! Z chwilą gdy pojmiemy żeśmy za daleko zabrnęli, gdy zechcemy wycofać się z siebie, genialny Chrystus poda nam rękę: ta dusza, jak żadna inna, poznała sekret odwrotu. Nauka, która rozwaliła państwo rzymskie, jest sprzymierzeńcem naszym w walce o zburzenie wszystkich zbyt wyniosłych gmachów, jakie dzisiaj budujemy, o dotarcie do nagości i prostoty, do zwykłej, elementarnej cnoty.

Kryzys intelektualny, jaki przeżywamy, nie tyle może należy przypisać zwątpieniu w siłę rozumu, ile temu, że jego zasięg jest tak nieznaczny. Z przerażeniem ujraliśmy: że otacza nas milionowy bezmiar umysłów ciemnych, które porywają nam prawdy nasze, aby je paczyć, pomniejszać, przerabiać na narzędzie swoich namiętności; i odkryliśmy, że ilość ludzi jest bardziej decydująca, niż jakość prawd. Stąd gwałtowna w nas potrzeba języka tak prostego i zasadniczego, iżby mógł on być miejscem, na którym spotyka się filozof z analfabetą. I stąd podziw nasz dla chrześcijaństwa, które jest mądrością obliczoną na wszystkie umysły, śpiewem na wszystkie głosy od najwyższych do najniższych, mądrością, która nie musi przetworzyć się w głupotę na żadnym szczeblu świadomości. Ale, gdyby mi ktoś powiedział,

że mimo to nie może istnieć żadne prawdziwe porozumienie pomiędzy człowiekiem swobodnym duchowo a człowiekiem dogmatycznym, odpowiem: — Przyjrzyjcie się lepiej katolikom. Oni także istnieją w czasie i poddani są jego działaniu. Zmienia się niedostrzegalnie i powoli stosunek katolika do wiary. W iluż z nich zdolacie odczytać to samo, co ja przeczytałem w liście o którym mowa na początku: „Trzeba wierzyć że trzeba wierzyć. Trzeba mieć wiarę w wiarę”.

Ojciec tej pani zapewne wierzył po prostu — bez wstępnych zabiegów. Lecz ona, aby uwierzyć, musi naprzód „chcieć wierzyć”, wiara w niej staje się wysiłkiem. Gdy więc tej katoliczce Bóg przestaje się objawiać, gdy ona musi go sobie stwarzać — czyż nie spadamy z nieba na ziemię i czy ta wola wiary nie jest ludzka, arcyłudzka? Tak to i wiara objawiona rozpoczęła, wraz ze wszystkimi ideami ludzkimi, marsz ku swoim źródłom. Więć i z tamtej strony nie tyle prawda jest przeszkodą w porozumieniu, ile wola, pragnienie narzucenia sobie pewnego kanonu, aby być kimś określonym — być kimś.

Mówię na własny użytek: mieć na uwadze ten fakt, nigdy nie tracić go z oczu, szukać punktu gdzie Boskie schodzi się z ludzkim, gdyż od tego zależy cała przyszłość mojego myślenia. Nigdy nie powinienem zapomnieć, że wiary współczesne, nawet w najgwałtowniejszych swoich przejawach, nie są już wiarą w dawniejszym tego słowa znaczeniu. Ci co chcą wierzyć różnią się bardzo od tych, którzy wierzą. Akcent położony przez współczesność na wytwarzaniu wiary dowodzi właśnie, że wiary gotowej zabrakło. Niezależnie od tego, jakie są nasze creda, wszyscy musimy przewekslować ze świata objawionego, gotowego, na świat stwarzający się — jeśli to się nie stanie, zniknie ostatnia możliwość porozumienia.

Czwartek.

Koncert w Colonie.

Jakież znaczenie ma najlepszy nawet wirtuoz w porównaniu z dyspozycją mojej duszy, która dziś po południu przeniknięta została na wskroś melodią, fałszywie przez kogoś zanuconą, a teraz, wieczorem, odpycha ze wstrętem muzykę podaną przez wyfraczonego *maitre'a* na złożonym półmisku, z pulpetami *et tutti quanti*. Niezawsze jedzenie najbardziej smakuje w restauracjach pierwszej klasy. Do mnie zresztą prawie zawsze sztuka przemawia silniej gdy objawia się w sposób niedoskonały, przypadkowy i fragmentaryczny, niejako sygnalizując mi jedynie swoją obecność, pozwalając przeczuć siebie poza nieudolnością interpretacji. Wolę Szopena, dolatującego przez okno, na ulicy, niż Szopena ze wszystkimi szykanami na koncertowej estradzie.

Ten Niemiec-pianista galopował z towarzyszeniem orkiestry. Ukołysany tonami, błąkałem się w jakimś rozmarzeniu — wspomnienia — to znów sprawa, którą załatwić mam jutro — piesek Bumfili, foksterierek... Tymczasem koncert funkcjonował, pianista galopował. Byłże to pianista, czy koń? Byłbym przysię-

gał, że wcale tu nie idzie o Mozarta, tylko o to, czy ten rączy rumak weźmie w cuglach Horowitza lub Rubinsteina. Faceci i facetki tu obecni zaprzętnięci byli pytaniem: jakiej klasy jest ten wirtuoz, czy jego piana są na miarę Arrau, a jego forta na wysokości Guldy? Marzyło mi się więc, że to mecz bokserski i widziałem, jak on bocznym sierpowym osażem zajechał Braiłowskiego, oktawami łupnął Giesekinga, tryłem wymierzył knock-out Solomonowi. Pianista, koń, bokser? Wtem wydało mi się, że to bokser, który dosiadł Mozarta, jedzie na Mozarcie, tłukąc go i waląc w niego i bębniąc i kłując ostrogami. Co to? Dojechał do mety! Oklaski, oklaski, oklaski! Dżokej zsiadł z konia i klaniał się, ocierając czoło chusteczką.

Westchnęła hrabina, z którą siedziałem w łoży: — Cudne, cudne, cudne!...

Rzekł mąż jej, hrabia: — Ja się nie znam, ale miałem wrażenie, że orkiestra nie nadażała...

Spojrzałem na nich, jak na psów! Jakież to jest denerwujące, gdy arystokracja nie umie się zachować! Tak mało się od nich wymaga, a nawet tego nie potrafią! Te osoby powinny być wiedzieć, że muzyka jest jedynie pretekstem dla zebrania towarzyskiego, którego i one były częścią wraz z manierami swymi i manikurami. Lecz zamiast pozostać na swoim terenie, w swoim arystokratyczno-towarzyskim świecie, zapragnęły wziąć na serio sztukę, poczuły się do obowiązku złożenia jej trwożliwego hołdu — i, wytrącone z hrabiostwa, popadły w żakostwo! Chętnie zgodziłbym się na czysto formalne frazesy, wypowiedziane z cynizmem ludzi, znających wagę komplementu... ale oni usiłowali być szczerzy... biedacy!

Po czym przeszliśmy do foyer. Oczy moje spoczęły na znakomitym tłumie, który krążył, rozdając ukłony. Czy widzisz, milioner X, Y? Patrz, patrz, tam generał z ambasadorem, a dalej prezes obkadza ministra, który uśmiech śle profesorowej! Sądziłem więc, że jestem pośród bohaterów Prousta, kiedy to nie szło się na koncert, aby słuchać, lecz jedynie aby go uświetnić swoją obecnością, gdy damy wtykały sobie Wagnera we włosy jak brylantową agrafę, gdy przy dźwiękach Bacha odbywała się parada nazwisk, godności, tytułów, pieniędzy i władzy. Ale co to, co to? Gdy przystąpił do nich, nastąpił zmierzch bogów, zniknęła wielkość i potęga... dosłyszałem iż dzielił się wrażeniami z koncertu... które to wrażenia były nieśmiałe, korne, pełne uszanowania dla muzyki a zarazem gorsze od tego, co by mógł powiedzieć byle „aficionado” z paradyżu. Na to więc im ze szło? Wydało mi się, że to nie prezesa a uczniowie z piątej klasy szkoły średniej; a ponieważ z niechęcią wracam do tych czasów szkolnych, porzuciłem tę nieśmiałą młodzież.

I sam, w łoży, rozmyślałem, ja, nowoczesny, ja, pozbawiony przesądów, ja, antysalonowiec, ja, któremu bicz klęski wybił z głowy fochy i fupy — że świat w którym człowiek ubóstwiał się muzyką, bardziej trafia mi do przekonania niż świat, w którym człowiek ubóstwiał muzykę.

Po czym odbyła się druga część koncertu. Pianista, dosiadłszy Brahmsa, galopował. Nikt właściwie nie wiedział co się gra, ponieważ doskonałość pianisty nie dozwalała skupić się na Brahmsie, a doskonałość Brahmsa odrywała uwagę od pianisty. Ale dojechał. Oklaski. Oklaski znawców. Oklaski amatorów. Oklaski ignorantów. Oklaski stadowe. Oklaski wywołane oklaskami. Oklaski rosnące sobą, piętrzące się na sobie, podniecające, wywołujące siebie — i już nikt nie mógł nie klaskać, gdyż wszyscy klaskali.

Poszliśmy za kulisy, żeby złożyć hołd artyście.

Artysta ścisnął dłonie, wymieniał grzeczności, przyjmował komplementy i zaproszenia z bladym uśmiechem wędrownej komety. Przyglądałem się jemu i jego wielkości. On sam wydawał się bardzo przyjemny, ot, wrażliwy, inteligentny, kulturalny... ale jego wielkość? Tę wielkość nosił on na sobie, jak frak, i rzeczywiście — czyż nie została mu skrojona przez krawca? Na widok tyłu tak skwapliwych hołdów mogłoby się zdawać, że nie ma większej różnicy pomiędzy tą sławą a sławą Debussy'ego lub Ravela, nazwisko jego również było na wszystkich ustach i wszak był „artystą” jak oni... A jednak... a jednak... Czy był on sławny jak Beethoven czy też jak nożyki do golenia Gillette, lub jak pióra wieczne Watermana? Jakaż różnica pomiędzy sławą za którą się płaci, a sławą, na której się zarabia!

Ale on był za słaby, aby się przeciwstawić mechanizmowi, który go wywyższał, nie należało oczekiwać od niego oporu. Wprost przeciwnie. Tańczył jak mu zagrano. I grał do tańca tym, którzy wokół niego tańczyli.

Pianiści! Przyjaciele! Nie gniewajcie się na dłoń, która porząsa wami, na palec, który ukazuje wam wroga, na usta, które szepczą: oto śmieszność, oto problem! Nie szykana lecz czułość przeze mnie przemawia. Nie z soli jestem ani z roli, ale z tego, co mnie boli.

Witold GOMBROWICZ

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZACH
Bezpłatna wysyłka
Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Ballada o pogrzebanym życiu

Nie wystarczy przystawić kamery do oka i wodzić nią po świecie. Na obrazy trzeba czatować, trzeba budować je z elementów wybranych z miazgi codzienności. Podobnie jest z wierzeniami. Trzeba umieć i chcieć wybierać z potoku codziennych doznań tylko cząstki najistotniejsze, naszczepki, z których, po umiejętnym osadzeniu, rozwinie się gałąź owocodajna. Sprawa nie jest łatwa. Rzadko kiedy bowiem pisarz, podejmujący któryś z tematów teraźniejszości, chce lub po prostu może budować w spokoju swój utwór. Na bodziec, nagi jak zacięgiec batem, chce odpowiedzieć na odlew. Zaangażowanie się zmusza do walki ruchomej, nie ma czasu ni miejsca na medytację.

Dziwny zbieg okoliczności pozwolił niemieckiemu poecie Rudolfowi Hagelstange na napisanie *Ballady o pogrzebanym życiu* (*). Tragiczny i piękny poemat wziął swój początek z lakonicznej wiadomości podanej przez polską agencję prasową. 17-go czerwca 1951-go roku, jak podało radio warszawskie, robotnicy kruszący poniemieckie bunkry, przebiwszy betonową ścianę, ujrzeli dwu żołnierzy Wehrmachtu wychodzących po omacku na światło. Jeden z nich, oślepiiony dniem, padł nieżywy. Drugiego w stanie beznadziejnym zabrano do szpitala. Biedacy ci należeli do sześciuosobowej załogi bunkra-magazynu. W 1945-tym r. wybuch na powierzchni zasypał korytarz prowadzący na świat i na światło. Żywności mieli pod dostatkiem. Jedyne wodę zbierali ze szczelin w betonie. Zmarłych kolegów grzebali w mące. Dwu popełniło samobójstwo, dwóch innych zmarło. Tyle podał komunikat prasowy i tym materiałem dysponował poeta.

Od znajomych, mieszkających w Gdyni, dowiedzieliśmy się przypadkiem jednego szczegółu więcej. Ludność okolicznych wiosek twierdziła, że w bunkrze „straszy”, gdyż po nocy słychać było jak gdyby wycie, wydobywające się spod ziemi...

Przypatrzmy się teraz poematowi i porównajmy gałąź z naszczepką. Różnica jest ogromna. Hagelstange skorzystał z pre-

*) *Ballade vom Verschuetteten Leben*, stron 70, Insel-Verlag, 1952.

tekstu, nieludzko smutnego pretekstu, aby napisać swój poemat, aby zawrzeć w nim od lat noszone i przemyślane treści. Nie zadowolili się artystycznym rozwinięciem i oświetleniem wydarzeń. Według własnej woli kazał żyć i mówić sześciuosobowemu, pogrzebanemu żywcem, Niemcowi. Pomiędzy sześciu żołnierzy, nędznijących w mroku: studenta wyrwanego z rodziny, urzędnika, sierżanta Weniga, stolarza, Krzysztofa-katolika i ostatniego, który celowo nie otrzymał imienia, abyśmy osobiście uczestniczyli w jego losach — pomiędzy nich wszystkich rozdzielił poeta role bogate i autentyczne. Najtrudniejszą z nich obarczył Hagelstange sierżanta Weniga. Ten, niegdyś policjant kierujący ruchem ulicznym „niby Mojżesz, zatrzymujący wzburzone mory, aby ułatwić dwojgu dzieciom bezpieczne przejście, lub osobiście przeprowadzający na drugi brzeg na wprost ślepego urzędnika” i sierżant Wenig, co „niedaleko Zaporozża trzysta Żydówek, za jednym zamachem sprzedał ziemi” to jeden i ten sam człowiek. W mroku bunkra, w czasie straszliwej, kilkuletniej godziny śmierci Wenig rozmawia z towarzyszami niedoli, wczorajszymi żołnierzami zwyciężającego imperium. Poeta pozwala nam wglądać w myśli Weniga: „Wiedział na pewno. Nie wolno odejść od lady życia, nie zapłaciwszy rachunku. A Wenig zabawiał się krwawo...”

I gdy inni, mając jak i on sumienia niespokojne, mówią: „Nie możemy za to płacić”... „Wenig myślał: Tę sprawę załatwić winien każdy sam”... i skoro „inni posnęli, nabił służbowy pistolet i splacił co pozostawało. Wenig był całym sobą. Więcej niczego nie posiadał”.

Można by cytować inne fragmenty i przedstawić inne sylwetki. Wybraliśmy postać Weniga, uważając, iż jest najbardziej typowa i najwszechstronnej oświetlająca autora.

Tok dramatyczny poematu nie słabnie ani na chwilę. Wyobraźnia poety odbudowała, noc po nocy, lata podziemnego bytowania. Jak w nadrealistycznym obrazie oglądamy to co się dzieje „pod powierzchnią światła”. Zgaśnięcie ostatniej świecy, po czym następuje „podwójna noc”, pochód wymordowanych Żydów, powstających z dołów, widziany oczami sprawcy Weniga, jak i przenikanie stukotu kilofów, niosących światło, do świadomości wycieńczonych — wszystkie te motywy są majstersztykami literackiej roboty. Bez czulenia się, męskim, szerokim, ale utrzymanym w garści zdaniem, poeta przeprowadza swój plan, wykorzystując możliwości fabuły. Doskonałe władanie językiem pozwala mu na budowę celnych neologizmów, a patos i liczne reminiscencje biblijne nadają „Balladzie o pogrzebanym życiu” śniadą powierzchnię brązu. Głęboka, człowiecza zaduma przenika cały poemat. Odkładając książkę, wiemy, że poprzez losy jednostek poeta wyciąga braterską rękę ku nam wszystkim, „z prochu powstałym”.

Marian PANKOWSKI

Z „ballady o pogrzebanym życiu”

(PROLOG)

W proch idzie wszystko. I tylko stopnie są różne.

*Żelazo i skała i ziemia puszysta,
którą podnosisz łopata i trwały,
kamienny dom; jak i lepianka krucha;
skruszone ziarno, talerz wypalany,
z którego codziennie bierzesz chleb.
Prochem twój ząb, co miele w uciążliwej potrzebie,
prochem twój życie i ciało, zmieszane
z wodą, pełne wody,
i dobrze światłem upieczone, skwarem
żarzących się gwiazd zgarnięte razem;
chwila napięcia pomiędzy
wzrostem a zagładą,
między pragnieniem a spokojem.
Pył, wytryskujący w świetle, roziskrzony,
jak wiosną kwiatów zapłodnienie,
jak srebrny pył motyli skrzydeł;
znużony proch, oślepy w mroku piwnic;
wśród sześciu desek dębiny spoczywający,
stóp sześć pod powierzchnią światła.
I tylko stopnie są różne.
Mimo to czasem proch
powstaje przeciw prochowi.
I nienawidzą się ciała. Pałace
napadają na chaty. Żelazo
wdziera się w ciszę kamieni.
Umiera ziarno niedojrzałe
pod stopą wojsk wojujących,
Kruszą się: talerz i zęby i kościec...
I naraz pęka
łagodne i ciche
napięcie pomiędzy rzeczami,
Skłębia się w rozpękające jądro atomów
i na oślepa rozprasza zawartość. W końcu
znowu jest proch, ten sam co był już raz,
ten sam co będzie.*

Przez kilka dni, tygodni, przez kilka lat
 dopełniły się metamorfozy stulecia.
 Rychleż umiera żelazo i wraca
 do ziemi. Rychleż umiera
 wapienna zaprawa.
 Godziny, sekundy — i ciało spalone.
 Rdza i popiół, zgnilizna.
 Ach, jaki pośpiech...

Posłuchaj nowej opowieści o prochu,
 Stóp sześć lub sześćdziesiąt pod powierzchnią światła.
 (Tam tysiąc jest równi jednemu)

(EPILOG)

Oto jest nowa opowieść o prochu,
 dawna o wiecznym świetle jedynie.
 Wahamy się długo — przez całe życie —
 by ją odczytać.
 I słupem wstaje proch i opada,
 przysypując Adama,
 z prochu powstałego,
 i w nicość go wtrąca z powrotem,
 na spoczywanie.
 A światło zwołuje pokolenia za pokoleniami,
 nienarodzonych, zaginionych, aby
 z tysiąca czarnych milczeni
 dali życie
 jednemu, jasnemu dziecięciu.

Rudolf HAGELSTANGE

Z niemieckiego przełożył Marian PANKOWSKI

Psalmy z Holloway Road

I.

Pan Bóg mieszka na Holloway Road.
 — Nie wiedzieliście o tym?
 Pan Bóg ma dom z ogródkiem,
 Białe firanki w oknach
 I Anioła na ganku.
 Anioł śpiewa mu „Gloria”,
 Firanki drżą na wietrze,
 A Pan Bóg siedzi w oknie
 I pije „cup of tea”.

Mówił mi kiedyś Anioł,
 Że Panu Bogu smutno.
 Że Mu bratki nie wzeszły,
 Stokrotki nie zakwitły,
 I pękła mu sprężyna w gramofonie.

Więc sama teraz nie wiem —
 Może by Mu pożyczyć własne radio?
 Bo stary jest i słaby,
 Lubi siedzieć w fotelu
 I słuchać mszy z Notre Dame.

Boże mój, miły Boże,
 Pożyczymy Ci radio,
 Posadzimy stokrotki,
 Zaśpiewamy „Hosanna” pod oknem.

Anioł wyjdzie na balkon,
 Zwiewnie się nam ukloni,
 Uśmiech z ust pošle
 I rzuci
 Różę.

II.

Anioły siedzą na dachach
I puszczają latawce;
Święto na Holloway Road.

Archanioł Gabriel ma dziś sztywny kołnierzyk,
Bo go zaprosiła na karwę Święta Zofia.
Archanioł Michał obiecał przynieść wino,
A Święta Marta z Magdą upieką torty.

O jak miło, wesolo,
Manna dziś pada z nieba.
Gospodynie, dziewczęta!
Nadstawiajcie fartuchy
Nieście wiadra i garnki —
Święto na Holloway Road.

Czy wiecie, że za rogiem,
Na gruzach i śmietnikach
Wyrósł sad?
W tym sadzie, pod jabłonią
Mieszkają Adam z Ewą.
Adam zrywa owoce,
A Ewa je rozdaje,
Placi im za to wszystko
„County Council”.

Wieczorem, po kolacji,
Jest w sadzie wielki bal.
Będzie tam moc atrakcji —
Ewa wystąpi z wężem,
Noe wypłynie w barce,
Zaspiewa rajski chór.
W przerwach między tańcami
Dzieci dostaną lody,
A rodzice „free drinks”.

Latawce lecą w niebo,
Manna pada na ziemię,
W sadzie orkiestra gra.
O jak miło, wesolo,
Każdy ma kwiatek w klapie
Każdy — uśmiech na twarzy —
Święto na Holloway Road.

.....

Danuta BIENKOWSKA

Archiwum polityczne

Istotne i nieistotne aspekty wyborów niemieckich

Opinia krajów zachodnich „powitała” — jak się mówi w języku dziennikarskim — „z żywym zadowoleniem” wyniki ostatnich wyborów powszechnych niemieckich. Komentatorzy wymieniają trzy przyczyny tego zadowolenia: wyraźną niechęć wyborców do neo-nazich, klęskę neutralistów, którzy niedawno jeszcze zdawali się mieć bardzo silną pozycję, i pomyślny układ wachlarza partyjnego, pozwalający na stworzenie w Bonn trwałego rządu, upoważnionego przez wyborców do ponownego uzbrojenia Niemiec.

Komentatorzy i obserwatorzy zachodni mogliby słusznym tytułem mówić o „szczęściu negatywnym” Europy. Jak bowiem wyglądałaby sytuacja, gdyby na jeden chociażby z wymienionych punktów głosujący dali mniej zadawalającą odpowiedź? Wysyłając do parlamentu większą grupę nazich, opowiadając się za neutralnością lub wybierając parlament niezdolny do żadnej decyzji, wyborcy niemieccy grzebaliby ostatecznie próby obrony Europy i zmuszali niejako Stany Zjednoczone do szukania innych dróg.

Wyniki wyborów, wraz z cofnięciem się głosów komunistów, stworzyły wrażenie, że Niemcy, wychodząc z przymusowego odosobnienia, w wolnych wyborach zgłosili swą solidarność z Zachodem i gotowość do wzięcia udziału w jego ewentualnej obronie.

Szukając wyrazów bardziej realistycznych dla określenia tych zmian, przypominam sobie formułę słyszaną przed trzema laty od jednego z niemieckich znajomych: „Niemcy są krajem okupowanym, nie mającym własnej inicjatywy. Ich ludność nie może przedsięwziąć nic użytecznego dla polepszenia groźnej sytuacji własnego kraju i Europy i — dla utrzymania się przy życiu — musi starać się utrzymać najlepsze stosunki ze wszystkimi obecnymi i możliwymi okupantami”. Do tej formuły wyborcy dodali obecnie słowa: „Ludność Niemiec Zachodnich musi jednak dolożyć wszelkich starań, aby nie znaleźć się pod okupacją sowiecką”.

Zmiany zasze w orientacji wyborców niemieckich były pośrednim i bezpośrednim skutkiem uderzającego przeoczenia w kalkulacjach Kremla, stosującego we wschodniej części Niemiec tę samą politykę szybkiej sowietyzacji i eksploatacji co w innych krajach strefy wpływów sowieckich. Władcy wschodniej połowy świata przeoczyli najwidoczniej fakt, że Niemcy posiadają na Zachodzie pozycję zupełnie inną niż Polska, Węgry, Rumunia itd.

Od czasów lorda Bolingbroke'a, który w początku XVIII wieku wytyczył granice tzw. systemu europejskiego wyłączając zeń kraje środkowo-wschodniej Europy, Zachód nigdy nie interesował się bliżej krajami leżącymi na wschód od Niemiec, biorąc co najwyżej pod uwagę ich siły zbrojne. Inna była pozycja Niemiec, na terenie których od XVII wieku rozgrywały się wielkie konflikty dzielące świat zachodni: walka między katolicyzmem i protestantyzmem, walki przeciw hegemonii Francji, potem Niemiec, walka między instytucjami socjalistycznymi i liberalnymi itd. Żaden ważny wypadek na terenie Niemiec nie mógł minąć bez głośnego echa w całym „systemie” europejskim czy atlantyckim. Tym mniej mógł pozostać bez skutku fakt tego rozmiaru co sowietyzacja znacznej części obszaru germańskiego.

Pojęcia jakie świat zachodni posiada o systemie sowieckim i jego metodach podboju są w większej części pochodzenia niemieckiego. Tam setki tysięcy żołnierzy amerykańskich miały sposobność zetknięcia się z tymi sprawami, co musiało mieć niemały wpływ na wytworzenie się w Stanach Zjednoczonych obecnych nastrojów przeciwsowieckich. Tam wreszcie tysiące turystów z Zachodu miały możliwość oglądać na własne oczy w Berlinie cień leżący na ruinach wschodniej części miasta. Wiadomości z krajów dalej położonych były dla Zachodu obojętne i przez to samo pozbawione tego samego stopnia wiarygodności.

Niemcy mogli też nierównie swobodniej wyrażać swe niezadowolone z okupacji sowieckiej. Zagrożeń w zonie wschodniej szukali schronienia w Republice Federalnej, gdy mieszkańcy dalej położonych krajów nie mieli takich możliwości. Nawet pozostający w zonie wschodniej korzystali z dobroczynnej bliskości linii demarkacyjnej otrzymując — jak czytamy w gazetach — przeszło milion tzw. paczek Eisenhowera, gdy do dalszych krajów mogła co najwyżej dotrzeć niesiona pomyślnym wiatrem jedna z Biblii wysyłanych pocztą balonową.

Od czasów J. M. Keynesa Niemcy posiadały na Zachodzie wielu wpływowych adwokatów, jakich brakło ludom środkowo-wschodniej Europy. Kraje anglosaskie posiadały stare tradycje germanofilskie i nigdy nie miały z Niemcami trwałych lub zasadniczych konfliktów, gotowe zresztą zawsze do odwracania alianców. Kalcę wojenną nie zdążyli jeszcze wyjść ze szpitali, kiedy już generałowie niemieccy znaleźli w Anglii swych apologetów.

Dla tych przyczyn Zachód szybko znalazł drogę do zrozumienia nowych Niemiec, do poczucia solidarności z ich ludnością i do włączenia wczorajszych wrogów do zachodniej wspólnoty

interesów. Dla znalezienia drogi do innych krajów strefy wpływów sowieckich Zachód nie zrobił dotąd żadnego godnego uwagi wysiłku, wysyłając tam co najwyżej na zwiady swych reprezentatywnych komunistów.

Od dawna więc już było widoczne, że sowietyzacja i eksploatacja Niemiec Wschodnich musiała przynieść pogłębienie i zaostrzenie konfliktu „ideologicznego” między Zachodem i Wschodem i do różnych konsekwencji praktycznych wzrastającego napięcia. Władcy Kremla bądź nic sobie z tego nie robili, bądź też przeoczyli imponderabilia, na których w znacznej mierze polega odrębna pozycja Niemiec w opinii Zachodu. Spadkobiercy Stalina usiłują dziś naprawić tę omyłkę i, przy pomocy tzw. liberalnego kursu, zdążyli w ciągu paru miesięcy odrobić ją w połowie. W sferze złudzeń, w której toczy się zimna wojna, nie jest ważne czy „kurs liberalny” posiada jakąś praktyczną rzeczywistość. Wystarczy, aby Zachód o nim codziennie mówił. Wówczas i rozstrzelanie paru socjaldemokratów przybierze zupełnie inny charakter, bo przecież policja wszystkich krajów podczas zamieszek „robi użytek z broni”.



Okres wojny koreańskiej był rozstrzygający dla orientacji wyborców niemieckich. Wypadki 1945 i atmosfera lekkomyślności, w jakiej dokonano wówczas podziału świata na strefy wpływów, musiały z natury rzeczy obudzić w ludności niemieckiej wątpliwość czy i na jakiej granicy świat anglosaski zamierza bronić swego stanu posiadania w Europie. Nawet imponująca pomoc Ameryki w odbudowie Niemiec nie mogła rozwiać wszystkich wątpliwości. Stany Zjednoczone znajdowały się długo w okresie zmiany rządu, i nikt nie był pewien czy wybory nie przyniosą również zmian w polityce zagranicznej jedynego mocarstwa mogącego stawić opór Moskwie. W kraju leżącym przy samej linii demarkacyjnej nikomu w tych warunkach nie było spieszo z wypowiedzeniem własnego zdania.

Przebieg wojny koreańskiej obudził przekonanie, że w ciągu najbliższych lat przynajmniej Stany Zjednoczone będą broniły swej strefy wpływów, nawet na odcinkach mniej rozstrzygających od niemieckiego. Pozory stabilizacji linii demarkacyjnej stworzyły wreszcie sytuację, w której wyborcy niemieccy mogli się wypowiedzieć.

Jeżeli chodzi o zagadnienie neutralności czy uzbrojenia, wolno przypuszczać, że wyborcy niemieccy wyciągnęli pewne wnioski z konfliktu Syngmana Rhee z jego potężnymi sprzymierzeńcami. Każdy bowiem może sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądałby Syngman Rhee i jego rząd, gdyby nie posiadał własnej armii, trzymającej podówczas większą część frontu. Sytuację tę zrozumieli w lot generałowie chińscy, uderzając w przeddzień rozjemcy na odcinek koreański dla sprawdzenia czy żołnierze będą stawiali opór w obliczu nowego rozbioru kraju. Bez własnej

armii, rząd południowej Korei znalazłby się w położeniu gorszym niż emigracyjny rząd polski w Londynie i znikłby zapewne w jednej chwili, nie zostawiając po sobie nawet jednej depeszy wojennych korespondentów.

Niemcy nie prowadziły dotąd wojen na spółkę z silniejszymi od siebie aliantami, nie znaly trosk Henryka Dąbrowskiego, księcia Józefa Poniatowskiego i Piłsudskiego, i nie miały doświadczeń potrzebnych do rozpoznania tych aspektów ponownego uzbrojenia. Wypadki koreańskie były dla nich nauką poglądową, ukazującą tę sprawę w nowym oświetleniu.

W wyborach z września ludność Niemiec Zachodnich zajęła pewne stanowisko, wydała pewien sąd wartościujący, dokonała pewnego wyboru i przede wszystkim wypowiedziała pewne życzenie. Mając do wyboru system kapitalistyczny z ingerencją okupantów i system komunistyczny z ingerencją okupantów, wypowiedziała się niemal jednomyślnie za pierwszą alternatywę. Osiągnąwszy w krótkim czasie, dzięki pomocy amerykańskiej i godnemu podziwu wysiłkowi ludności, niespodzianie wysoki poziom zamożności, mieszkańcy Niemiec Zachodnich chcieliby oczywiście utrwalić ten stan rzeczy i zgłaszają dziś gotowość do wzięcia udziału w obronie tej części Europy.

W życzeniach wypowiedzianych przez wyborców uderza rozsądek i poczucie proporcji. Wnioski, jakie można by wyciągnąć z ostatnich osiągnięć gospodarczych i organizacyjnych oraz z uderzającej dyscypliny wewnętrznej ludności niemieckiej, nie obudziły dawnych marzeń o hegemonii Europy zachodniej. W tym sensie wyborcy nie wypowiedzieli żadnych życzeń.

Z takim samym poczuciem proporcji wyborcy potraktowali sprawę zjednoczenia Niemiec Zachodnich i Wschodnich. Stany Zjednoczone okazały w Korei gotowość do obrony swej strefy wpływów, ale i Kreml, potrząsając bombą H, dał niedwuznacznie do zrozumienia, że swego nie ustąpi. Jest dla wszystkich jasne, że wyniki ostatnich wyborów nie tylko nie przyspieszyły, ale oddaliły zapewne zjednoczenie Niemiec, ludność Niemiec Zachodnich wydaje się dziś jednak pogodzona z myślą, że zjednoczenie należy do odległej i niejasnej przyszłości.

Umiarkowany charakter wypowiedzianych życzeń zwraca uwagę na skromność i warunkowość wszystkich życzeń wypowiedzianych dziś w Europie. Demokracja i niepodległość, wolność i równość nie mają dziś charakteru postulatów absolutnych, jak w czasach stosunkowo niedawnych, kiedy Europejczycy mieli przekonanie, że rozstrzygają o nich sami w ostatniej instancji. Każdy dziś wie, że spełnienie najskromniejszych nawet życzeń zależy od intencji dwóch mocarstw, rozstrzygających o niepodległości, granicach, dobrobycie i instytucjach krajów pozostałych.

Warunki i okoliczności rozejmu w Korei wykazały, że wielkie mocarstwa prerogują sobie prawo dzielenia między sobą — jeżeli im jest tak wygodnie — terytorium i ludności swych mniejszych aliantów. Takie rzeczy widywano już dawniej. Machiavelli sądzi, że leżą one niejako w prawach natury rządzących mechanizmem władzy i przemocy. Zastanówmy się jednak, czy jakakolwiek z wielkich koalicji znanych z historii — na przykład koalicje przeciw Ludwikowi XIV lub Napoleonowi — mogłyby dojść do skutku, gdyby takie uprawnienia silniejszych aliantów były z góry wiadome. Wystarczy przejrzeć dokumenty tamtych czasów i zapoznać się z ich tonem, aby odpowiedzieć bez wahania, że nie. Tymczasem postawa mniejszych państw podczas rokowań koreańskich wykazała, że prerogatywy silniejszych aliantów zostały przez nie bez reszty uznane.

Jaki więc będzie los przyszłych koalicji? Zarówno pobożne życzenia jak zobowiązania słabszych krajów będą odtąd warunkowe, pisane na wodzie, zależne od każdorazowej oceny sił dwóch wielkich antagonistów. Słabszy z nich zostanie natychmiast opuszczony przez mniejszych sprzymierzeńców, mogących z góry przewidywać, że będzie pierwszą ofiarą zbrojnego konfliktu lub przedmiotem handlu przypadającym z natury rzeczy stronie silniejszej.

Jaki więc sens mają w tej koniunkturze zbrojenia niemieckie? Być może w miarę rozwoju broni atomowych zbrojenia krajów europejskich utracą wszelkie znaczenie. Na razie posiadanie własnych sił zbrojnych daje im pewnego rodzaju prawo głosu. W czasach wyścigu zbrojeń rządy nie posiadające armii są nieme. Posiadanie własnych sił zbrojnych podnosi je do godności partnerów, oczywiście nie partnerów rozgrywek, lecz partnerów rozmów. W najgorszym wypadku — jeżeli nie przeoczą terminów — mają możliwość negocjowania ceny swej kapitulacji. Negocjacje takie nie wróżą pomyślnie o niepodległości kraju, ale mogą zapewnić niejaki korzyści jego ludności. Od jednego z wyższych urzędników niemieckiego ministerstwa pracy z czasów Hitlera słyszałem, że Hacha i Chwalkovsky, przyjmując protektorat Trzeciej Rzeszy, wytargowali dla swych robotników warunki, które stały się potem solą w oku administracji niemieckiej, zmuszonej do przyznawania robotnikom czeskim w Rzeszy różnych cennych uprawnień, jakich nie posiadali ich koledzy niemieccy.

Wspomnienia tej i tylu innych kapitulacji są niedawne. Latem na przedmieściach niemieckich widać wieczorem pod kasztanami tysiące robotników, drobnych urzędników i kupców odpoczywających w rodzaju osłupienia po całodziennej, wyczerpanej pracy. Wszyscy pamiętają czasy Republiki Wejmarskiej i lata następne. Rozmowy toczą się półgłosem, przerywane długimi okresami milczenia. W tych rozmowach decydują się wyniki wyborów; w nich Niemcy oczyszczają się powoli z resztek hitlerowskiego szalu zniszczenia i zagłady; w nich wreszcie zapadła bez entuzjazmu decyzja o ponownym uzbrojeniu kraju. Ograniczony

charakter celów tego uzbrojenia musiał być wszystkim jasno widoczny.

W zmaganiu się dwóch światów Zachód nie wydał dotąd żadnej myśli mogącej wprawić w zakłopotanie przeciwnika i zdaje się liczyć tylko na przewagę swej techniki i siły zbrojnej. Przy tych założeniach gry, uzbrojenie Niemiec wkłada na Zachód nieunikniony obowiązek stałego zachowywania przewagi sił. Jeżeli szala przechyli się na chwilę chociażby na stronę Kremla, siły zbrojne Niemiec i Europy na nic się nie przydadzą lub staną się tylko martwym ciężarem powiększającym rozmiar katastrofy.

W tego rodzaju wysścigach nie widziano dotąd, aby jedna ze stron uznała się sama za słabszą. Nie widać też wcale, aby brak sił zbrojnych był najpilniejszą troską władców wschodniej połowy świata, którzy być może przyjmą nawet wiadomość o uzbrojeniu Niemiec obojętnie, licząc, że w dalszej rozgrywce siły niemieckie nie nastroją im żadnej trudności.

Paweł HOSTOWIEC

Niemcy po Wielkiej Przegranej

W miarę jak się wojna oddala — dzieli nas niebawem od jej wybuchu całe piętnastolecie — mnożą się źródła i opracowania niemieckie — niektóre z nich podobne do szczątków, odgrzebanych spod ruin. Należy podziwiać, w tej zarówno jak innych dziedzinach, sprężystą aktywność tego narodu, zdolnego zawsze do wyczerpanej pracy i solidarnego wysiłku. Dzisiejsze, kadłubowe Niemcy, rezultat operacji dokonanych w Moskwie, Jaltcie i Poczdamie, obejmują nie więcej jak dwie trzecie Niemców, a jednak w zakresie przemysłowej działalności, przystosowania do konkurencji, powrotnej ekspansji na Środkowy Wschód, zaczynają dościgać dowojenne swe bilanse. Jakże odległe to czasy, gdy niedojrzałe lub szaleem wojny otumanione umysły zastanawiały się nad „pastoryzacją” Niemiec, odjęciem im przemysłu i kontrolowaniem ich ekonomii! Jakże dalecy jesteśmy od podobnych pomysłów niejednych Polaków, którzy tak trudno się uczą w polityce odróżniać życzenia własne od rzeczywistości, a zwykli są brać za dobrą monetę propagandowe zapewnienia czasowych przyjaciół! Osiem lat, dzielących nas od Poczdamu, bogate były w niejedno doświadczenie, a jedną z uzyskanych odtąd nauk jest, że wojna nie zmieniła podstawowych faktów geografii, że naród niemiecki istnieje nadal i że z jego trwaniem należy się liczyć.

A liczyć się powinni nade wszystko Polacy z tym geo-politycznym faktem, że ich sąsiedztwo z Niemcami jest pierwiastkiem stałym — historycznie i geograficznie bardziej permanentnym, aniżeli na przykład sąsiedztwo z Rosją.

Jednym z niewątpliwych dowodów odradzającej się żywotności niemieckiej jest tedy wzrastająca ilość publikacji, odnoszących się do wojny i do wielkiej przegranej. Oczywiście publikacje dokumentów są w znacznym stopniu monopolem mocarstw anglosaskich, będących w posiadaniu głównych archiwów niemieckich. Tam więc, w Ameryce i w Anglii, zaczęto je publikować, najpierw wyjątki z protokółów konferencji sztabowych morskich, następnie wydawnictwo aktów dyplomatycznych, obejmujące w pięciu dotychczas ogłoszonych tomach okres czteroletni przed wojną — zajęcie Austrii, podbój Czechosłowacji, przygotowania na Dalekim Wschodzie i preludia konfliktu z Polską. Uczni niemieccy nie zostali w żadnym stopniu powołani do współpracy w opracowaniu tych zbiorów. Sowiety zdolały pochwycić pewną ilość aktów, ale ogłosiły z nich tylko drobne fragmenty, jako ripostę na rewelacje amerykańskie. Poza tym, wojskowe archiwa niemieckie, na ile w ogóle ocalały, pozostają nadal nieknięte, a los dokumentów Gestapo jest nieznanym.

Teraz jednakże, na całym froncie międzynarodowych wydawnictw, wkroczyły publikacje niemieckie. Do poprzednio już wydanych, przeważnie w Szwajcarii, wspomnień Gisevius'a, von Hassela, Schachta, odnalezionych przypadkiem zapisek Goebelsa, przybyły pamiętniki Abetsa, Kordta, Weizsaekera, Schmidta, von Papena, Meissnera, von Dircksen, Kleista. Ogłoszono spisywane w okresie wojny rozmowy Hitlera. Obok tej politycznej literatury pamiętnikarskiej tłumnie zgłosili się wojskowi. Rozpoczął tę serię wątpliwą auto-apologią szef sztabu Halder. Ogłosił dalej swe ważne studia strategiczno-taktyczne generał, komendant armij pancernych, Guderian. Wspomnienia swe opublikowali również generałowie: Hagen, jeden z szefów wywiadu; Heusingen — szef oddziału operacyjnego w sztabie, Hossbach — audytant przydzielony przez Wehrmacht do Hitlera, Westphal — szef sztabu Rommla. Ogłoszono ocalale jakichś cudem od zagłady papiery generałów Becka i Rommla. Ujawniono, w książce Anstruttera, część materiałów odnoszących się do tajemniczej postaci admirała Canarisa. Na właściwe studia wojskowo-historyczne należy jeszcze czekać, tym bardziej, że odbija się tu brak technicznego warsztatu Niemiec dzisiejszych, pozbawionych wojska, szkół wojskowych i sztabu. Za to pojawiać się już zaczynają, opracowania historyczne i źródłowe opowieści: na czoło ich wysuwają się, zarówno wielkim talentem pisarskim, jak nagromadzeniem faktycznego materiału, jak wreszcie wagą swych rewelacji, książki Jürgena Thorwalda: opis ostatniego roku wojny Hitlera i opis sprawy Własowa.

Rozkwit tej literatury historyczno-politycznej i wojskowej, dotyczącej ostatniej wojny, winien być śledzony z baczną uwagą, w szczególności przez Polaków. Nie dotyczy to tylko dziejowego

ła zagadnień, albo epizodów, z którymi związana jest tak żywa krew i los Polski. Dotyczy to w równej, jeśli nie większej mierze psyche niemieckiej, jak się ona odzwierciadla w reminiscencjach wielkiego kataklizmu, w poglądach na to co zaszło, w ocenie przyczyn i źródeł. Dotyczy to także wniosków na przyszłość: jak i na ile, i w jakim kierunku psyche tego narodu się zmienia? — Jeżeli Niemcy zając mają z powrotem należne im miejsce w środku Europy, jeżeli znowu, bez akompaniamentu rzezi i pożarów. Polska ma być w sąsiedzkich stosunkach z Niemcami, powstaje pytanie: kimże są teraz te Niemcy? co pozostało i trwa jeszcze w duszy niemieckiej ze straszego odmetu epoki Hitlera? jakie pierwiastki rodzą się tam dzisiaj i co zapładniają na przyszłość? — Albowiem Niemcy mogą się przyczynić do odrodzenia moralnego zbiorowości ludzkiej, ale mogą także stać się raz jeszcze przewodem sił przeciw-społecznych, poparciem dla bezczłowieczeństwa.

Szkice niniejsze, mając tę sprawę naczelną na widoku, zajmują się szeregiem zagadnień konkretnych, epizodów zamkniętych w czasie. W nich, lepiej aniżeli w rozważaniach teoretycznych, lub w bezcelowej polemice przekonaniowej, odbija się dawna i nowa historia.

JAK HITLER OSIĄGNĄŁ WŁADZĘ

W dniach 28-30 stycznia 1933 r. kruchy, sześćdziesięciodniowy gabinet generała Kurta von Schleichera, następcą również nietrwałego, sześciomiesięcznego gabinetu Franza von Papena, został obalony i Hitler stał się Kanclerzem Rzeszy Niemieckiej. Był to pierwszy kamień, spadający w przepaść, który pociągnął za sobą lawinę. Do dziś pozostaje zagadką, jak mogło się stać, że cały aparat władzy wielkiego państwa, włącznie z jego parlamentarnym ustrojem i socjalną strukturą, reprezentowany przez ludzi o dużej kulturze umysłowej a pewnym minimum przeciętnej chrześcijańskiej etyki, mógł z dnia na dzień dostać się do rąk pół-szaleńca, pół-wizjonera, o poziomie intelektualnym niedokształconego samouka, o ledwie ukrytym obliczu moralnego potwora.

Spomiędzy głównych aktorów tego dziwnego dramatu trzej — Hindenburg, Hitler i Schleicher — nie żyją i nie pozostawili swej własnej wersji; czwarty — von Papen — żyje, zeznawał w Norymberdze i napisał mętną i samo-usprawiedliwiającą książkę. Bezpośredni i współczynniki świadkowie — szef kancelarii Prezydenta Otto Meissner i jego syn, Oskar Hindenburg — zeznał w Norymberdze, względnie przed denazyfikacyjnym trybunałem i podobnie jak Meissner w swej książce, powiedzieli niewiele. Historia, pomimo wielości źródeł, pozostaje niepewna i nieco bezradna.

Z tego, co widzieć można, ustala się wrażenie, że Hitler sam tylko w pewnym stopniu przyczynił się do własnego zwycięstwa,

i to głównie niepokromioną, nieustającą propagandą i agitacją wyborczą: nie wydawał się być czym innym jak tylko kłopotliwym partyjnym demagogiem. Wśród ludzi, którzy go na piedestał władzy wydzignęli, pierwsze miejsce należy się nieodwołalnie Schleicherowi. Ten polityczny generał, wyjątek ze wzorowo zdyscyplinowanej armii, był właściwie pośledniego gatunku intrygantem. Zaczął od podkopania swego towarzysza broni, a raczej przelożonego generała Groenera, wiernego demokratycznemu rządowi, jedynego mocnego człowieka w przeciwhitlerowskim obozie. Schleicher zbliżył się do Hitlera już wczesną jesienią 1931 i zapośredniczył w pierwszych zetknięciach z Brüningiem i Hindenburgiem; powtórzył następnie te kontakty w listopadzie i w grudniu; a wywoławszy wiosną 1932, na tle ustaw anti-nazistowskich, upadek Groenera, negocjował wraz z Hitlerem i jego agentami wywrócenie Kanclerza Brüninga. (30 maja). Utrąciwszy potem swego przyjaciela Papena i doszedłszy do władzy, 2 grudnia 1932, całą swą krótkotrwałą czynność kanclerską obrócił na pojednanie z Hitlerem i jego zausznikami, a wprowadzenie Führera do rządu państwa. W ten sposób przez półtora roku torował mu szlaki i gotował jego panowanie.

Współczesna fama, jeśli nie plotka, i za nią idąc, historiografia angielska przypisały decydującą i poniekąd złowrogą rolę von Papenowi. On istotnie zapośredniczył, w ostatnich dniach stycznia 1933 r., utworzeniu rządu i został w nim jako podkanclerzy u boku Kanclerza Hitlera; on ostatecznie, z pomocą pomniejszych doradców Prezydenta, nakłonił ośmdziesięcioletniego Hindenburga do wzięcia na siebie całego odium. Lecz w gruncie rzeczy von Papen, człowiek na wskroś słaby, wieczny kombinator w poszukiwaniu najdogodniejszej drogi, szedł tylko szlakiem wytyczonym przez Schleichera i naśladował go, chcąc go zwalczyć. Żadnej nie było diabelskiej sztuki w tej żalostnej grze dwóch czy czterech mało ważnych figurantów, rozgrywających zawiłą partię między słabnącym starcem, godnym przedstawicielem starej pruskiej tradycji, a rwącym się do dzikiego czynu i srogiej władzy austriackim plebejuszem. Zaś wszyscy razem działali jak igraszki losu¹⁾.

1) Jest to już utartym sloganem u anglosaskich historyków i politycznych pisarzy składać całą winę i odpowiedzialność za wprowadzenie Hitlera na von Papen'a. Tendencja ta przejawia się nawet w najnowszej, opartej na źródłach książce Alan Bullock'a, *Hitler, A Study in Tyranny*, London (1952), który podaje wprawdzie szczegółowo etapy intryg von Schleichera, lecz mimo to przypisuje główną wagę wypadkom stycznia 1933 i ówczesnej akcji von Papena. Tendencja ta jest odgłosem upodobań żywnionych w pewnych kołach zachodnich — może masonskich — dla Schleichera i rachubach z tym związanych.

Własne opowiadanie Hitlera, wg *Hitler's Tabletalks*, London (1953), str. 495 sqq., jest wyraźnie apologetyczne i ukrywa właściwą rolę Schleichera, którą wówczas już niedogodnie było Hitlerowi wspominać. Por. również mało przekonujący i w każdym razie niepełny opis całego przebiegu wypadków przez von Papena, *Memoirs*, rozdz. XIII.

Jest w całej tej ponurej historii jeden epizod, zasługujący na szczególną uwagę. Epizod ten dotyczy Polski. Działo się to wtedy, gdy Schleicher przygotowywał upadek gabinetu von Papena. Na posiedzenie Rady ministrów, 2 grudnia 1932 r., w obliczu groźby zaburzeń wewnętrznych, do jakich prowadzić mogła nieustępliwa polityka Kanclerza, wezwany został jako rzeczoznawca sztabu major Ott, późniejszy ambasador niemiecki w Japonii. Ott był adiutantem generała Schleichera i fakt że przewodniczący Kanclerz von Papen zgodził się na wezwanie tego właśnie sztabowca dziwnie świadczy o orientacji politycznej i personalnej szefa rządu. Według późniejszego świadectwa samegoż Otta, raport jego, przedłożony Radzie ministrów, przedstawiał w sposób następujący możliwości obronne ustroju :

...W Prusach Wschodnich ubezpieczenie granic państwa pozostaje troską naczelną. Granice wytknięte przez Traktat Wersalski są nadal przedmiotem kontrowersji, a stosunki z Polską są bardzo napięte. Istnieje wyraźna możliwość że wewnętrzne zatargi w Niemczech zostaną wykorzystane przez polskie czynniki radykalne jako pretekst do interwencji. Garnizony niemieckie w Prusach Wschodnich zostałyby odcięte od całości kraju i uzależnione całkowicie od zapasów własnych. Nawet siły milicji stanowiłyby jedynie stosunkowo słabą ochronę na granicy. Stanowią je elementy młode, łatwo podległe wpływom narodowego socjalizmu, wskutek tego nie można by ręczyć za ich współdziałanie. Podwójna konieczność obrony granicy i utrzymania wewnętrznego porządku uczyniłaby utrzymanie wojskowej dyscypliny niemożliwym...

Raport Otta wywołał panikę na Radzie ministrów, a przedłożony Hindenburgowi, jego negatywną reakcją i dymisją gabinetu von Papena, ostatecznie zapory przeciw narastającej fali radykalizmu socjalnego i narodowego.

Oczywiście, cały ten raport był sformułowany a d u s u m d e l p n i n i, a jeśli chodzi o Polskę, był próżnym, wymyślonym postrachem. Polska u początku lat trzydziestych, nie otrząsnąwszy się jeszcze ze skutków kryzysu gospodarczego, nie myślała o niczym innym, jak o utrzymaniu granic własnych, o zabezpieczeniu samej siebie. Pod statecznym i przewidującym kierownictwem Piłsudskiego postawiła sobie zadanie zachowania równowagi między sąsiadami, zaś wbrew opinii historyków angielskich, uprzedzonych lub nie znających istotnego stanu rzeczy, zdawała sobie sprawę z trudności i niebezpieczeństw, związanych z takim stanowiskiem i położeniem geograficznym. Stawiała więc sobie za cel utrzymanie pokoju, dopóki jej samej nikt nie zagrażał. Wobec tego, w jej interesie politycznym leżało panowanie w Niemczech elementów umiarkowanych, nie skłaniających się ku eksperymentom socjalnym, ani ku awanturom nacjonalistycznym. Najdalszą jej była myśl „wykorzystania” zamieszek zwróconych przeciwko rządowi Hindenburga i kanclerzy Brueninga czy Papena²⁾.

2) Relacja von Otta z późniejszej daty (raport oryginalny pozostał nieznanym) podana u Papena : Franz von Papen, *Memoirs*, London (1952),

Pozostaje rzeczą znaną, że autorzy niemieccy, piszący o tym epizodzie w swoich wspomnieniach, nie protestują tej, tak oczywiście fałszywej wersji o prawdopodobieństwie agresji ze strony Polski. Sam von Papen, cytując relację majora Otta, nie podaje w wątpliwość jego absurdalnej tezy o niebezpieczeństwie, grożącym Niemcom w postaci owych „radykalnych” Polaków. Miał on przecież w swym ręku jako Kanclerz Rzeszy raporty von Moltke'go z Warszawy i musiał znać istotny stan rzeczy. Ale utrzymanie przy życiu fałszywych legend jest przyjętym w piśmiennictwie politycznym zwyczajem i może zawsze jeszcze, w pewnych okolicznościach, okazać się potrzebne³⁾.

NIEMCY MIĘDZY FRANCJĄ A POLSKĄ

Wątpliwe jest czy którykolwiek z pisarzy politycznych, określających trudne położenie geograficzne Polski pomiędzy Rosją a Niemcami, zastanowił się nad analogicznym położeniem Niemiec : najpierw pomiędzy Francją a Rosją następnie między Francją a Polską. Tym geo-politycznym zagadnieniem tłumaczy się polityka Bismarcka, przekładającego niestałą równowagę z Rosją nad restytuowanie Polski ; gdyż Polska niepodległa skracająca odległość dwóch frontów. *Der Zweifrontenkrieg* — wojna na dwa fronty — był przyczyną „koszmaru koalicji” u Bismarcka, groźnym memento dla Sztabu Schlieffena, a w końcu Nemesis dla Hitlera. Przegrana dwóch wielkich wojen była tyleż skutkiem złej polityki, co groźnego położenia geograficznego.

Obok podobieństwa istniały również doniosłe różnice. Sojusz obronny francusko-polski nie wyrównywał nigdy, ani swą polityczną intencją ani wojskowym znaczeniem, obronno-zaczeptego sojuszu Francji z Rosją. Polska pozostała dla Francji do końca aliantem pobocznym. Francja nie była nigdy aliantem Polski po jej drugiej stronie — przeciwko Rosji. Oczywiście, w interesie Niemiec leżało pogłębienie i uwielokrotnienie tych różnic, powstałych z natury rzeczy, a także wykorzystanie faktu, że sojusz

str. 220 sqq. Major Eugen Ott wysłany został następnie jako attaché wojskowy do Tokio i tam, w czasie wojny, mianowany ambasadorem. Wsławił się zaufaniem jakim obdarzył sowieckiego agenta Sorge.

3) Von Papen w swoich pamiętnikach nie tylko nie zaprzecza wersji mjr. Otta i nie podaje swojej na nią reakcji, ale retrospektywnie powraca do czasów francuskiej okupacji Rury (1922) i pomawia Polskę już wówczas o zamiar interwencji zbrojnej przeciw Niemcom i tym usprawiedliwia pierwsze tajne militarne przygotowania niemieckie, tzw. Czarną Reichswehrę; l. c. str. 119 sq. O niebezpieczeństwie polskim w 1932 pisze również b. Kanclerz Bruening, *Ein Brief w Deutsche Rundschau*, lipiec 1947. Angielski biograf Hitlera, Bullock, cytuje ten list, str. 164 i mówi o „strachu” przed „atakami ze strony Polski”; następnie cytuje raport mjr. Otta, str. 213 sq., o „niebezpieczeństwie niespodzianego ataku” ze strony Polski, nie dodając ani interpretacji, ani komentarza.

polsko-francuski, w szczególności po skastrowaniu go w Locarno, nosił charakter czysto obronny, a więc pozostawiał cały awantaż inicjatywy stronie drugiej. Niemcy posiadały tedy stałe wobec Polski swobodę manewru, którą wyszukiwały dla budzenia niechęci i siania podejrzeń, przede wszystkim po stronie Zachodu. Znajdujemy w powojennych książkach niemieckich liczne na to dowody, a zarazem złe prognozy na przyszłość.

Różnice i powstające na ich tle niebezpieczeństwa najlepiej jest badać na drobnym przykładzie. Taki przykład odmiennego podejścia do spraw wspólnych Francji i Polsce stanowi sprawa generała von Schleichera. Schleicher był niewątpliwie, w latach 1932-1934, przedmiotem pewnych, choć niezbyt sprecyzowanych, rachub francuskich. Istnieją na to pośrednie dowody, chociaż istnieją również ze strony francuskiej zarówno jak niemieckiej, żywe zaprzeczenia. Jeżeli nie był z nim w bliższym kontakcie, to stawił na niego „jak na „dobrego konia”, ambasadora François Poncet; w każdym razie uważał go za dogodną alternatywę na miejsce Hitlera. Kontakty, o jakich później była mowa, odbywały się zresztą na nieobowiązującym i nieuchwytnym terenie towarzyskim. Otóż Schleicher — rzecz ta nie podlega wątpliwości — był zapamiętany wrogiem Polski i reprezentował w tym względzie specjalne tradycje junkrów i sztabowców pruskich. Zresztą, już jako major, latem 1921, odegrał on pewną rolę w pierwszych wojskowych konszachtach niemiecko-sowieckich: w jego mieszkaniu w Berlinie spotykał się wówczas Krasin z generałem von Hasse — i grano tam „polskim atutem”. W chwili, gdy Schleicher sięgał po Kanclerstwo, nie krył on wcale, nawet w towarzyskich okazjach, swej nienawiści do Polski; istnieją też dane, że zamierzał, w razie utrzymania się przy władzy, skierować politykę niemiecką ku bezpośredniej rozgrywce z Polską⁴⁾.

W praktycznym stosowaniu sojuszu można powiedzieć, że Polska starała się go usztywnić i uczynić wojskowo skutecznym, podczas gdy Francja rada była go rozluźnić i wprowadzić w szer-

4) Generał Kurt von Schleicher: o jego bliskiej łączności z pierwszymi próbami niemiecko-sowieckiego zbliżenia wojskowego szczegóły u E.H. Carr'a, *The Bolshevik Revolution*, London 1953, str. 363 sq. : „negotiations in Berlin... took place for the most part in private apartments, generally in that of Major von Schleicher”; ruszyły one z miejsca z chwilą, gdy strona sowiecka zdecydowała się „to play the Polish card, i.e. to harp on fears of Poland”. — O stosunku gen. v. Schleichera do Polski w latach 1932-1934 i o rachubach ambasadora Francji François Poncet na podstawie ustnych danych z berlińskich kół dyplomatycznych. Sam François Poncet w swoich *Années Fatales*, wyzutych z wszelkiego faktycznego materiału, zaprzecza jakikolwiek bliższym kontaktom; natomiast Erich Kordt, *Nicht aus den Akten*, Stuttgart (1950) również je negując, podaje, str. 77 sq. ciekawą wiadomość o szpiegowaniu Schleichera przez Ribbentropa w maju 1934 — na niewiele tygodni przed jego zamordowaniem, i o zagadkowych kontaktach między wywiadami Francji i Niemiec. Znane opowiadanie Goeringa w Warszawie o antypolskich planach Schleichera i negatywnym ustosunkowaniu się Hitlera do tych planów — „a ja zrobię wprost odwrotnie” — należy oczywiście traktować z właściwą ostrożnością.

sze, zbiorowe, mniej obowiązujące ramy. Piłsudski określał wartość sojuszu odległością obu frontów — zachodniej i wschodniej granicy wojskowej Niemiec, i po raz pierwszy zrewidował swoje o nim zdanie latem 1930, w ślad za likwidacją okupacji Nadrenii przez Szprymierzonych. Następnie dwukrotnie, wczesnym latem 1932 ekspedycja kontrtorpedowca Wichra i w marcu 1933 zajęciem Westerplatte, wypróbowywał wierność sojusznicą Francji, czyli jej gotowość do wystąpienia zbrojnego w wypadku kwestionowania interesów żywotnych Polski; tej ostatniej próbie towarzyszyła nieznaną dotychczas w swych szczegółach akcja sondażu polityczno-wojskowego. Próby Piłsudskiego wypadły negatywnie: Francja schowała się za procedurę Ligi Narodów; a zamierzoną politykę francusko-polską w stosunku do Niemiec zastąpiła własnym udziałem w negocjowaniu Paktu Czterech⁵⁾.

Udział czynników niemieckich w wywołaniu tego rozdziwienia trudno jest określić i zważyć. Faktem jest że Niemcy wiedzieli, jak to z rewelacji powojennych wynika, i o dyplomatycznych krokach Piłsudskiego, i o pewnych przygotowaniach wojskowych. Według świadectwa ex-Kanclerza Brueninga otrzymane informacje wpłynęły decydująco na głosowanie 23 marca o pełnomocnictwach dla Hitlera, zaś dane o polskich planach mobilizacyjnych znane były już wcześniej, dzięki niedyskrecji „obcego mocarstwa”. Próżne byłoby zgłębiać, z jakiej strony pochodziły te informacje: wywiady różnych państw krzyżują się zazwyczaj wzajemnie, a mafie międzynarodowe przekazują sobie tajemnice.

5) O planach zapobiegawczych Piłsudskiego w 1933, Aleksander Bregman „Gdyby w 1933 roku usłuchano Józefa Piłsudskiego”, *Kultura* 1949 Nr 15; w. cyt. *Ein Brief Brueninga*, *Deutsche Rundschau*, Juli 1949; artykuł Bogusława Miedzińskiego i polemika przez nie wywołana, *Wiadomości*, Londyn 1953. — Komentatorzy planów Piłsudskiego zapominają zwykle o jednym: samo obsadzenie zbrojne Westerplatte, 6 marca 1933, było aktem, stawiającym Rzeszę niemiecką wobec wyboru między wojną a pokojem. Że temu aktowi towarzyszyły rozmowy z francuskim sojusznikiem, nie może już dziś podlegać najmniejszej wątpliwości: zbyt wiele jest w tej sprawie pośrednich ale ważkich obcych świadectw i danych; między innymi reportaż Roberta Dell'a, uwagi L. Namiera w *Diplomatic Prelude*, odnośny ustęp w *Istории Diplomatii*, *Ein Brief Brueninga*, przy czym szczegóły zawarte w tym liście, reperkusje rewelacji planów Piłsudskiego w kołach politycznych niemieckich i wpływ wywarły na przegłosowanie pełnomocnictw w dniu 23 marca zasługują na osobne zbadanie, a w szczególności na pilne szukanie, skąd Niemcy dowiedzieli się o tych najtajniejszych pertraktacjach, tak tajnych, że istnieją do dzisiaj Polacy, którzy samemu faktowi ich istnienia zaprzeczają. — Cała kontrowersja w tej sprawie może jedynie obracać się wokół zagadnienia, na jakiej drodze pertraktacje te były prowadzone. Niedawne oświadczenie generała Weyganda, cytowane w „Kulturze”, świadczą tylko, że nie przechodziły one przez jego pośrednictwo, jak zresztą z góry można było przypuścić. Poza tym, kto zna metody stosowane przez Piłsudskiego, ten wie, że misje o wielkiej tajności powierzał on zawsze jednej tylko osobie, innych, nawet najbliższych, nie wtajemniczając. Stąd brak źródeł polskich w tej sprawie, zaś stosunkowa obfitość danych obcych, wziętych od Francuzów, którzy wiadomość rozgadali.

Polska w tych sekretnych konszachtach bywała obiektem handlu.

W takich okolicznościach doszło do rozmów polsko-niemieckich, te zaś doprowadziły do układu z 26 stycznia 1934. Układ ten był czasowy i jak wiele innych umów międzynarodowych, jak chociażby wkrótce potem zawarty układ morski niemiecko-brytyjski, zawiśł od równowagi sił stron obu. Układ ten leżał w interesie Niemiec — nie dlatego, jak twierdzą niektórzy, aby ubezpieczyć je od wschodu, ale dlatego, że uwidocznił rozróżnienie polityki polskiej i francuskiej. Układ ten leżał także w interesie Polski, bowiem dawał jej kilka lat cennych dla wewnętrznego krzepnięcia i zewnętrznego manewru.

Czy Hitler był w stosunku do Polski „szczerzy”? czy też chciał od początku ją tylko oszukać? — Pytania takie mogą stawić ci, którzy w polityce chcą „wierzyć”, a od historii spodziewają się ujawnienia intencji. Tymczasem historia może uchwycić intencje działających ludzi tylko wówczas, gdy potrafi je udokumentować. Co do Hitlera, obie tezy — „szczerości” i „oszustwa” — mogą znaleźć uzasadnienie w faktach czy aktach. Można co najwyżej skonstatować że stanowisko niechętne Polsce znajdujemy po raz pierwszy na konferencji kanclerskiej w dniu 5 listopada 1937, w pół-czwarta roku po układzie; natomiast przez cały czas przedtem, a nawet jeszcze po tej dacie, Hitler proponował Polsce wspólną akcję wojenną przeciw bolszewickiej Rosji. Jedną więc, podobnie jak druga teza znaleźć może swe uzasadnienie; jednakże cała ta kontrowersja posiada już dziś znaczenie wyłącznie teoretyczne.

Poważniejsze znaczenie ma dzisiejszy, powojenny stosunek opinii niemieckiej do układu z 1934 roku. Jeśli jako wskaźnik tej opinii weźmiemy wynurzenia retrospektywne i pamiętniki, to zmuszeni będziemy stwierdzić, że układ ten i samo porozumienie z Polską stało się sprawą wstydliwą. Von Papen, podkanclerzy w rządzie, który przeprowadzał zbliżenie i zawierał układ, opisuje szczegółowo politykę Niemiec z lat 1933-1934, ale Polskę wspomina raz tylko, w związku z nieaktualną wówczas sprawą mniejszości. Ernst von Weizsaecker, od początku 1936 dyrektor polityczny na *Wilhelmstrasse* i jako taki mający za swe zadanie stosowanie tego układu w dyplomatycznej praktyce, czyni jótą w jotę to samo co von Papen: o porozumieniu z Polską mówi tylko z racji „skarg” mniejszościowych do których był jego zdaniem „nadmiar okazji”. Erich Kordt, współpracujący z Weizsaeckerem i Ribbentropem, zestawia w pierwszej, historycznej swej książce na ogół obiektywnie przebieg spraw polskich, ale w wydanych później własnych wspomnieniach omija wszelkie sprawy związane z polskim układem. Jedyny z dyplomatów niemieckich Herbert von Dirksen mówi o zbliżeniu z Polską, cytując interesujące wypowiedzenie Hitlera, świadczące że nawet w rozmowach ze swymi ambasadorami stosował swą oficjalną politykę. Ta jednak wstydlivość, to unikanie mówienia o minionym zbliżeniu z Polską stanowi ciekawy dokument czasu. Może stanowi

ono ukłon w stosunku do Zachodu, który przecież także zdradził Polskę. Stanowi jednak przede wszystkim świadectwo, że ów układ polsko-niemiecki załamał się nie tylko skutkiem wiarołomstwa Hitlera; lecz także braku zrozumienia u Niemców dla tej jego chwilowej lecz ważnej inicjatywy⁶⁾.

SPRAWA TUCHACZEWSKIEGO

W dniach 11 i 12 czerwca 1937 odbył się w Moskwie sąd i egzekucja nad marszałkiem armii czerwonej Tuchaczewskim oraz kilku innymi wyższymi oficerami sowieckimi. Był to punkt wyjścia jednej z najrozleglejszych „czystek” w burzliwej egzystencji Związku Sowieckiego: ofiarami byli dowódcy i oficerowie bliscy podsądnym, potem ich oskarżyciele, jak Dybienio i Blucher, potem świadkowie i nawet sędziowie, wreszcie sami kaci z GPU, włącznie z ich hesztem Jeżowem. Jedną z ofiar omal się nie stał Rokossowski, lecz podobno dzięki obfitym zeznaniom wykipił się, doświadczając pomniejszych tortur.

Oficjalnie oskarżono Tuchaczewskiego i towarzyszy o współdziałanie z „obcym mocarstwem” — hitlerowskimi Niemcami — i wydanie mu sowieckich tajemnic wojskowych. Wersją szeroko rozpowszechnioną, szczególnie w kołach emigracji rosyjskiej, było rzekomo wykrycie wojskowego spisku, mającego na celu obalenie Stalina. Prawda nie zostanie nigdy wykryta, chyba gdyby się wypowiedział jeden z żyjących jeszcze współ-zbrodniarzy — Woroszyłow czy Wyszynski. Historia z oddalenia czasu, może jedynie powiązać to wydarzenie z poznanym odtąd lepiej charakterem Stalina. Jedną z głównych jego cech, obok chęci władzy, był strach doprowadzony do manii prześladowczej. Stalin nie tylko się obawiał „bonapartyzmu” w armii, próby wydarcia mu z rąk panowania przez jedyną pozostałą — siłę zbrojną; lecz bał się w ogóle współzawodnictwa, obawiał się konkurentów o wła-

6) Podstawową treścią wywodów Hitlera na konferencji 5.XI.1937 było postawienie celu dla polityki niemieckiej w postaci uzyskania „Lebensraumu” na Wschodzie. W tej sprawie liczył się on z oporem Polski: „Unsere Abmachungen mit Polen behielten nur solange Geltung, als Deutschlands Staerke unerschuettert sei, bei deutschen Rueckschlaegen muesse ein Vorgehen Polens gegen Ostpreussen, vieleich auch gegen Pommern und Schlesien in Rechnung gestellt werden... Das Maas der Ueberraschung und der Schnelligkeit unseres Handelns sei fur die Stellungnahme Polens entscheidend. Gegen ein siegreiches Deutschland wird Polen — mit Russland im Ruecken — wenig Neigung haben, in den Krieg einzusetzen...” Tzw. *Hossbach Protokoll*, wg załącznika w książce Fr. Hossbacha *Zwischen Wehrmacht und Hitler*, Wolfenbuettel 1949. Przy swojej koncepcji akcji wojennej przeciw ZSSR. Obstawiał jednak Hitler jeszcze we wrześniu 1938; por. oświadczenie Goeringa na Radzie ministrów 4.IX.: nowe plany Wodza „wychodzą z podstawowego założenia, że rozprawienie się z Rosją jest nieuniknione”; cyt. u Bullocka, l.c. str. 328.

dze, kandydatów do władzy i znaczenia. Dziwna śmierć Kirowa i Żdanowa, wymordowanie na rozkaz wszystkich głównych przywódców bolszewizmu, sposób i treść wymuszanych zeznań, zgładzenie Trockiego — wszystko są to objawy jednej pasji, dochodzącej do manii. Odnosi się wrażenie, że w końcu stało się potrzebą wymyślanie nieistniejących przestępstw i niebezpieczeństw, dostarczanie Molochowi niewinnych ofiar. Tym może, psychopatologicznym problemem tłumaczyć by wypadało również zagadkowe okoliczności otaczające śmierć Stalina.

Oficjalne przedstawienie sprawy Tuchaczewskiego wskazywało jednak na odpowiedzialność Niemców — nic więc dziwnego, że tam szukano klucza do jej wyjaśnienia. Tymczasem w archiwach, jak dotąd, nie znaleziono nic. Natomiast były Prezydent Republiki Czechosłowackiej, Edward Benes, opowiedział w styczniu 1944 r. Churchillowi, a potem powtórzył w swych pamiętnikach swoją wersję. Na skutek rzekomej niedyskrecji hitlerowskiego wysłannika, hr. Trauttmansdorffa, natrafił on na przechodzące jakoby przez Pragę „kontakty między ważnymi osobistościami Rosji a Rządem niemieckim”. Pośpieszył więc zaraz wyjawić to wszystko nic nie podejrzewającemu Stalinowi. Wtedy dopiero prokurator Wyszyński zajął się żywo tą sprawą, zaś Józef Stalin zachował wieczny dług wdzięczności wobec Benesa i Czechosłowacji⁷).

Ta historyjka, której sam jeden tylko Winston Churchill uwierzył, otrzymała niedawno interesujące uzupełnienie ze stro-

7) Wersja Benesa : Churchill, *The Gathering Storm*, Boston 1948, 288 sq., opiera się na opowiadaniu Benesa w Marakeszu, w styczniu 1944. Benes w swych pamiętnikach, których tekst nie był nam dostępny, pisze o „przegadaniu się” Trauttmansdorffa, czego wynikiem miało się stać przechwycenie porozumień między Moskwą a Berlinem, przechodzących przez poselstwo sowieckie w Pradze. Hr. Trauttmansdorf i Dr Haushofer bawili w Pradze dwukrotnie, w listopadzie i grudniu 1936 i proponowali Benesowi w imieniu Hitlera pakt nieagresji, analogiczny do niemiecko-polskiego. S. Harrison Thomson, *Czechoslovakia in European History*, Princeton 1953, str. 387. — Cała opowieść Benesa i Churchilla tchnie nieprawdopodobieństwem i świadczy o nieznamości rzeczy sowieckich i niemieckich. Sam też Churchill opatrzył ją przypiskiem, przyjmującym możliwość prowokacji sowieckiej, co oczywiście przekreśla całe znaczenie opowieści. Pomimo to, jeszcze w trzy lata potem, W. Churchill pisze o Benesie : „It will be remembered, that he had played perhaps a decisive part in warning Stalin of the pro-German conspiracy against him in 1938” : *Closing the Ring*, Boston 1951, str. 451.

Zagadka rzekomego sprzysiężenia Tuchaczewskiego dyskutowana była w 1949 na łamach *Socialistickeskawo Wiestnika* w New Yorku. Konkluzją tej dyskusji było że jakiegokolwiek różnice i niechęci mogły między Tuchaczewskim a Stalinem, spisek generałów był najzupełniej nieprawdopodobny; gdyby zaś nawet był możliwy, do jego wykrycia wystarczyłyby zwykle organa GPU. Samo przypuszczenie, że „communications” między Tuchaczewskim a Niemcami mogły przechodzić za pośrednictwem poselstwa w Pradze jest oczywistym absurdem.

ny niemieckiej. Z rewelacjami wystąpił generał Hagen, jeden z szefów tajnych służb politycznych w Rzeszy. Według jego wersji zguba Tuchaczewskiego była dziełem Szeffa politycznego bezpieczeństwa, generała Reinharda Heydricha, późniejszego kata Czechosłowacji, zgładzonego w tajemniczych okolicznościach w Pradze w 1942. Heydrich przez swych agentów w Paryżu nawiązał kontakt z osławionym generałem „białych” Rosjan, Skoblinem, właściwie agentem-prowokatorem sowieckim. Od Skoblina uzyskał informację o rzekomym sprzysiężeniu przeciw Stalinowi, zawiązanym pod kierownictwem marszałka Tuchaczewskiego. Na tej podstawie Heydrich, za wiedzą i aprobatą Hitlera, uknuł plan, mający na celu obezwładnić armię czerwoną i pozbawić ją głównych kierowników. W najgłębszym sekrecie, do którego dopuszczono parę tylko osób, sfabrykowano misternie, częściowo wedle wzorów z przechowywanej w archiwach dawniejszej korespondencji wojskowej sowiecko-niemieckiej, szereg dokumentów, otrzymywane listy, kopie wysyłanej korespondencji, parafy biur i szefów służb, pokwitowania — całe dossier rzekomej łączności i zdrady. Z tym materiałem w ręku zwrócono się najpierw pono do pośredników w Pradze, potem zaś, w niepewności czy droga ta jest pewna, bezpośrednio do agentów sowieckich w Berlinie : ci ostatni kupili je za trzy miliony rubli.

Reszta była już tylko logicznym wynikiem epilogiem. W Moskwie aresztowano „hersztów” spisku, błyskawicznie zainscenizowano procesy, rozpetano czystki. Na Zachodzie uwierzono w przyrodzoną anty-niemieckość Stalina. W Pradze Benes zaczął się chełpić ubiciem Tuchaczewskiego, urwaniem jednej z głów hydry niemieckiej. Jak zwykle, w historii pozostał osad wątpliwości. Czy Skoblin nie wypełniał jedynie poleceń otrzymywanych z góry? czy cała akcja agentów sowieckich w Paryżu, Berlinie i Pradze nie była siecią snutą przez pajaka, rezydującego w Moskwie? — Jeden z wykonawców niemieckiej intrygi, generał Hermann Behrens, powziął dość wcześnie podejrzenie, że cała ta „diabelska sztuka” była w istocie inscenizowana przez sowiecką GPU, zaś Heydrich pozostał jej mimowolnym narzędziem. Wiele przemawia rzeczywiście za tym, że Stalin tą grą dalekosiężną załatwiał dawne porachunki z czasów gdy Tuchaczewski zarucił mu, że powstrzymał korpus Budiennego i przyczynił się do klęski 1920 nad Wisłą. Poza tym Stalin przez usunięcie wszystkich najwybitniejszych generałów dusił w zarodku wszelką próbę samodzielności w armii, a przez oskarżenie o konspirację z Niemcami zostawiał sobie swobodę manewru i może nawet swe na przyszłość alibi. Co do Benesa, dopiero w wiele lat potem władca Kremla wywarł na nim swą zemstę za niepotrzebne i podejrzone wścibstwo⁸).

8) Wersja niemiecka sprawy Tuchaczewskiego, podana najpierw w *Die Neue Zeitung* i powtórzona przez Melvina Lasky'ego w *The New Leader*, New York 1949, przedstawiona została szczegółowo przez generała Waltera Hagena w *Die Geheime Front*, Linz-Wien, 1950, str. 54-68. Podaje on rów-

Co się zaś tyczy strony niemieckiej, to epizod Tuchaczewskiego był, zdawało się, zamknięciem okresu nieprawych związków z Rosją, kresem „polityki Taurogów”, liczonej od konspiracji Yorka, z armią cara w 1812. Związki te były, przynajmniej w epoce najnowszej, po 1919, porozumieniami wojskowych. Przewodziły im imiona Seeckta, Hammersteina, Groenera, Schleichera. Historia ich jest już dzisiaj w głównych zarysach znana: wiąże się z celowym, systematycznym odbudowaniem agresywnych sił zbrojnych niemieckich. Hitler przejął po swych poprzednikach to drugie; odrzucił z całą bezwzględnością pierwsze. Fakt, że jeszcze zimą 1936-7 i aż do następnego lata patronował wielkiemu zamachowi na dowództwo sowieckie, jest dowodem, że główną wytyczną jego akcji była jeszcze wówczas kampania wojenna przeciw ZSSR⁹⁾.

JAK OSTRZEŻONO ANGLIE

Z nastaniem wiosny 1938 dymy zaczęły zasępiać horyzont Europy. Pochodziły one, jak dzisiaj wiemy, z podziemnej kuźni Hitlera. Już w listopadzie poprzedniego roku ustalił on główne wytyczne zbrojnej napaści na Czechosłowację, w maju uściślił je i rozwinął w tajnych instrukcjach sztabowych. Mała ilość wtajemniczonych związana została na śmierć i życie tym spiskiem przeciwko pokojowi świata¹⁰⁾.

Jak to zwyczajnie w tych razach bywa, istniały ogniwa pośrednie, grupy i grupki ludzi znajdujących się na stanowiskach dość wysokich, aby wyczuć, jeżeli nie wiedzieć, w jakim kierunku wiatry wieją. W tych kołach powstały latem 1938 rozważania, jak szaleństwu zapobiec. Istniała nadzieja, że Anglia zajmie stanowisko nieustępliwe i tym zastraszy Hitlera.

W latach po pierwszej wojnie światowej i w badaniach nad jej początkiem ustaliła się teoria, że przyjęcie zawczasu zdecydowanej postawy przez dyplomację brytyjską mogło być wówczas

niez krytyczne zdanie gen. Behrensa, zgodne z innymi podejrzeniami i prawdopodobnie najbliższe prawdy. Hagen ujawnia także dalsze sumy trzech milionów, wpłaconej za dossier przez ambasadę sowiecką w Berlinie: gdy agenci Gestapo próbowali wydatkować ją w Rosji, banknoty okazały się znanzone i Niemcy utracili zarówno pieniądze jak agentów.

9) Do konspiracji wojskowej sowiecko-niemieckiej, prowadzonej oczywiście obustronnie z upoważnienia rządów, istnieje dziś cała literatura. Ostatnie publikacje, odnoszące się do tej sprawy: Ruth Fischer, *Stalin and German Communism*, Cambridge 1948; E.H. Carr, *German-Soviet Relations between the two World Wars*, Baltimore 1951; tenże, *The Bolshevik Revolution 1917-1923*, Vol. III, London 1953.

10) Obecni na konferencji Hitlera 5.XI.1937: Kanclerz Hitler, Minister wojny Blomberg, dowódca wojsk lądowych bar. v. Fritsch, morskich admirał Raeder, lotniczych Goering, Minister spr. zagr. bar. v. Neurath, protokółant płk. Hossbach.

powstrzymać Niemcy od wojny; podczas gdy sztywne stanowisko równowagi, formułowane przez Edwarda Greya dało pole do podwójnej interpretacji¹¹⁾. Stąd wynikało mniemanie, iż jeśli tylko Anglia we wznowionym konflikcie międzynarodowym, w 1938, zajmie z góry pozycję określoną i zagrozi wojną, Hitler się cofnie, tak jak byłby się cofnął w 1914 Wilhelm II.

Teoria ta, mająca zwolenników wśród Niemców nie decydujących się na wojnę, lub obawiających się przegranej, stała się punktem wyjścia działań, których przebieg jest do dzisiaj tylko w części ujawniony. Już w połowie sierpnia 1938, podczas gdy niebezpieczna misja pośrednicząca Lorda Runcimana rozwijała swą działalność w Pradze, przybył do Londynu zapowiedziany przez ambasadę brytyjską „emisariusz umiarkowanych Niemców”, Ewald von Kleist. Występował jako przedstawiciel pruskiej „partii chrześcijańsko-konserwatywnej”, powoływał się jednak na swych „przyjaciół w armii” i był jak się zdaje delegowany przez kierującą grupę generałów. Oświadczył on politycznemu doradcy *Foreign Office*'u, że Hitler postanowił wojnę, że rozpoczęcie działań przewidziane jest „po 27 września”, że armia i generałowie są przeciwni wojnie, ale że dla poparcia własnej ich akcji wymagają sprecyzowania intencji Francji i Anglii i publicznego ostrzeżenia Niemiec przez miarodajnego rzecznika rządu angielskiego. Jak się zdaje, Anglicy otrzymali w tymże samym czasie szereg innych ostrzeżeń podobnego rodzaju. Najważniejszym z nich były informacje, dostarczone w pierwszych dniach września przez Wysokiego Komisarza Karola Burckhardt'a po jego rozmowie z Sekretarzem Stanu Weizsaecker'em. Potwierdzał on w całej rozciągłości zarówno zamiary wojenne Hitlera, jak opozycję generalicji niemieckiej; doradzał krok zapobiegawczy Anglii w formie listu Premiera, wystosowanego do Hitlera.

W niespełna tydzień później, w dniu 7 września, na dwa dni przed wyznaczeniem przez Hitlera daty rozpoczęcia działań wojennych na dzień 30 września, te połowiczne dotychczasowe kroki zostały wzmocnione przez *demarche* o daleko większej wadze.

11) W przededniu wojny 1914 nie istniały żadne zobowiązania sojusznicze między Anglią a Francją, przewidujące *casus belli*. Rozmowy przygotowawcze wojskowe odbywały się od 1913, ale prowadzone były z zastrzeżeniem, że decyzja wprowadzenia planów w życie zostaje zarezerwowana dla kierownictwa politycznego, co było oczywiście konieczne ze względów konstytucyjnych. Pomimo to w ostatnich dniach lipca 1914 Francja spodziewała się automatycznego przystąpienia Anglii do wojny i ambasador Paul Cambon w rozmowie z Grey'em posunął się do zapytania, czy słowo „honor” ma być odtąd wymazane ze słownika angielskiego; ze swej zaś strony Niemcy nie brali na serio możliwości interwencji angielskiej i byli istotnie wstrząśnięci dnia 3 sierpnia. W rzeczywistości powojenne rozstrząsania nie trafiały w sedno rzeczy: sztywność stanowiska ówczesnego Anglii nie była wynikiem niezdecydowania kierownictwa jej polityki zagranicznej, lecz skutkiem niepewności opinii publicznej i rozdwojenia w kołach politycznych i w rządzącej partii liberalnej.

Wiadomość o niej mamy dotychczas jedynie z zainteresowanych źródeł niemieckich, jednakowoż jej szczegółowe przedstawienie nie spotkało się dotychczas z żadnym sprostowaniem zainteresowanej strony angielskiej. W dniu tym Chargé d'affaires Rzeszy, Theo Kordt z własnej inicjatywy spotkał się z brytyjskim Sekretarzem spraw zagranicznych, Lordem Halifax'em i powiadomił go o pełnej gotowości generałów niemieckich do podjęcia akcji przeciw wojnie. „Sytuacja staje się rewolucyjna, mówił: grupa ludzi wpływowych... rozporządza środkami siły i gotowa jest jej użyć w razie, jeżeli udzielona jej zostanie pomoc w postaci zdecydowanej postawy i wypowiedzenia się Rządu Wielkiej Brytanii...” W konkluzji swej Kordt zapowiadał, że „jeżeli żądane oświadczenie zostanie złożone, szefowie armji gotowi będą wystąpić z bronią w rękę przeciw polityce Hitlera”¹²⁾.

Prestiż brytyjskiej polityki zagranicznej stał do ostatnich czasów tak wysoko, że do kwestii tej podchodzi się wciąż nieśmiało i z niedopowiedzeniem. Jeszcze ostatnio historyk angielski zbył ją dowcipem o Niemcach, „którzy liczyli na to, że Rząd brytyjski spełni za nich ich własne zadanie”. Tymczasem istota sprawy polega nie na tym wcale, jak zachowaliby się Niemcy; lecz tylko na tym, czy Rząd brytyjski otrzymał ostrzeżenie zawczasu, na ile było ono wiarogodne i co przedsięwzięto w jego skutku? — Otóż niewątpliwie ostrzeżenie było dane, i to dość wcześnie. Nie ma też żadnej wątpliwości, że opierało się na istotnych i prawdziwych danych: jego autorzy — Kleist, Weizsaecker i szef gabinetu Ribbentrop'a Erich Kordt — musieli znać, jeżeli nie w szczegółach, to przynajmniej w głównej swej treści, „plan zielony” Hitlera z 30 maja, postanowienie „zdruzgotania” Czechosłowacji.

12) Akta misji Ewalda v. Kleista ogłoszono w *Documents on British Foreign Policy, 1919-1939*, Third Series, Vol. II str. 683-89: podano tam rozmowy z Sir R. Vansittartem, W. Churchillem, listy N. Chamberlaina i W. Churchilla. Interesujące jest, że żaden z powojennych pamiętników niemieckich o misji tej nie wspomina, milczy o niej również wydawnictwo pośmiertnych papierów gen. L. Becka. Wzmianka u E. Kordta, l.c. str. 258, o oficerze wysłanym przez gen. Haldera w celu przekonania rządu brytyjskiego o konieczności zajęcia „energicznej postawy”, zdaje się odnosić do daty późniejszej i nie dotyczy Kleista. Tajemnica była więc dobrze strzeżona i pomimo niedyskrecji ambasadora N. Hendersona, który 16.VIII. informował F. O. o przyjeździe „emisariusza” i wymieniał w telegramie nazwisko Kleista, tenże pozostał nietknięty aż do 1944, gdy po zamachu Stauffenberga został uwięziony i stracony.

Ostrzeżenie Burckhardta: *Documents* j.w., str. 242, 689 sqq., telegram posła Sir G. Warnera, Bern 5.IX., list Skrine Stevensona do Stronga, Genewa 8.IX. — Weizsaecker, *Erinnerungen*, str. 179.

O innych ostrzeżeniach z pierwszej połowy sierpnia opowiada Sir R. Vansittart w swej relacji z rozmowy z Kleistem, j.w. — Attaché wojsk. w Berlinie, płk. Mason Mac-Farlane ostrzeżony był już 6.VIII. przez rtm. von Koerbera, zaś 21.VIII. donosił o rozmowie z X, informując o naradach wojskowych Hitlera: *Documents* j.w., str. 65, 125 sq.

Doniesienia przyszły równocześnie i ze zbyt wielu stron, aby można było je lekceważyć.

Otrzymałszy pierwsze ostrzeżenie, Premier Chamberlain pisał 19 sierpnia do Halifax'a: „rozumieć że von Kleist jest gwałtownym przeciwnikiem Hitlera i że namawia gorliwie swych przyjaciół w Niemczech aby go obalili... Przypomina mi on Jakobitów na dworze francuskim za czasów Króla Wilhelma i jestem przekonany że musimy wiele stracić z tego co nam mówi”. Pomimo to Premier „czuł się niewyraźnie i nie był pewien czy nie należy zrobić czegoś”. Jednakże nie przedsięwziął nic. Jego główny w sprawach niemieckich doradca, ambasador w Berlinie Henderson, bał się wszelkiej angielskiej inicjatywy, ostrzegał — ale przed prowokowaniem Hitlera. Gdy po drugim ostrzeżeniu Halifax w dniu 6 września polecił mu krok o charakterze bardziej stanowczym, Henderson instrukcji nie wypełnił i przekonał ministra o jej ryzykowności: instrukcja została cofnięta. Gdy po trzecim i najważniejszym ostrzeżeniu zdecydowano się w Londynie na publiczną deklarację, wypadła ona nieprzekonywująco i dwuznacznie. W trzy dni potem zapowiedziano przylot Premiera Chamberlaina do Berchtesgaden. Na lotnisku, odprowadzający szefa rządu Lord Halifax ujął Theo Kordta pod rękę: „w międzyczasie postanowiliśmy inaczej...” Ta inna droga prowadziła przez Berchtesgaden i Godenberg wprost do mało sławnego Monachium. W ciągu całego poprzedzającego Konferencję Czterech miesięcia i w mrocznych dniach przed monachijskich polityka W. Brytanii wykazała brak rozeznania rzeczywistości, brak decyzji i strach przed siłą¹³⁾.

13) Akcja braci Kordt — Ericha, szefa gabinetu Ribbentropa i Theo, Chargé d'affaires w Londynie — wzmiankowana już przez Giseviusa, l.c., opisana została szczegółowo w książce Ericha Kordta, *Nicht aus den Akten*, Stuttgart 1950, str. 245-257, 279 sqq. — Instrukcja, zatwierdzona rzekomo przez Weizsaeckera, por. *Erinnerungen* str. 177, zawieziona do Londynu przez niewymienioną „kuzynkę”, wykonana została przy aktywnej pomocy Philipa Conwell Evansa i Sir Horace Wilsona w dniach 6-7.IX. — W literaturze politycznej angielskiej nie została ona dotychczas ani zaprzeczona, ani potwierdzona, a to pomimo, że żyją jej świadkowie i uczestnicy. Opisał ją jedynie krytycznie, ale bez dodania faktów nowych, Sir Lewis Namier w rozdziale *Erich and Theo Kordt* swej książki *In the Nazi Era*, London 1952.

N. Chamberlain w liście do Lorda Halifaxa, 19.VIII., *Documents*, l.c. str. 686.

Rola Sir Neville Hendersona wymaga osobnego studium. Interwencje w sprawie zbrojeń niemieckich, poleconą mu 11.VIII. („pokój Europy może być wystawiony na niebezpieczeństwo”) wykonał niezręcznie, nie mając odwagi wywarć nacisku na Hitlera, zaś niemniej drażniąc go, próbując działać przez osoby trzecie. Zapowiadając 16.VIII. wizytę Kleista, z góry ją deprecjonował; „byłoby nierozsądne, gdyby go przyjęto w sferach oficjalnych”. Gdy 2.IX. Weizsaecker w rozmowie z Hendersonem próbuje ostrożnie skłonić go ku tezie opozycji niemieckiej i wywołać bardziej stanowcze oświadczenie brytyjskie, ambasador wyraża obawę, że taka deklaracja złe

SPISKI PRZECIW HITLEROWI

Rola jaką odegrały spiski czy sprzysiężenia knute przeciwko Hitlerowi w latach 1938-1944 zostanie pewno na zawsze przedmiotem historycznej kontrowersji, przypominającej w zwężonym zakresie polemikę o przyczyny pierwszej Wojny Światowej. Legendzie o ich rozmiarach i znaczeniu dał początek Gisevius w znanej swej książce; dowodów zdawał się dostarczać opublikowany pośmiertnie dziennik ambasadora von Hassela; potwierdzały ją głosy Hjalmara Schachta i pozostałych przy życiu spiskowców wojskowych z okresu zamachów dokonanych w czasie wojny. Ale pomimo to pozostała zawieszona nad całą sprawą wątpliwość. Wtajemniczony w niejedne kulisy generał służb bezpieczeństwa Walter Hagen pisał w 1950 : „zachodzi tu co najmniej wypadek grubej przesady; kwestionariusz skierowany do miarodajnych osób, rzekomo uczestniczących w sprzysiężeniu wojskowym... przeprowadzony na zasadach obiektywnego historycznego zbadania, wykazał dowodnie, że żadnego projektu zamachu stanu, mającego widoki powodzenia, w ogóle nie było...” Drugi ze świadków, może nieco dalej od głównej sceny wypadków stojący, generał wojsk pancernych Guderian, pisze : „wiele się teraz mówi i pisze o ruchu oporu przeciw reżimowi Hitlera... trzeba jednak

usposobi Hitlera; oczywiście, Sekretarz Stanu szybko się ze swej sugestii wycofał i w następnej rozmowie, 10.IX. proponował już „raczej przyjazny *message*... wskazujący na (brytyjskie) trudności i niepokoje”. W międzyczasie, 6. IX., czyli w przeddzień poufnego spotkania z Th. Kordtem, Lord Halifax wysłał Hendersonowi instrukcję dla ewentualnej rozmowy z Hitlerem w Norymberdze : miał go prosić, aby „nie niedoceniał niebezpieczeństwa dla powszechnego pokoju”. Po rozmowie z Kordtem i w samym dniu przemówienia Hitlera, 9.IX., Lord Halifax wzmacnił swe ostrzeżenie przez specjalną i ostrą instrukcję; Sir N. Henderson miał oświadczyć Rządowi Rzeszy, i oświadczenie swe złożyć na piśmie dla Hitlera : „jeżeli Francja zostanie wciągnięta, Rząd J.K.M. uważa za nieuniknione, iż w następnej kolejki wypadków dojdzie do powszechnego konfliktu, w którym W. Brytania nie mogłaby pozostać na stronie”. Instrukcja powyższa była w gruncie rzeczy spełnieniem prośby Kleista i Kordta; została ona jednak już nazajutrz, 10.IX., cofnięta pod gwałtownym naciskiem Hendersona. „Najmocniej odradzam propozycję”, telegrafował tenże już 9.IX.; nazajutrz ponowił swe alarmy; „wszyscy tutaj (w Norymberdze) są przekonani, że jakiegokolwiek ostrzeżenie... byłoby zabojujące dla sprawy pokoju... Wszelki krok uroczysty gotów jest popchnąć Hitlera do akcji, której właśnie miałby zapobiec...” — Wynikła tedy paradoksalna sytuacja, że ze strony wojskowo-politycznej niemieckiej doradzano dyplomacji brytyjskiej mocne stanowisko, a odpowiedzialni dyplomaci brytyjscy za nic w świecie nie chcieli się na nie odważyć. Odnośnie instrukcje i raporty wg. *Documents*, j.w.

Deklaracja brytyjska z 10.IX. : Kordt, l.c. str. 256 sq., *Documents*, j.w. str. 297 sq. — Szczegółowe przedstawienie tego zagadkowego incydentu u Wheeler Bennetta, *Munich*, London 1949.

odmówić tytułu opornych tym, co siedzieli po kątach i szeptali, że są odmiennego zdania...” Historycy angielscy tej epoki pozostają również w stosunku do spisków anty-hitlerowskich sceptyczni : wnikliwy badacz polityki przedwojennej Namier odnosi się ironicznie do autorów niemieckich, wyolbrzymiających rolę opozycji, a najnowszy biograf Hitlera Bullock zachowuje ostrożną rezerwę odnośnie do całej tej literatury.

Istotnie, z tego co pisali wczoraj i co jeszcze dzisiaj piszą dalej Niemcy trzeba zdyskontować wiele. Jedną z cech panujących u tych pisarzy jest tendencja upiększania wypadków i usprawiedliwiania własnej, odegranej w nich roli. Jest zrozumiałe, że z tej epoki przeniewierstwa, okrucieństwa i kłamstwa, uniósłszy cało swe głowy, ratować chcą również swą reputację. Lecz mimochodem wplata się inna jeszcze tendencja : wiele w Niemczech dzisiejszych pisze się celem wpłynięcia na panów dnia, w szczególności Amerykanów, lub wprost dla przypodchlebiania zwycięzcom. Dawni dyplomaci przodują w tej taktyce : cała książka von Papena wydaje się służyć temu celowi, Kordt ma go ciągle na oku, a Weizsaecker swe jadowne żądło obrócił jedynie przeciw niemożnej dziś Polsce, natomiast popularną wciąż Czechosłowację oszczędza, a Aliantów zachodnich jeżeli krytykuje, to tylko za sprzyjanie pierwszej, a brak zdecydowania w obronie drugiej. Oczywiście, teoria potężnego spisku przeciw Hitlerowi służy temuż celowi i przewija się przez te same książki.

Sprowadzona do właściwych proporcji historia opozycji anty-hitlerowskiej w latach 1938-9 i sprzysiężenia z lat 1943-4 zasługuje na ścisłe rozgraniczenie i analityczne zbadanie. Przede wszystkim wydzielić należy *dramatis personae*. Czynnymi w opozycji przed wojną byli : z wojskowych generał *Abwehry* Hans Oster i Szef Sztabu do drugiej połowy sierpnia 1938 generał-pułkownik Ludwig Beck ; z cywilnych — nadburmistrz Lipska Dr Carl Friedrich Goerdeler, były pruski Minister finansów Johannes Popitz, ambasador Dr Ulrich von Hassel; za nimi stała osobistość zagadkowa, o intencjach i planach do dziś dnia niewyjaśnionych, Admirał Wilhelm Canaris, główny szef wojskowej służby bezpieczeństwa — *Abwehry*. W drugim szeregu, niejako w szerszym kręgu, stali inni generałowie, na ich czele Feldmarszałek Erwin von Witzleben, Prezydent policji Berlina, hr. Wolf Heinrich Helldorf, a z cywilnych — Dr Hjalmar Schacht. W trzecim rzędzie, niejako na peryferiach ruchu, znajdował się następca Becka jako Szef Sztabu, generał-pułkownik Franz Halder i Sekretarz Stanu w urzędzie zagranicznym, Ernst von Weizsaecker, wraz ze swymi współpracownikami, Dr Erichem Kordtem i Dr Paul Otto Schmidtem. Wokoło tych osobistości zbierała się to rozpraszała się znowu, nieokreślona opinia kół nie nazistowskich : wzbierająca falą depresji w widoku niepowodzeń, opadająca w zamęt nacjonalistyczny w czasie sukcesów. Główną słabością ruchu, obok tej mgławicy dokoła, był brak ścisłej organizacji. Nie było komitetu rewolucyjnego, niczego w rodzaju Ko-

mitetu ocalenia publicznego, nie było wyraźnej hierarchii między spiskowcami, nie stało wodza.

Jedyna tedy próba poważna, dokonana przed wojną przez spiskowców, nosiła charakter negatywny: miała na celu zapobiec wybuchowi wojny powszechnej we wrześniu 1938. Na ile była ona bliska powodzenia — o to historycy będą się spierać jeszcze długo. Przeszkodziła jej nie tylko lekliwa gorliwość brytyjskiego ambasadora; nie tylko karkołomny a w świetle ujawnionych źródeł wprost tragi-komiczny pomysł przylotu Premiera Chamberlaina z wizytą do Hitlera. Stała jej na przeszkodzie owa opinia otoczenia chwiejna i wahająca, dorywczość powziętej inicjatywy, nieobecność przywódcy i brak rozkazu. Brakowało siły moralnej całemu sprzysiężeniu, jedyną siłą decyzji i wykonania, złowrogą, bezwzględną i niecofającą się przed niczym reprezentował Hitler. „Nikt nigdy nie miał takiego szczęścia”, konkluduje jego angielski biograf. W istocie: jeśli wierzyć podstawowym źródłom niemieckim, jeżeli ustalić następstwo dat, sądzić można że godziny decydowały o tym, czy pierwsi spiskowcy rozpoczną działania, czy też Chamberlain wprzód ogłosi swoją nieszczęsną decyzję. Tak los śmiałym sprzyja¹⁴).

Istniejące po stronie spiskowców niepewności i wahania miały jednakowoż swe głębsze, moralne i ideowe przyczyny. Niejednemu z nich zajmował urzędowe w hierarchii hitlerowskiej stanowiska: Generał Beck pozostawał przez wrzesień 1938 nominalnie szefem sztabu, Popitz był związany swą wysoką rangą pruską, Helldorf był uzależniony od Himmlera, Weizsaecker był wykonawcą zagranicznej polityki Hitlera, Kordt był urzędnikiem Ribbentropa. Wytwarzało to stałą dwuznaczność ich stanowiska, powodowało podwójność ich działania. Jak pogodzić przysięgę wojskową z zamierzeniami spisku? Jak prowadzić akcję zagraniczną, mającą na celu wojnę chcąc jednocześnie wojnie tej przeszkodzić? — Nie mamy wrażenia aby charaktery wytrzymały tę trudną próbę: Weizsaecker opowiada z namaszczeniem, jak ośmiokrotnie zamierzał zgłosić dymisję — i ani razu jej nie złożył; Kordt wspomina ciągle o swych wątpliwościach, czy działając w duchu tajnie otrzymanych zleceń nie działa na szkodę własnej ojczyzny. Trudno nie wyciągnąć stąd wniosku że, choć może niektóre działania hitlerowskie na zewnątrz były pół-sabotowane, to równocześnie akcja spiskowców pozostała połowiczna.

Spiski przeciwko Hitlerowi nie miały własnego podłoża ideowego, nie wystawiły politycznego programu, ani w dziedzinie

14) Charakterystyka spisków i skład personalny: Dr Ulrich von Hassel *Vom anderen Deutschland*, Zurich 1948; Kordt l.c., str. 240 sqq.; Weizsaecker l.c. str. 172 sqq.; Walter Hagen l.c. str. 164 sqq.; z nowszych opracowań krytycznych: Sir Lewis Namier *In the Nazi Era*, London 1952; Allan Bullock *Hitler*, London 1952, str. 411 sqq., także sumaryczna bibliografia. Por. także interesujące zestawienie przez Churchilla, *The Gathering Storm*, Boston 1948, str. 310 sqq., niepozabawione tendencji uwypuklającej błędy polityki Chamberlaina.

ustroju, ani formy rządu, ani jego przyszłego kierunku. Sprawdzianem może służyć stosunek do Polski — przedmiotu następnej hitlerowskiej agresji. Ewald von Kleist, inicjując rozmowy opozycji niemieckiej z Londynem, zapewniał Churchilla o jej tendencjach pokojowych, wzmiankując że „jego przyjaciele nie obstają przy sprawie kolonii, natomiast Korytarz polski jest przedmiotem największej ich troski”¹⁵). W sferach wojskowych Polska była, jak wiadomo, od czasów generała Seeckta głównym celem dla niemieckich dążeń rewanzu: „cała grupa Wielkiego Sztabu i frontowych oficerów, zeznawał generał Blaskowitz w Norymberdze, uważała iż kwestia polskiego Korytarza będzie musiała być załatwiona pewnego dnia, jeżeli potrzeba przy pomocy siły zbrojnej”. W kołach dyplomatów zdania były podzielone: część wypowiadała się, podobnie jak wojskowi, za użyciem przemocy: większość oczekiwała pomyślniej dla Niemców decyzji w tej sprawie od mocarstw zachodnich. „Rozsądni europejscy politycy, pisze Weizsaecker, przyznawali w latach trzydziestych, że pewne dla Niemiec ustępstwa... na przykład w sprawie połączenia z Prusami Wschodnimi, tą wyspą niemiecką odciętą w Wersalu, posłużyłyby sprawie pokoju”. Kordt, podobnie jak inni, spodziewał się, że czas nadejdzie, gdy „Wielkie Mocarstwa” kwestię tę rozwiążą. Ci uczniowie Stresemanna, późniejsi adepti spisków, doznali zawodu, gdy Hitler doszedł do kompromisu z Polską i pozostawił „Korytarz” na dalszym planie. Co więcej, Hitler w myśl raz przyjętej linii politycznej dążył do załagodzenia sąsiedzkich stosunków i sprzeciwił się zaognianiu kwestii mniejszościowych. Inaczej rzekomi opozycjoniści. Zarówno Weizsaecker jak i Kordt opisują, jak skrętnie rejestrowano w dalszym ciągu na *Wilhelmstrasse* skargi przeciw Polsce, i już po wojnie, po przewrotach i nieszczęściach, ubolewają, że władze Rzeszy nie użytkowały go przeciw Polsce i trzymały w ukryciu cały ten, tak cenny materiał. W opinii tych ludzi „rana między Polską a Niemcami” pozostawała wciąż otwartą.

Jedną więc z różnic ideowych, dzielących część przynajmniej opozycji od Hitlera była jego próba wyrównania stosunków z Polską. Podjęta nawet została ciekawa próba odwrócenia kalendarza *Fuehrera*. W dniach pomonachijskich i w przededniu zajęcia Pragi Weizsaecker starał się „ostrzegać przed wszelką akcją przeciw Czechosłowacji” i wdrożyć zamiast tego „właści-

15) Notatka z rozmowy von Kleista z W. Churchillem w *Documents*, j.w., str. 687 sq.; tamże list Ch.; według tej notatki, Ch. odpowiedział Kleistowi, że „he had always wished this difficulty (sprawę Korytarza) cleared up, but that now it had been officially dropped by Germany, and this was certainly not the moment to discuss it; it would only throw Poland on the side of Hitler...”. Swoje stanowisko rewizjonistyczne Churchill akcentuje jeszcze obecnie, *The Gathering Storm*, j.w. str. 30: „I did not at any time close my mind to an attempt to give Germany greater satisfaction on her eastern frontier; but no opportunity arose during these brief years of hope” (mówiąc o latach Locarna).

we poprowadzenie nawiązanej już kwestii Korytarza". Kordt, grający w tym czasie podwójną rolę między Ribbentropem a Weizsaeckerem, uzasadnia bliżej z okazji kwestii Zaolzia wybór takiej taktyki. „Przez szereg tygodni, pisze on w swoich wspomnieniach, Polska jako hiena pobojuwiska była najbardziej zniechęconym i pogardzanym państwem w Europie. Jestem też przekonany, że ten, który w tamtym momencie zwróciłby się przeciw Polsce, biorąc jako podstawę obiektywną, powszechnie uznaną moralną zasadę, miałby zapewnione poparcie ze strony całego świata Zachodu". Kordt do dziś dnia odżałować nie może, iż Hitler wypuścił tak doskonałą, narzucającą mu się wprost okazję. Przełożywszy to na język polityki praktycznej, należało wybrać zamiast Pragi Gdańsk i Pomorze, czyli jedynie zmienić kierunek agresji¹⁶⁾.

Wypada zastrzec, że ci wysocy urzędnicy służby zagranicznej stanowili tylko pośrednie i drugorzędne ogniwa spisku; brak jest natomiast materiału dla oceny zamiarów politycznych właściwych przywódców. Opublikowane są memoriały składane przez generała Becka w związku z jego podaniem o dymisję; zgodnie ze swym typem fachowca wojskowego mówi on tam sztywno i rzeczowo o Polsce; nie przywiązuje żadnej militarnej wagi do porozumienia z nią i liczy się z tym, że znajdzie się ona, wcześniej czy później, w szeregu potęg wrogich Rzeszy. Nie będąc może przeciwnym kompromisowi z Polską, uważał go raczej za czasowy manewr taktyczny. Admirał Canaris, może umysł najgłębszy wśród przeciwników Hitlera, nie ujawnił swojego programu polityki zagranicznej. Wolny od przesądów, rewolucyjny w pomyślach, nie zdawał się również być wolnym od antypolskiego urazu: istnieją przeciwnie wskazówki, że był jednym z koryfeuszów ukraińskiej dywersji. Nie ma żadnych na to, aby obalenie Hitlera przez spisek w 1938-9 mogło przynieść podstawową zmianę w stosunku Niemiec do okrażającego świata: polityka Rzeszy byłaby może bardziej planowa, ostrożna, umiarkowana; ale tak samo nie

16) Stanowisko gen. Seekta uwidocznione w memoriale złożonym Prezydentowi Ebertowi i Kanclerzowi Wirthowi w lipcu 1922, cyt. u Namiera l.c. str. 8: „Istnienie Polski jest nie do zniesienia i nie do pogodzenia z żywotnymi potrzebami Niemiec; musi ona zginąć i zginie przez własną słabość i przez działanie Rosji — przy naszej pomocy...” Zeznania gen. Blaskowitza w Norymberdze, *Nuremberg Documents*, 3706-PS.

Wysunięcie sprawy „Korytarza” jako alternatywy Pragi przez Weizsaeckera w rozmowie z Ribbentropem w grudniu 1938 wg jego wspomnień, l.c. str. 212. Rozważania Kordta, l.c. str. 285 sq. — Tenże jednak Kordt, z natury krytyczny, pisze l.c. str. 40: „Es ist von der Mehrzahl der deutschen Diplomaten nicht erkannt worden, dass in der Existenz eines zwischen Mitteleuropa und der Sovietunion befindlichen Guertels von Staaten, die nach dem Westen blickten, ein grosses Positivum lag...”; i tamże, str. 309: „Bismarck hatte niemals weder wegen eines Korridors noch um anderer Ziele willen das Glacis von Staaten vernichten helfen, das nach dem ersten Weltkrieg mit wohlthuender Wirkung Mitteleuropa vorgelagert war...”

szanowałyby moralnego prawa między narodami, a w szczególności pozostałaby podobnie odwetową i zaborczą w stosunku do swego wschodniego sąsiada¹⁷⁾.

(c. d. nastąpi)

Michał SOKOLNICKI
Ambasador R.P.

BIBLIOGRAFIA FRANCUSKA

- CHURCHILL (Winston). *Mémoires sur la deuxième guerre mondiale*. Tom I : *L'Orage approche*. Cz. I. i II. Ed. Librairie Plon, Paris, 1948.
- CHURCHILL (Winston). *Mémoires sur la deuxième guerre mondiale*. Tom V : *L'état se renferme*. Cz. I. i II. Ed. Librairie Plon, Paris, 1952.
- GISEVIUS (H.P.). *Jusqu'à la lie...* Tom I. i II. Ed. Calmann-Lévy, Paris.
- HAGEN (Walter). *Le front secret*. Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1952.
- HENDERSON (Nevile Sir). *Deux ans avec Hitler*. Ed. Flammarion, Paris, 1940.
- HITLER (Adolf). *Libres propos sur la guerre et la paix recueillis sur l'ordre de Martin Bormann*. Ed. Flammarion, Col. „Le temps présent”, Paris, 1952.
- PAPEN (von Franz). *Mémoires*. Ed. Flammarion, Paris, 1953.
- FRANÇOIS-PONCET (André). *Souvenir d'une ambassade à Berlin*. Ed. Flammarion, Paris, 1945.
- SCHACHT (H. dr). *Seul contre Hitler*. Ed. Gallimard, Paris, 1950.

17) Generał Beck przedstawił swoje poglądy w memoriałach z 5 maja, 3 czerwca i 16 lipca, oraz w tak zw. „wojskowym testamentie”, pisany w końcu lipca 1938. W tym ostatnim dokumencie znajduje się ustęp, syntetycznie ujmujący rolę Polski: „Polen hat sicher Interesse an einem Erwerb des Teschener Gebietes. Es ist vielleicht auch bereit, entsprechende Verabredungen mit Deutschland zu treffen. Wahrscheinlich ist es zur Zeit allerdings, das es sich zunächst abwartend verhält. Ob es selbst aber etwaige Verabredungen mit Meutschland einhält in einem Augenblick, in dem Frankreich-England in den Krieg eingreifen, ist mehr wie fraglich... Polens Gesamt-einstellung zu Deutschland geht aus seinem Verhalten gegen die in Polen lebenden Deutschen einwandfrei hervor. Man muss daher, was auch vorher verabredet sein mag, damit rechnen, dass Polen, wenn Deutschland durch das Eingreifen Frankreichs-Englands in eine schwierige Lage gerat, Forderungen an Deutschland richten wird. Gibt Deutschland notgedrungen nach, so werden sich diese steigern, wie ein Erpresser es zu tun pflegt, bis das aktive Eingreifen Polens gegen Deutschland im geeigneten Augenblick doch erfolgt”: por. Wolfgang Forster, *Generaloberst Ludwig Beck*, Muenchen 1953.

O kontaktach admirała Canarisa z Ukraińcami interesująca informacja u Hagen l.c. str. 181.

„...Besonders Admiral Canaris, der Leiter der militärischen Abwehr, hatte enge Beziehungen zu Fuehrern der Ukrainischen Nationalbewegung. Diese Beziehungen wurden auch nach der Auflosung des karpatho-ukrainischem Staates nicht abgebrochen, so dass Canaris in der Lage war, wichtige ukrainische Nationalisten zur Unterstuetzung der deutschen militärischen Aktionen gegen Polen und spaeter gegen Russland zu gewinnen”.

Ludzie stamtąd

(KRONIKA ANGIELSKA)

Prasa polska i amerykańska opisując ucieczkę prof. M. Korowicza — doniosła, że uczony polski zwrócił się do p. Stefana Korbońskiego z prośbą o pomoc. P. Korboński swą decyzję uzależnił od odpowiedzi na dwa następujące pytania: czy prof. Korowicz był członkiem partii komunistycznej — oraz czy był urzędnikiem administracji reżimu. Dopiero gdy p. Korboński otrzymał odpowiedź negatywną na powyższe pytania zdecydował się pomóc prof. Korowiczowi.

Niedawno z pewnej propagandowej instytucji amerykańskiej usunięto pisarza polskiego ponieważ przed wojną należał do partii komunistycznej czego nie tall, tym bardziej, że cała jego twórczość pisarska wywodzi się z owego „nawrócenia”.

„KULTURA” w odróżnieniu od innych pism zachodnich nie krytykuje amerykańskich metod walki z komunizmem. W okresie Jałty wpływy komunistyczne sięgały w Ameryce tak wysoko, że na tym tle zrozumiała jest reakcja, której najjaskrawszym wyrazem jest senator Mc Carthy. W walce przeciw komunizmowi nie można przesadzić nadmiarem gorliwości. Państwa zachodnie grzeszą raczej brakiem a nie nadmiarem czujności w tej dziedzinie.

Ameryka jako największa antykomunistyczna potęga świata ma prawo na swym terytorium stosować politykę antykomunistyczną jaką uważa za stosowną i celową. Ale przyjęcie zasad „Mc Carthy'zmu” jako fundamentu polityki w stosunku do Europy środkowo-wschodniej musiałoby doprowadzić do katastrofy.

Reakcje prasy polskiej w okresie tzw. „sprawy Miłosza” oraz procedura zastosowana do Korowicza — wskazują jasno, że jest wśród nas więcej „mc-carthystów” niżby mogło się wydawać.

Z wypowiedzi p. Korbońskiego należy wnioskować, że gdyby prof. Korowicz oświadczył, że był członkiem partii — pomocy by nie otrzymał.

Nasi politycy zamiast przenieść zasady Mc Carthy'ego na grunt polskiej polityki powinni tłumaczyć Amerykanom, że metody dobre i celowe w Stanach Zjednoczonych mogą okazać się fatalne w zastosowaniu do tzw. państw satelickich i ich obywateli.

Po pierwsze, musimy z całą stanowczością bronić zasady, że prawo azylu dotyczy wszystkich zarówno komunistów jak i nie komunistów.

Jeżeli ktoś jest komunistą w Ameryce czy w Anglii to można przyjąć za pewnik, że dana osoba jest członkiem partii komunistycznej z wolnej i nieprzymuszonej woli. Jeżeli jednak komunistą (tzn. członkiem partii) jest Polak, który zjawia się w Nowym Jorku w składzie takiej czy innej delegacji reżimowej — jest rzeczą możliwą, że ów Polak w tym właśnie celu wstąpił do partii, by stworzyć sobie możliwość ucieczki na Zachód. Najlepszym przykładem jest por. Jarecki, który był nie tylko członkiem partii ale wykładał na kursach „uświadczenia politycznego”.

Byłoby wprost katastrofalnym błędem z naszej strony ugruntować w krajach ujarzmionych opinię, że na dobre przyjęcie i życzliwość z naszej strony liczyć mogą tylko ci, którzy potrafią udowodnić, że nie należeli do partii i nie byli funkcjonariuszami reżimu. Wówczas ci komuniści, którzy są nastroszeni „narodowo” oraz ci komuniści, którzy podlegają zwątpieniom — odrzucają możliwość ucieczki i popierać będą reżimy komunistyczne ze strachu o własną skórę. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że komuniści w krajach za „żelazną kurtyną” głoszą pod rozmaitymi postaciami zasadę

„jeżeli nas powieśzą to wszystkich razem” sugerując, że stopień zagrożenia ze strony kapitalistycznego Zachodu jest identyczny w stosunku do wszystkich, którzy mają w kieszeni legitymację partyjną czy urzędniczą. Strach tego typu cementował solidarność Niemców po ogłoszeniu zasady „bezwątkowej kapitulacji”.

Jest rzeczą oczywistą, że każdy obywatel w krajach ujarzmionych zadaje sobie pytanie — co się z nim stanie po uwolnieniu? Takie pytania stawiają sobie i komuniści. Może nie przywódcza elita zawodowych komunistów, którzy w razie wycofania się Sowietów z krajów Europy środkowo-wschodniej zostaną odwołani do centrali — ale bez wątpienia pytania tego typu nurtują w duszach „szaraczkowych” komunistów. Te same pytania nurtują w duszach milionów urzędników i funkcjonariuszy reżimów komunistycznych. Trzeba jeszcze podkreślić, że w państwach totalnej dyktatury nie ma właściwie „prywatnych” ludzi i niemal każdy obywatel w takiej czy w innej formie jest funkcjonariuszem reżimu. I w tym sensie odpowiedź prof. Korowicza była nieścista — gdyż zarówno jako profesor uniwersytetu jak i członek delegacji reżimowej do ONZ — był w pełnym tego słowa znaczeniu wysokim funkcjonariuszem administracji warszawskiej.

W grę wchodzi tu jeszcze jeden moment. Na skutek anty-amerykańskiej propagandy prowadzonej w olbrzymiej skali, obywatelowi w krajach ujarzmionych możliwość wojny musi się wydawać czymś znacznie bliższym i realniejszym niż nam na Zachodzie. Prasa i radio w krajach za „żelazną kurtyną” dniem i nocą oskarżają Amerykę o przygotowywanie napastniczej wojny i przeciętny człowiek, który 90 % swych informacji czerpie z tych źródeł musi uważać wojnę za konkretną możliwość w niedalekiej przyszłości. I na tym tle pytania: co będzie z komunistami, urzędnikami, funkcjonariuszami, kolaborantami? — za „żelazną kurtyną” nabierają żywotnej aktualności.

Nie mamy prawa krytykować senatora Mc Carthy, gdyż my sami nie uformowaliśmy żadnego poglądu politycznego w odniesieniu do komunizmu w Europie środkowo-wschodniej. W tej dziedzinie polityki emigracyjnej panuje wprost bezprzykładne zakłamanie. Tak charakterystyczna dla każdej emigracji idealizacja kraju ojczystego sprawia, że oficjalna polska polityka stoi na stanowisku, że komunistów w Polsce w ogóle nie ma. Są tylko agenci w służbie obcego mocarstwa, którzy rządzą Polską w imieniu i na rachunek zaborcy. Gdy się przyjmie tak uproszczony pogląd, to oczywiście nie ma ani zagadnienia polskiego komunizmu ani problemu kolaboracji, ani sprawy trwałych i nieodwracalnych przemian. Uwolnienie w świetle tej filozofii nie jest także zagadnieniem, gdyż z chwilą gdy obcy zandarmi i agenci wycofają się z terytorium Polski — wszystko wróci do normy.

Tego typu polityka oparta na fałszywym i z gruntu zakłamanym idealizowaniu Kraju kryje w sobie wielkie i groźne niebezpieczeństwo. Jedynym bowiem logicznym wnioskiem z tego typu poglądów może być tylko polska odmiana „Mc Carthy'zmu”!

Nie bez wpływu na tego rodzaju rozwój sytuacji są również relacje tych, którzy „wybierają wolność”. Z psychologicznego punktu widzenia jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że nowi emigranci mówią nam przede wszystkim to co pragnęlibyśmy usłyszeć. Jest również zrozumiałe, że wykazują wielką wstrzemięźliwość w poruszaniu tzw. tematów drażliwych. Wiem na przykład od polityków z Rady Narodowej, którzy rozmawiali w cztery oczy z por. Jareckim tu w Londynie, że nie wszystkie oceny tego młodego człowieka znalazłyby aprobatę... Związku Rolników Polskich w W. Brytanii. Powyższe wypowiedzi jak i inne — nie pojawiły się nigdy na łamach prasy emigracyjnej. Nowy emigrant orientuje się bardzo szybko, że chcąc ugruntować swoją pozycję w społeczności polskiej na Zachodzie musi być w sensie politycznym bardziej „emigracyjny” niż inni.

Lecz tego typu polityka do niczego nie prowadzi. Musimy wypracować ludzki realny pogląd na te sprawy i zagadnienia, bo jedno jest pewne: wszelki polski „Mc Carthy'zm” odciąłby nas całkowicie od Kraju i narodu.

Ponieważ ponad 10 % młodzieży polskiej w Kraju należy do organizacji komunistycznych nie możemy przyjąć zasady, że przeszłość komunistyczna dyskwalifikuje Polaka na całe życie. Ponieważ miliony Polaków są w takiej czy w innej formie funkcjonariuszami reżimu nie możemy również przyjąć tezy, że współpraca z reżimem w Kraju automatycznie dyskwalifikuje daną jednostkę.

Musimy przyjąć zasadę ogólną i kardynalną: komunizm nie dyskwalifikuje pod warunkiem, że się go porzuci. Domagamy się porzucenia komunizmu nie dlatego, że wywodzi się z Marksza — gdyż i socjalizm bywa marksistowski — jak również i nie dlatego, że głosi filozofię materialistyczną, gdyż każdy może hołdować poglądom filozoficznym jakie mu opowiadają. Zwalczamy komunizm ponieważ na zewnątrz godzi się na całkowite podporządkowanie Polski dyktatowi Moskwy a na wewnątrz opiera się na terrorze i dyktaturze. Jesteśmy więc przeciwnikami komunizmu z dwóch przyczyn: po pierwsze — ponieważ jest nie do pogodzenia z niepodległością Polski i po drugie — ponieważ jest nie do pogodzenia z demokracją. W ramach ustroju demokratycznego można walczyć o realizację nawet skrajnego programu politycznego pod warunkiem jednak, że założenia tego programu nie godzą w niepodległość państwa i nie zmierzają do dyktatury.

Polityka emigracyjna powinna przy każdej okazji dobitnie podkreślać, że zwalczamy komunizm nie dlatego, że przeprowadził w Kraju szereg radykalnych reform. Gdyby te reformy były wynikiem decyzji większości, wyrażonej w demokratycznych wyborach, każdy z nas użyłby je za zgodne z wolą narodu. Nie przeciwstawiamy się reformom — tylko metodzie. Komunizm w Polsce w obecnej jego formie jest sprzeczny z wolnością na zewnątrz (niepodległość) i z wolnością na wewnątrz (demokracja) i nie ulega wątpliwości, że z tych przyczyn znakomita większość jest przeciwko tej doktrynie. Niemniej trzeba zaznaczyć, że radykalny program reform może wpływać z ideologii partii, która stoi na stanowisku niepodległości Polski i nie dąży do ustanowienia totalistycznej dyktatury. Takiej partii w uwolnionej Polsce przysługiwałoby pełne prawo walki o realizację jej programu w ramach ustroju demokratycznego.

W sumie — naszej polityki w stosunku do polskiego komunizmu nie powinniśmy opierać ani na „Mc Carthy'zmie”, który jest formalistyczny, ani na założeniach wyłącznie ideologicznych lecz na sprawdzianach moralnych.

Dnia wyzwolenia powinni się obawiać w Polsce tylko ci, którzy popełnili zbrodnie w stosunku do narodu polskiego. W dzisiejszej Polsce nie jest istotne czy ktoś jest członkiem partii. Istotne jest natomiast co robi. Lekarz powiatowy, który jest urzędnikiem reżimu i członkiem partii może być człowiekiem wysoce zasłużonym dla narodu polskiego — podczas gdy szpicel i prowokator nie będąc ani członkiem partii ani urzędnikiem reżimu może mieć setki niewinnych ludzi na sumieniu.

O dniu wyzwolenia nie powinni myśleć z obawą ludzie hołdujący choćby skrajnie lewicowym i radykalnym poglądom politycznym i społecznym pod warunkiem, że nie mają zbrodni na sumieniu i gotowi są walczyć o realizację swego programu w ramach ustroju demokratycznego. Nie może być naszym zadaniem przeciwstawianie komunizmowi w Polsce jakiegokolwiek emigracyjnego programu. Komunizmowi przeciwstawiamy tylko i wyłącznie demokrację a nie ściśle określoną polityczną ideologię. O ustroju i jego formie zadecydują Polacy po uwolnieniu a nie emigracja.

LONDYŃCZYK

Kraj

Dzień w Wybranowie

Co się dzieje w mieście powiatowej Wybranów? Jedni z nas opuścili ją w sierpniu 1939, żegnając się na dworcu z najbliższymi i obiecując powrót po zwycięstwie, inni w tłumie słocznym na wagonach wiozących pod eskortą robotników dla fabryk Trzeciej Rzeszy, jeszcze inni w karetkach samochodowych, nie ważąc się pod lufami rozpylaczy wstać, by rzucić okiem przez zakratowane okienko na dobrze sobie znane zarysy kościoła i domów na rynku. Ostatni wychodzili po długich i dramatycznych rozmowach w zamkniętych czterech ścianach mieszkania ludzi zaufanych, ze sztucznie obojętnym, ale czujnym i uważnie rozbieranym spojrzeniem na ulice i przechodniów, wypowiedziawszy już w drzwiach otwartych głośno słowa pożegnania „do jutra” z całkowitą niemal pewnością, że jest to pożegnanie na zawsze...

Myśmy wyjechali, ale Wybranów został, z tymi samymi murami i z tymi samymi w większości ludźmi. Kształt ulic i domów jest ten, który przechowaliśmy w naszej pamięci, jak rysy bliskich i dalekich znajomych. Ale w tych samych murach ci sami ludzie żyją inaczej, a wraz z odmiennym powiązaniem stosunków przekształcają się zwyczaje, formy, a w coraz większej mierze także i poglądy, upodobania i tradycje.

Bo to nieprawda, że tradycja z tego samego czasu jest zawsze jednakowa. To tak, jakbyśmy idąc po drodze patrzeni wstecz, sądząc, że widok pozostawionego za sobą będzie zawsze taki sam. Jakżeż może być taki sam, gdy między nami, a opuszczonym punktem wyjścia stanęły nowe przedmioty, te, które minęliśmy ostatnio, a kątem patrzenia na minione zmienia się, zależnie od kierunku drogi. Ci, którzy na skrzyżowaniu dróg rozeszli się, z innej perspektywy patrzą na punkt, z którego wyszli razem.

Nie tylko mijamy inne drzewa i inne domy, nie tylko patrzymy na inny krajobraz przed sobą, ale także patrząc na te same obrazy, pozostawione za sobą, widzimy co innego niż ci, którzy szli inaczej. Jakże trudno było nam wytłumaczyć emigracji z 1939 roku życie kraju czy Warszawy pod okupacją!

By zbliżyć się trochę do tego punktu, z którego patrzy kraj, musimy próbować poznać nasze miasteczko Wybranów takie jakie jest dzisiaj. Nie ma Starostwa i Urzędu Skarbowego, nie ma apteki Przetakowskiego, nie ma na placu Piłsudskiego przed składem towarów mieszanych Icka Gryngolda — powozu z dworu Dobiechowskiego. Nie ma także magistratu i Sokoła, ani restauracji Hotelu Warszawskiego, ani kawiarni „Splendid”.

Setki wozów nie wypełniają już placu targowego, ale w dniu jarmarku jest jeszcze trochę budek i straganów. Większość należy do handlu uspołecznionego. Stoisko PZGS (Powiatowy Związek Spółdzielni Gminnych) wystawia gotowe koszule z najtańszego druczku bawełnianego, trochę guzików, przyborów do szycia, ubrania robocze. Obok kiosk z narzędziami, nawozami sztucznymi — o ile nie wyprzedane — z żelazem i gwoździemi, jednym słowem z towarami, których chłop potrzebuje w gospodarstwie. Jeszcze jeden kiosk — miejscowego Ge-Esu (gminnej spółdzielni), w którym można nabyć zeszyty, ołówki i książki. Jest niezawodnie Szołochow (nie „Cichy Don”, a „Zorany ugór”), jest „Celuloza” Neverlego, jest tanie wydanie „Pana Tadeusza”, poza tym broszury o kolektywizacji i „aktualnych zadaniach partii na wsi”. Jednym słowem literatura atrakcyjna — mniej lub więcej.

Obok trwożliwie w kilku kioskach przyczaiła się konająca inicjatywa prywatna, która dzielnie sprzedaje żyłетки spod łady i igły do maszyn, jakich chwilowo zabrakło w kioskach handlu uspołecznionego.

W kiosku Centrali Przemysłu Skórzanego towarzyszą Irka, aktywistka Zetempe (Związku Młodz. Polskiej), mająca ambicje wygrania współzawodnictwa sprzedaży (nagroda — pisma tow. Stalina, a może i awans) zachwała gorliwie kilku chlewnistrzom sąsiedniego PGR (zespół Dobiechów) najnowsze modele damskiego obuwia : gdynki z podeszwą drewnianą i skórzonym paskiem farbowanym na zielono, czerwono i niebiesko. Obuwia skórzanego na kioski się nie daje.

Dalej kiosk Centrali Ogrodniczej dla użytku ludności miasteczka i parę punktów skupu wolnorynkowego. Tu, jeśli się ma wypełnione dostawy, można z wolnej ręki sprzedąć masło czy parę jajek, a nawet prosiaka. Jako nabywca występuje Centrala Mięsna, albo PZGS, zależnie od towaru.

Można także spróbować sprzedać wprost jakiejsz zabiedzonej kobiecie miejskiej trochę jaj czy masła, ale trzeba uważać, bo po targu kręci się niewyraźnie wyglądający młodzieniec w brudnej koszuli „à la Słowacki”, przedstawiciel Komisji do walki z nadużyciami i spekulacją, który zagląda kupującym przez ramię. Lepiej takie transakcje załatwiać na wsi ze znajomymi, a nie na targu, choć targ jest po to, by przy pomocy towarów atrakcyjnych ściągnąć sprzedawcę wolnorynkowego do punktów skupu handlu uspołecznionego.

Zostawmy jednak targowisko, by udać się na plac Bieruta, gdzie też ruch przy jarmarku jest trochę bardziej ożywiony.

W sklepach specjalnych, utrzymywanych wprost przez centrale handlowe, można nabyć droższe towary. Kierownik młyna PZZ (Polskich Zakładów Zbożowych) ogląda eksportowy płaszcz gabardinowy i namyśla się czy wydać na jego zakup miesięczną pensję, czy też czekać na paczkę, którą jego ciotce zapowiedział bratanek z Anglii? Ciotka drogo nie weźmie, ale czy ta paczka w ogóle przyjdzie? Bryczka z PGR Dobiechów zatrzymała się przed sklepem Centragalu, ale żona pana dyrektora próżno przebiera w pudełkach, szukając czerwonej wstążeczki. Na koźle siedzi Staś Kudrys i zastanawia się, czy wystąpić z krytyką dyrektora na zebraniu ZZ Pracowników Rolnych, czy też pójść do korespondenta prasowego „Gromady”. Bo jakże to — kampania żniwna za pasem a dyrektorka każe się obwozić po sklepach Central i jeszcze opowiada, że chodzi o środki chemiczne do zaprawy nasion. Przecież wiadomo było i tak, że jeszcze nie przyszły z Kielc! Nie o środki chodziło, a o plotki z kierowniczką sklepu drogerijnego PSS. „Te wielkopańskie narowy dygnitarzy trzeba wypalić gorącym żelazem” — przypomina sobie Staszek nauki sekretarza ZZ. Ale czy to dobrze tak „podpaść” dyrektorowi? Nigdy nie wiadomo kto po łbie dostanie, on — Staszek, czy dyrektor. Poruszy tę sprawę na grupie ZMP, naradzą się. Z tymi wysuniętymi trzeba ostrożnie, bezpartyjni fachowcy mniej groźni.

W Pe-es-esach też ruch wzmożony. Do wytwórni wód gazowych dzwoniło, że w gospodzie Nr 3 na targowisku zabrakło wody sodowej, ale w wytwórni robotników nie ma, nie wiedzieć gdzie się zawieruszyli. Piekarze peesesowi poszli do domu, zadowoleni, że całe pieczywo zaplanowane do wypieku już wydano. Za to w sklepach urwanie głowy, znowu brak i pieczywa i wody. Z pieczywem mniejsza, towar ściśle planowany, mąki nie za dużo na składzie, ale wody trzeba sprzedać jak najwięcej, wiadomo wolna masa towarowa, a jak wolnej masy zabraknie w dzień targowy, to cykliczność diabli wezmą i planu obrotów w żaden sposób nie przekroczysz — rozpaczają sprzedawczynie z kiosków.

Kilka gospodyń wcześniej opuściło targ i zebrało się na przedmieściu przed bramą ogrodu Liceum Rachunkowości Rolniczej, by dowiedzieć się, czy nie można zobaczyć synów. Wpuszczono je do środka, na spotkanie wyszedł błądy i kaszlący mężczyzna w nieokreślonym wieku, wykładowca marksizmu.

— Nie ma chłopców — objaśnia — poszli brać udział w założycielskim zebraniu spółdzielni „Przyjaźń Narodów” w Lipowej. Ale może obywatelki zobaczą szkołę. Tu w hrabskich pałacach młodzież się teraz uczy na kierowników i księgowych do POM'ów, spółdzielni i PGR-ów.

Kobiety oglądają i słuchają długich i okrągłych komentarzy, w końcu jedna przerywa falę wymowy i pyta :

— A nie mógłby mój na tydzień wrócić do domu ojcu w polu pomóc ?

— Jakże tak, w akcji żniwnej udział muszą wziąć, w PGR-ach — powtarza z naciskiem nauczyciel i instruktor polityczno-wychowawczy — ogólnokrajowe współzawodnictwo ZMP.

Instruktor chciał jeszcze coś mówić, ale kaszel go chwycił.

Babiny smętnie opuszczają głowy i wychodzą. Idąc cienistą aleją nie zwracają uwagi na zarosniętą trawą kort tenisowy i kępy usychających róż. Rozmawiają o swoich. Niby dobrze, że chłopców nauczą ale czemu w polu nie pomogą? Choć może tak i lepiej, niż żeby do kopalń szli, jak niektórzy, w kopalni pieniądza trochę jest, ale straszno pod ziemią. Pisali do sąsiadów, że różne nieszczęścia się przytrafiają i normy trzeba wyrabiać, z początku bardzo trudno.

Ci znowuż z jedenastolatki (Szkoła ogólnokształcąca stopnia licealnego) dobrze mają, na obóz pojechali, ale dzieciom nieparcyjnym niełatwo tam się dostać.

Kobiety wracają w stronę rynku, mijając po drodze tartak miejscowego rejonu przemysłu drzewnego i walące się ogrodzenie składów materiałów budowlanych PZGS-u. Dalej znów oparzaniony teren Centrali Opałowej. Z zazdrością patrzą na stosy polan i niewielką kupę węgla. Bez słowa, za milczącą umową dochodząc do placu Bieruta skręcają w lewo i wchodzi do Kościoła. Drzwi otwarte, w pobliżu wejścia kosz, jakby od bielizny, do którego wkładają co mają — ta parę jajek, ta oselkę domowego masła. Urwane z towaru wolnorynkowego.

Zanim siwy ksiądz kanonik czy milczący wikary obejrzą nadwyżkowe produkty i zastanowią się, co komu z tego dać wieczorem, gdy różne cienie suną ku plebanii pod okiem niezawsze przemykających powieki milicjantów, patrzą na zapelniający się kosz szeroko otwarte oczy drewnianego Chrystusa na krzyżu.

Naprzeciw kościoła gmach PRN (Prezydium Powiatowej Rady Narodowej). Biel jego niby-klasycznych kolumn w promieniach lipcowego słońca rani oczy, odrywające się od ciemnej fasady barokowego kościoła. Długie czarne smugi przecinają pionowo fronton PRN — nieoczekiwany efekt zbyt pośpiesznego wykańczania robót blacharskich. W języku krajowym nazywa się to teraz „niedoróbki”.

Gdy rąbnęty bombą lotniczą budynek dawnego starostwa oddano na Powiatowy Dom Kultury, a uroczyste otwarto nowy gmach PRN, zwany teraz „domem w paski” (z powodu tych smug), zaczęły tu ściągać dawne urzędy z całego miasteczka. Inspektorat szkolny przeniósł się do pokojów, nad którymi umieszczono tabliczki „Wydział Oświatowy”, urząd skarbowy zamienił się w „Wydział Finansowy”, „Wydział Zdrowia” objął funkcje lekarza powiatowego. Inspektorat pracy włączył się do „Wydziału Społecznej Administracji Pracy” i tak wszystko ściągnęło pod jeden wspólny dach wraz z nowymi działami rolnictwa i leśnictwa, handlu i przemysłu, kultury oraz Powiatową Komisją Planowania Gospodarczego i Powiatowym Komitetem Kultury Fizycznej.

Znikł tylko wydział bezpieczeństwa przy starostwie, a raczej nie znikł lecz przeniósł się do UB, wyodrębnił i rozrósł.

Niektóre z dawnych lokali urzędowych zajęły nowe organizacje społeczne: Powiatowa Rada ZZ, Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Radzieckiej, Związek Młodzieży Polskiej, Liga Kobiet, Stronnictwa, Liga Przyjaciół Żołnierza, Służba Polsce.

Z gmachu PRN często latają gońcy do dawnego Sokoła, gdzie mieści się Partia, a jeszcze częściej telefonistka z urzędu pocztowego skarży się na blokowanie centrali przez ciągle rozmowy między ulicą Rokossowskiego a aleją Stalina.

Na korytarzach PRN pełno chłopów, jedni płacą podatek, inni pukają do komórki skarg i zażaleń, inni targują się o dostawy w wydziale rolnym. Delegaci Spółdzielni produkcyjnych chcą się upomnieć o pomoc żniwną. Ludzi brak, dużo młodych wyjechało z powiatu, jedni na Ziemię Zachodnie, inni do Nowej Huty, jeszcze inni do kopalń, robotnika dniówkowego nikt nie dostanie, a zboże trzeba uprzętnąć jak dawniej.

Teraz nawet nie wszyscy jeszcze zwózkę siana pokończyli, więc koło południa rynek już pusty, wozy się rozjechały. Z biur wychodzą urzędnicy, dziewczęta ze sklepów pędzą do jadłodajni.

W południe w zakładzie żywienia zbiorowego PSS-u pełno, ale atmosfera nie przypomina niczym tej, jaką znamy z tego lokalu, gdy zwał się restauracją hotelu Warszawskiego. Dosłownie atmosfera, bo dość zasadnicze zmiany menu wpływają też na zmianę aromatu restauracji. Maszyna nieczynna, na półkach brak długich rządów butelek z wielobarwnymi etykietami. To chce może zamówić monopolówkę i wino z Kruszewicy, ale amatorów mało.

Nie ma rządów z sąsiednich majątków, przejezdnych agentów i miejscowych notabli, rozsiadających się na długo w obitych czerwonym aksamitem fotelach pod portretami prezydenta Mościckiego i Rydza-Smigłego. Jest kilkudziesięciu pracowników handlu uspołecznionego, młyna PZZ tudzież tartaku i fabryki elementów budowlanych. Siadają gdziekolwiek, niebardzo zwracając uwagę na towarzystwo. Widać że im śpieszno, bo ciągle wołają na dwie dziewczyny, których kultury mimo ciągłych upomnień o wyższy poziom higieny i fartuchy obsługi pełne są płam.

Na wybielonych ścianach naturalnie Bierut i Stalin, a tylko w głębi, nad drzwiami do kuchni zachował się „landszaft”, przedstawiający zamek feudalny, z którego wieży wyłania się tarcza zegara z prawdziwymi wskazówkami. Przed wojną zegar ten chodził, a nawet wydzwaniał godziny, przypominając pijącym, że czas mija.

Teraz każdy wie o tym sam. Wysunięty (to jest awansowany z robotnika) dyrektor tartaków i zakładów przemysłu drzewnego wciąż spogląda na zegarek. Czekając zagłębia się w myślach na temat zajęć popołudniowych... konferencja w sprawie przyspieszenia dostaw ram okiennych dla Nowej Huty... znów alarmują. Zbadać dokumentację do produkcji drzwi. Załatwić

skargi na przeklasyfikowanie robotników. Wyjaśnić dlaczego przy heblarkach bhp (bezpieczeństwo i higiena pracy) nawala, dwa wypadki w miesiącu, choć nie wykonują norm. Wąskie gardło *) trzeba usunąć. Ni stąd ni zowąd zastanawia się nad wąskim gardłem i dlaczego mówi się usunąć, a nie rozszerzyć?

Z zadumy wrywa go kierownik rachunkowości PRN, stary znajomy sprzed wojny, dawniej buchalter tartaku.

— Jak się macie? — podaje rękę i zaraz siada obok.

Kelnerka już jest obok i rzuca prędko:

— Krupnik może być, kotleta już nie ma, na drugie dorsz z surówką albo makaron z sosem?

— Dorsza mi towarzyszek dajcie z tą kapustą surową.

Dziewczyna od razu znika, a stary buchalter wspomina długie konferencje na temat zakąsek, jakie prowadził z kelnerami w tym samym lokalu przed wielu, wielu laty.

Tymczasem wysunięty dyrektor kończy już obiad i patrzy na zegarek.

— Będę już szedł, jakby żona przyszła powiedzcie, że nie czekałem, bo dużo roboty. U niej tam dziś spichrze szykują, może przy pracy zje.

— Kto nie ma roboty? U nas wojewódzkie współzawodnictwo sprawozdawczości... A tartak rozbudowujecie, słyszałem?

— Niby tak, ale teraz normy się przeregulowało, a maszyny zaczynają nawalać. Wiecie maszyna, jak człowiek swoje wytrzyma...

Dyrektor wstaje nie kończąc myśli i wychodzi, ale jego miejsce po chwili znów jest zajęte, jedni wychodzą, drudzy wchodzą, dużo pracujących kobiet z biur i sklepów.

Wszyscy się zloszczą na czterech przyjezdnych, którzy się rozsiedli przy najlepszym stole i porozkładali jakieś mapy, coś mierzą i kłócą się. Dziś przyjechali z Kielc i przedpołudniem chodzili po polach pod Szwedzką Górę. Jeden starszy, siwawy ociera spocone czoło chustką.

— Co tam ci geofizycy wiedzą — mówi wyraźnie poirytowany — coś im się w pomiarach pomyliło i twierdzą, że płytko rudę znajdziemy. Myśmy za Copu w tej okolicy dłubali w ziemi i same małe gniazdzka znajdowali. O eksploatacji mowy nie ma.

— Ale to zbrocze wykazuje formację starą, która... — mówi z „narybku technicznego” wyraźnie chce się popisać niedawno zdobytą wiedzą.

— Nakazano nam zbadać, musimy — dodaje drugi młodzieniec.

— Powiedzcie jeszcze Panowie, że plan przewiduje wykrycie nowych pokładów rudonośnych w tej okolicy — inżynier, bezpartyjny fachowiec nic nie robi sobie z bojaźliwych spojrzeń towarzyszy, co mu tam, wie co umie i wie, że jest potrzebny, bez niego ci smarkacze nie będą wiedzieli gdzie i jak wiercić. Można

*) Dział opóźniający pracę innych w fabryce z powodu niedostatecznej wydajności.

sobie to i owo swobodniej powiedzieć. Ci młodzi inaczej, na tych więcej uważają. Pobłaźliwie słucha więc zapewnień, że na pewno wiercenie da wyniki. Co tam, on sam by chciał, żeby się znalazło coś w tej ziemi, jego samego korciło już dawno, by wdrzeć się do jej trzewi świdrami, sam latami o to walczył, robiąc nieurzędywistnione plany poszukiwań.

Ale swoją drogą na taki upał lepiej siedzieć przy kawie, niż tłuc się po polach, więc dobrze, że dopiero jutro dostaną pomoc i to tylko na tydzień.

Miejscowi opuszczają jadłodajnię, sala pustoszeje. Na placu Bieruta też ustaje ruch.

Z rzadka przejeżdża ciężarówka wioząc cegły na budowę do tartaku. Autobus staje przed Pe-ka-esem, by odwieść kilkunastu robotników na nocną zmianę Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, odległej o kilkadziesiąt kilometrów, a po drodze zabrać nielicznych pasażerów do okolicznych wsi. „Moskwicz” geologów stoi wciąż przed jadłodajnią.

Popołudnie dłuży się nudą małomiasteczkową, roje much unoszą się nad kupami śmieci, jakieś dzieci dłubią koło budynku straży ogniowej, od czasu do czasu stare kobiety wloką się z torbami, niosąc kartofle czy warzywa na wieczorny posiłek. Gdyby nie statua żołnierza radzieckiego, otoczona kilku anemicznymi krzewami można by przypuszczać, że jesteśmy na rynku w Wybranowie skwarne południa sierpniowego 1939 roku.

Koło piątej rynek ożywia się. Najpierw wysypują się pracownicy biur, po nich robotnicy i robotnice z tartaków, z cegielni i z młyna śpieszą na wyciągi do sklepów, by uniknąć przedwieczernego natoku. Wielu nie chodzi w dzień do jadłodajni, woli zjeść w domu, kiedy kobieta wraca z pracy i bierze się do gotowania, odebrawszy po drodze dziecko ze żłobka. Dzieci z przedszkola wracają same. Wreszcie zamykają się i sklepy, dziewczęta namyślają się czy iść do domu, czy przedtem skoczyć na plażę miejską nad rzeką? Mało czasu, bo trzeba jeszcze zjeść, a potem zdążyć albo na zebranie ZMP, albo na próby zespołów teatralno-śpiewaczych przed świętem dożynek, albo na wykład języka bratniego w TPPR. A swoją drogą dziś jest kino otwarte, dają „Młodość Szopena”, bilety już rozsprzedawali po sklepach i warsztatach, zawsze to ciekawsze niż zebranie ZMP.

Od rzeki idzie chłodniejszy powiew, słońce chyli się ku zachodowi, ulice ożywiają się, z ogródka plebanii uderza zapach maciejki, ale nie widać spacerowiczów, lustrujących letnie stroje i badających nastroje młodszych mieszkanki Wybranowa. Każdy się gdzieś śpieszy.

Koło ósmej działacze miejscowi śpieszą do PRN na konferencje w sprawie akcji żniwnej.

Przychodzi sekretarz partii i sekretarz Powiatowej Rady Związków Zawodowych. Ci dwaj najwięcej mają do powiedzenia, bo jakże prowadzić akcję żniwną bez Partii, skoro wiadomo, że Partia nie może się oderwać od konkretnych prac, że najważniej-

sze zadanie Partii to właśnie przestrzegać dyscypliny przy realizacji planów gospodarczych, widzieć praktyczne zadania i stosować przy ich rozwiązywaniu nauki, wyciągnięte z zasad marksizmu-leninizmu, albo jak pominąć Radę ZZ w rolniczym powiecie o szerokiej organizacji ZZ pracowników Rolnych i Leśnych? Zetempe ma reprezentować ducha aktywizmu i mobilizacyjności. Liga Kobiet potrzebna, bo wiadomo, że kobiety zawsze pracowały przy żniwach i może się uda ściągnąć ich trochę z miasta. Odcinek indywidualnej gospodarki ma być reprezentowany przez Związek Samopomocy Chłopskiej i ZSL, naturalnie w osobach sekretarzy. Sami chłopci doszli do wniosku, że najlepiej sobie pomogą nie pchając się na konferencję, bo wciąż można się zdradzić z niewłaściwym pojmowaniem istoty sojuszu robotniczo-chłopskiego, a tego sekretarz Partii nie lubi.

Zaprasza się także Stronnictwo Demokratyczne i Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (wszystko co się robi, trzeba zacząć pod znakiem przyjaźni polsko-radzieckiej). Dyrektorzy zespołu PGR i miejscowego POM-u (Państwowy Ośrodek Masywny) uzupełniają komplet.

Przewodniczący PRN zagają posiedzenie, streszczając własnymi słowami przemówienie ministra rolnictwa Dąb-Kocioła, drukowane w „Trybunie Ludu” z poprzedniego dnia. Uczestnicy pilnie słuchają, bo wszyscy przeczytali „Trybunę” i dla pewności powtórzyli lekturę przed samym pójściem na posiedzenie. Chcą stwierdzić co przewodniczący opuści, by na wszelki wypadek mieć temat do zabrania głosu w dyskusji ogólnej i wykazać umiejętność wiązania prac konkretnych z ogólną sytuacją w obecnym etapie.

Wszyscy dyskretnie ziewają i od czasu do czasu rzucają okiem na sekretarza Partii, który zdaje się nie jest w najlepszym humorze. Jakoż od razu pierwszy prosi o głos i zarzuca wszystkim, nie wyłączając przewodniczącego PRN, zbyt oderwane, nie dość operatywne podejście do akcji żniwnej. Trzeba powiedzieć ilu ludzi da miasto, gdzie skierować pomoc, trzeba zmobilizować wszystkich na zagrożony odcinek.

Pośpiesznie melduje się sekretarz ZMP. My już — powiada — zmobilizowaliśmy setkę ludzi i wyteżymy wszystkie siły, by dać więcej... Liczymy, że za naszym przykładem... Widząc powątpiewanie na twarzy sekretarza Samopomocy zaperza się i krytykuje „bezduszny stosunek wsi” do akcji żniwnej i „samospokojenie” Związków Zawodowych.

Sekretarz Samopomocy zamienia dyskretnie spojrzenie z sekretarzem Powiatowej Rady ZZ. Ten właśnie zna się na rzeczy, bo przed wojną był robotnikiem rolnym i w dawnym rzeczy porządku doszedłby był pewnie do stanowiska karbowego, to jest na szczyt kariery w ciągu jednego pokolenia. Wobec szczeniaka z ZMP nie odczuwa kompleksu niższości, bo ma nad nim przewagę pochodzenia klasowego. Pyta więc spokojnie :

— A gdzieście tych stu ludzi wzięli, że ja nie słyszałem ?

— Z Liceum Rachunkowości rolnej... już za tydzień pojada

do PGR-u rzepak zbierać, bo żniwa rzepaku wcześniej się zaczynają...

— Mnie towarzysz nie będzie uczył, kiedy się rzepak zbiera... Ale czy to Zetempe wysyła, czy może dyrekcja liceum ?

— Koło w Liceum powzięło uchwałę — bez zbytejnego przekonania tłumaczy aktywista.

Następuje podsumowanie zgłoszonych do żniw ludzi. Przypomniano sobie fryzjera z miejscowego koła SD, reprezentującego rzemiosło. Uchwalono wobec wielkiego braku robotnika ograniczyć pracę spółdzielczych punktów usługowych. Tylko w spółdzielni fryzjerów sekretarz sam będzie nadzorować mobilizację sił, no i chyba — myślą sobie uczestnicy — golić działacza, bo żyłek, jak nie ma tak nie ma. Jeżeli kasjerka pójdzie — myśli fryzjer — uda się z połowę klientów obsłużyć „bez błoczka”. Ładny zarobek.

Sekretarz Samopomocy długo się namyślał nad swoim wystąpieniem, szukając w pamięci odpowiedniego fragmentu mowy Kocioła. Wiedział, że robotników chłopom nie dadzą, a z drugiej strony nie mógł wykazać obojętności dla powierzonego sobie odcinka. Wreszcie przypomina sobie.

— Proszę towarzyszy — mówi — i obywateli — dorzucą spojrzawszy na przedstawicieli stronnictw — nie możemy w obecnym etapie lekceważyć indywidualnego chłopca, a więc my na swoim odcinku podejmiemy kroki...

— Jakie kroki? — wtrącił bezlitośnie sekretarz Partii, nie przepuszczający okazji do zaznaczenia swej wyższości.

— Wezwiemy aktyw samopomocy i wszystkich chłopów do energicznej kampanii żniwnej...

— Zjednoczone Stronnictwo Ludowe zgłasza swój akces do akcji żniwnej — pośpieszył się nauczyciel, syn średniorolnego chłopca i dawny wiciowiec.

Pod koniec zebrania występują trudności. PGR-y jak zwykle są zachłanne i przedstawiciel Samopomocy, tym razem z większym tupetem, pyta czy do spółdzielni produkcyjnych nie wysła się z miasta nikogo? Przy podsumowaniu potrzeb i możliwości okazuje się, że spółdzielnie potrzebują mniej pomocy, ale za to z drugiej strony jeśli im nie dać do żniw ludzi politycznie uświadomionych — snopy wędrować będą do stodołek prywatnych, jako pochodzące rzekomo z działek przyzagrodowych.

— Co warte te spółdzielnie i cała wasza robota towarzysz — rzuca się sekretarz partii — jeżeli nawet chłopci spółdzielcy nie wiedzą, że własność spółdzielni to święta własność socjalistyczna?!

„Samopomocowiec” tłumaczy się gęsto i zawile, po czym występuje nowy kłopot : okazuje się, że zetempowcy, dla braku transportu nie będą mogli do miasteczka wracać z odległych folwarków P.G.R.-u nawet na niedzielę, a mają występować na dożynkach i muszą odbywać próby. Każdy się cieszy, że może przypiąć łatkę zetempowcowi : czy nie można było prób zrobić przedtem? Czy on sobie to tak wyobrażał, że po pracy w polu

jego młodzież będzie tańczyć wieczorami? Widać, że towarzysz przy żniwach nigdy nie robił — ironicznie zauważa prezes Rady ZZ.

— A wyjście sale na próby w domu kultury dawali tym obiektom, dla nas nie było — odcina się zaatakowany.

— Ja mam nasz gmach i naszą odpowiedzialność za k.o. (tj. akcję kulturalno-oświatową) w związkach, a towarzysz swoją odpowiedzialność za Zetempe!

— Trudno — rozcina spór przewodniczący PRN — ważniejsze dorzynywanie zboża, niż popisy towarzyszy na dożynkach.

Wreszcie późną nocą telegram z zobowiązaniami powiatu w sprawie akcji żniwnej odchodzi. Uczestnicy zebrania rozchodzą się. Dyrektor z Dobiechowa ma bryczkę i zaprasza kierownika POM-u.

Za chwilę ciszę śpiącego miasteczka przerywa stuk kopyt o kamienie bruku i turkot żelaznych obręczy, jak przed wojną, gdy młodzi Szparkowscy wracali nocą z bridge'a w Dobiechowie. W bryczce toczy się przyciszona rozmowa.

— Przyszły te wiązanki z Płocka?

— Ciągłe zapowiadają, ale dotychczas nie wysłali. Ze szpategatem też kiepsko, jakiś inny gatunek przysłali ze Świebodzic, rwie się, podobno trzeba maszyny przeregulować.

— Zanim przeregulujecie rzepak nam się wysypie. A kombajny odremontowane?

— Kończą się, kończą. Na laurach towarzyszu nie spoczywamy!

Żegnają się przed bramą POM-u i wiedzą już o kampanii żniwnej dużo więcej niż wiedzieli wychodząc z zebrania.

Prezes Powiatowej Rady ZZ idzie z sekretarzem Samopomocy.

— Aktywiście się dostało po palcach — zauważa pierwszy.

— Psssst. Idzie za nami — szeptem drugi, oglądając się za siebie.

Młody człowiek skręca w przecznicę, mija parę domów, dzwoni do drzwi. Otwierają mu zaraz.

— Towarzysz zaczeka, komendant zajęty.

Po pół godzinie otwiera się brama, prowadząca na podwórze, zamknięty samochód zdąża ku szosie do wojewódzkiego miasta. Kogoś wywożą. Komendant jest wolny, prosi. Nie spodziewa się niczego ciekawego, ale trzeba mieć materiał do raportu. Niestety te raporty coraz mniej konkretne, coraz ogólniejsze, wszystko jakieś nieuchwytnie, brak faktów, brak danych o wrogu klasowym, coraz trudniej Bezpieczeństwu wykazać się czujnością. Kontrolnik (Przewodniczący Powiatowej Komisji Kontroli Partyjnej) mówił mu to samo. Nie ma jak kontrolować nastrojów, wszystko jest jak mgła, która zalega wszędzie, a nie można jej zawrzeć nigdzie.

Na rynku pojawiają się grupki młodych dziewcząt i chłopców, wychodzą z ulicy Bohaterów Stalingradu, z domu Kultury.

Jedni mieli być na próbach zespołu amatorskiego ZZ pracowników Handlu, inni w tej samej sali na zebraniu sekcji Zetempe z pogadanką na temat „Moje wrażenia z Festiwalu młodzieży w Bukareszcie”. Okazało się, że wbrew instrukcji kierownik Domu Kultury nie prowadzi harmonogramu użytkowania lokali. Po krótkim sporze oddano salę handlowcom, a inni przyglądali się próbie. Doniesiono zresztą wkrótce, że referatu festiwalowego nie będzie, bo sekretarz ZMP zajęty, ma ważniejszą konferencję w PRN. Nikt się szczególnie nie martwi.

Młodzi idą w grupkach po troje-czworo, rozmawiają poważnie półgłosem na tematy obojętne. Ubrani niezbyt starannie, bo po pierwsze nie bardzo jest w co, a po drugie nikt nie wie, gdzie kończy się godna pochwała dbałość o estetykę odzieży, a gdzie zaczyna bikiniarstwo. Mrok nie pozwala dostrzec łat na koszulach i spodniach, a zresztą to już nikogo nie kępuje.

W świetle raziłby najwyżej przesadnie staranny strój towarzysza Chmary (sprzedawcy Centrogalu), który w satyrycznej sztuce autora krajowego ma grać właśnie rolę bikiniarza.

— Józio to spryciarz — mówią o nim z uznaniem i z odcieniem zazdrości koledzy, przypominając sobie jak na próbach opowiadał o konieczności realistycznego podkreślenia typowych cech młodzieńca, ulegającego podszeptom wroga klasowego, by widzowie nabrali do niego odrazy. Zdaniem złośliwych kolegów Józio liczy więcej na wprost przeciwny efekt u koleżanek.

Wygasają światła w oknach, kończy się godzina przeznaczona na sprawy osobiste i życie rodzinne, nie powiązane bezpośrednio z ostatnimi zadaniami produkcyjnymi i wytycznymi Partii, organizacji społecznych czy placówek gospodarki uspołecznionej, a więc na pranie bielizny, naprawę instalacji domowych, zaszywanie dziur w butach lub rąbanie chróstu pod piec kuchenny.

Sekretarz ZMP staje na rynku i rozgląda się. Jakaś postać wychodzi z ogródka plebanii. Wpatruje się w nią długo i uważnie, po czym podnosi wzrok na okna domów. Notuje w pamięci mieszkania, w których światła nie pogaszono, a okna pozamykano. Doktor Zieliński, adwokat Wagner, Krukowscy. Z czego ci starzy żyją jeszcze? A to w nowym domu miejskim, czy to przewodniczący MRN? Nie, trzecie od lewej na pierwszym, dyrektor tartaku.

Uśmiecha się i wolnym krokiem przechodzi przed frontem domu miejskiego. Nic nie słychać.

— Wysunięty dyrektor — myśli sobie — a w upał okna zamyka wieczorami. Zamykaj, zamykaj, aż ciebie zamkną.

Zza rogu ukazuje się grupa zetempowców, witają sekretarza i odprowadzają go do domu, słuchając nie trzymających się kupy wyjaśnień na temat niedoszedłego do skutku zebrania i nieskoordynowanych zaleceń w sprawie akcji żniwnej. Po pożegnaniu

kilka okien w rynku błyska światłkami. Niektóre pozostają zapalone dłużej, niżby tego wymagała wieczorna toaleta.

Czy kierownik tartaku studiuje w domu dokumentację techniczną produkcji drzwi prefabrykowanych dla ZOR-u (Zakład Osiedli Robotniczych) w Nowej Hucie? Może. A towarzysz Chmara z Centrogalu? Czy czyta broszurę z pełnym tekstem przemówień, ogłoszonych na ostatnim kongresie ZZPH? A może mowę ministra Dietricha o zadaniach handlu socjalistycznego? Może studiuje rolę bikiniarza, ulegającego podszeptom wrogiej propagandy? Kto to może wiedzieć? Nikt nie zajrzy za okno poddasza, obite grubym papierem do pakowania.

Nikt nie dojrzy też fal eteru, niosących wieści ze wspaniałego świata, w którym wolne uchodźstwo jednoczy się bez przerwy i zajmuje coraz bardziej nieprzejednaną postawę niepodległościową, a narody cywilizacji zachodniej udają się na błogi spoczynek.

Jedno po drugim gasną okna.

Na Wybranów zapada noc bezplanowych i niekontrolowanych snów. Znad rzeki wznosi się mgła.

Wojciech ZALESKI

« Libres Propos »

REVUE MENSUELLE

a publié des textes de :

Georges ALTMAN — Jacques F. BLIN — François BONDY —
 Manuel BRIDIER — Michel COLLINET — Michel DEBRE —
 Jacques DOMINATI, Pierre DUMAS — Jacques ENOCK —
 Pierre FATAUD — Pierre FELCE — Auguste GALLOIS —
 Georges GAUDIOT — Claude GUIBLIN — Gérard JAQUET —
 Jean KOSEK — André LAFOND — André MALRAUX —
 François MAURIAC — Robert MARGERIT — Louis MERCIER —
 Robert MOSSE — Roger MUS — Simone MUNIER —
 Hugues PANASSIE — Aimé PATRI — Georges PASCAL —
 Pierre RESTANY, Louis VALLON, Colette VERGNOLLE.

LIBRES PROPOS, 13 bis, rue de Poissy, Paris-5^e

Prix du numéro : 50 frs

Abonnement, 1 an : 500 frs

étudiants : 400 frs

C.C.P. Paris 8.596.33

Sprawy i Troski

Fakty i wnioski

Jako emigracja stoimy już okrągłe pięć lat na własnych nogach. W tym okresie powinniśmy byli ułożyć sobie swój nowy status życiowy, a więc rozejrzeć się za stałym miejscem postępu, poszukać mniej lub więcej odpowiedniej pracy, przystosować swe wymogi do warunków i otoczenia, oraz doszłusować do polskiego życia społecznego.

Jak wyglądają te rzeczy w praktyce? Zasadniczo wiemy tylko o tym, co się dzieje w naszym sąsiedztwie. Dopiero ankieta „Kultury” starała się zebrać dane dotyczące różnych aspektów życia emigracji, co, moim zdaniem, nie bardzo się jednak udało, ani pod względem struktury ankiety, ani ilościowej i jakościowej reakcji na nią uchodźstwa. Myślę, że można by uzupełnić wyniki ankiety przeprowadzając gruntowną analizę kilku środowisk polskich. Takie partes pro toto oddałyby wcale dobrze wszystkie zasadnicze strony życia kulturalnego, społecznego i materialnego emigracji, zwłaszcza w krajach, gdzie nie dzielią ludności na wybraną rasę krajowców i na „bloody foreigners”.

Ja właśnie znajduję się w takim położeniu. Mieszkam w jednej z prowincjonalnych stolic Argentyny, gdzie żyje poważna kolonia starej emigracji zarobkowej, i dokąd także ściągnęło przeszło sto rodzin z nowego wychodźstwa. Miasto nie jest tak rozległe, żebyśmy o sobie nie wiedzieli, a Związek Polaków jest na tyle aktywny, że na jego tle można ocenić wkład pracy społecznej każdego z nas. Tym niemniej moje wywody mogą być uważane jedynie za szkic, po prostu z braku kwalifikacji i czasu.

Charakterystykę środowiska muszę siłą faktu zacząć od próby zobrazowania starej emigracji.

Starzy, to synowie małorolnych chłopów, którzy w kraju nie mieli możliwości urzędzenia sobie życia. Wyjechali w świat niemal zupełnie surowi, to znaczy bez znajomości specjalnego fachu i języka. Dobrze, że młodszy już chodzili do polskiej szkoły lub służyli w polskim wojsku, co ich wybitnie różni od jeszcze starszych uchodźców, którzy tego przywileju nie zaznali.

Ich pierwsze lata w Argentynie były bardzo trudne, zwłaszcza gdy los rzucił biedaków na rolę. Większość osiadła jednak od razu w mieście, gdzie, jak się dało, różnie zarabiała na życie.

Stosunkowo liczne jednostki poświęciły się stolarstwu, jako że znalazł się wśród nich jeden czy drugi stolarz, no i że każdy polski chłop jest świadom drzewa i jego obróbki. Można w sumie powiedzieć, że niemal wszyscy się urządzili, mają swe stałe zajęcia, własne domki, dostatnie urządzenia i cieszą się poważaniem tubylców, którzy nawet patrzą na nich z pewną dozą zazdrości. Niektórzy pozakładali własne małe przedsiębiorstwa i tym się powodzi już całkiem dobrze. Nikt się jednak nie wybił, to znaczy nie zbudował milionowego majątku, ani nie zajął znaczącego stanowiska w tut. społeczeństwie.

Świadomość ubóstwa osobistego wyposażenia każe im bardzo uczciwie dbać o swoje dzieci, których zresztą jest bardzo mało. Polskie dzieci uczą się zasadniczo dobrze, i rodzice robią co tylko mogą, by je przepchać przez wszystkie możliwe szkoły. Niestety tylko niektórym z nich udało się zwycięsko przeciwdziałać przemożnemu naporowi tut. języka, tym groźniejszego, że nie podszytego szowinizmem. Znikoma ilość dzieci mówi po polsku, starzy natomiast zrzeszyli się w związek wzajemnej pomocy oraz wybudowali dla potrzeb organizacji wcale piękny i wygodny oraz — rzecz bardzo ważna — dochodowy dom polski.

Na ich dobro należy także zapisać przychylny stosunek do „nowych”. Większość z nich pomagała radą, czynem i pomocą materialną, co oczywiście nie zawsze spotkało się z odpowiednią oceną u nowych, a nieraz wręcz spowodowało wykorzystywanie „naiwniaków, co mają”.

Sytuacja gospodarcza kraju, jaką zastaliśmy w czasie naszego przyjazdu, była może trochę sztuczna. Rząd przeprowadzał na szeroką skalę inwestycje, pieniądza było w bród, ale jego wartość spadała szybko. W związku z tym dawał się odczuwać brak rąk roboczych, zwłaszcza brakowało kwalifikowanego robotnika. Kraj, jak wiadomo, posiada dużo niewykorzystanych dotąd możliwości. Tubylcy odnoszą się do nowoprzybyłych przychylnie, nie ma absolutnie żadnej dyskryminacji na tutejszych i obcych, a prawa i obowiązki są te same dla wszystkich. Zresztą państwo nie wtrąca się zbyt w sprawy obywateli. W porównaniu z Europą panuje tutaj duża swoboda. Warunki mieszkaniowe są, jak wszędzie, trudne. Ale rząd stara się za pomocą łatwych pożyczek rozwiązać ten problem. Kto jednak zdobył od razu mieszkanie, nie płaci dziś wysokiego komornego, bo rząd utrzymuje je na niskim poziomie. Ostatecznie bez mieszkania nie jest nikt.

Stosunek zarobków do kosztów utrzymania jest korzystny. Trzeba wiedzieć, że prezydent Peron otoczył robotnika specjalną opieką. W całej Ameryce nie ma kraju, w którym by pracownik korzystał z takich przywilejów, do których nie zawsze dorósł. Jeszcze jedno: Tutejsi criollos nie zabijają się w robocie,

lubią fiestas i siestas, co jest powodem do różnych napomnień ze strony rządu. Wobec takiego stanu rzeczy właścicielami przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych są niemal wyłącznie cudzoziemcy lub ich potomkowie, którzy dlatego przyjmują chętnie nowych imigrantów do pracy. Jednak w mieście nie ma ważniejszych zakładów przemysłowych. Dopiero państwo wybudowało wielką fabrykę samolotów, w których obecnie zaczyna wyrabiać samochody i ciągniki dla rolnictwa. Fabryka poszukuje na gwałt fachowców; dziś pracuje połowa nowej emigracji w tych zakładach.

Zasadniczo tam skierowano pewną część dawniejszego naszego personelu techniczno-lotniczego, dla którego uzyskano jeszcze z Anglii zatrudnienie w zakładach lotniczych. W związku z tym przybyła pokaźna ilość młodych ludzi, absolwentów naszych wojennych szkół technicznych, np. w Heliopolis. Poza tym jednak spłynęła na miejsce typowa, a więc różnorodna, fala wychodźstwa, przeważnie dawniejszych żołnierzy via Anglia, ale także prosto z Włoch, no i dipisów różnej maści. Żony, to po większej części Polki, ale są także Włoszki, z których trzy mówią dobrze po polsku i wychowują swe dzieci w duchu polskim. Reszta to Angielki, Niemki i inne. Wśród młodego wychodźstwa mamy sporo młodych małżeństw, więc przyrost naturalny istnieje, chociaż niegwałtowny. Nowi dbają o wychowanie dzieci w języku i duchu polskim, choć są wyjątki i to nie na szczelnie najniższym. Jednak dopiero czas oceni wyniki tych zabiegów wychowawczych.

Wśród nowych nie było dużo specjalistów, pożądaných w tym kraju. Z wyjątkiem wymienionych już fachowców-lotników reszta szukała pracy gdziekolwiekby. Na szczęście istniejąca w kraju prosperity pozwoliła każdemu, skoro tylko nie był za stary, znaleźć zajęcie. Większość nowych prędko się poduczyła fachu i nawet po bankructwie pewnej fabryki, zatrudniającej wielu Polaków, zwolnieni łatwo znaleźli pracę w innych przedsiębiorstwach, gdzie się ich ceni. Najlepiej powodzi się rzemieślnikom z prawdziwego polskiego zdarzenia; są oni dziś wśród nas rzeczywistą arystokracją, bo dopiero w porównaniu z tutejszymi oceniliśmy odpowiednio wartość polskiego wykształcenia fachowego.

Natomiast na nic po prostu nie zdali się „fachowcy”, wypuszczeni w świat przez PRC, co zresztą dla nikogo nie mogło stanowić tajemnicy. Jakżeż bowiem mogli zawodowi wojskowi przygotować cywilów do pracy cywilnej!!! Pamiętam taki żałosny ośrodek w Oakhampton, gdzie masa komandorów — skąd przy naszych szczupłych siłach morskich aż tyłu ich się nabrało! — marnowała czas i możliwości, topiąc w marazmie biurokracji wojskowej przebyłski cywilnej odwagi i inicjatywy.

Idąc za panią-matką wielu z nas rzuciło się na stolarkę. Ja także — z musu. I proszę poszukać kraju na świecie, gdzieby kilku przypadkowych znajomych kupiło trochę narzędzi i dwie kulawe ławki (warsztaty) i nie mając zielonego pojęcia o sto-

larce zmajstrowało jakieś przedmioty, kopiując z gotowego i na taki cymes znalazło nabywców. To znaczy, że niemal od pierwszego dnia pracy można było z „przedsiębiorstwa” żyć. Czy to nie brzmi jak z bajki !! Ta sztuka może by się już dziś nie udała, bo warunki gospodarcze pogorszyły się jednak znacznie. Ale wówczas, kiedyśmy stawiali nasze pierwsze kroki i jako „przedsiębiorcy” wszystkie szanse były po naszej stronie i można było stanąć jako tako na nogach, zwłaszcza że małe warsztaty specjalizują się tutaj w robieniu tylko ograniczonego asortymentu. Taki proceder powoduje ogromne oszczędności w materiale i ułatwienie w robocie, oraz upraszcza znacznie metody pracy. Prowadzi to oczywiście do automatyzacji fachu, ale dla nas, fachowców z nieprawdziwego zdarzenia, stanowi element nader korzystny.

Jeszcze może kilka słów o ogólnych warunkach życia. Z bardzo nikłymi wyjątkami jesteśmy robotnikami niewykwalifikowanymi. Tym niemniej mieszkamy zasadniczo wszyscy w oddzielnych domkach — przeciętnie po trzy pokoje z łazienką — posiadamy lepsze lub gorsze umeblowanie i żyjemy na wcale wysokiej stopie życiowej, zwłaszcza w porównaniu ze skalą życia przedwojennego robotnika w Polsce. Niestety tylko nieliczne jednostki potrafią swe położenie należycie ocenić. Taki brak orientacji o istocie swego stanu życiowego prowadzi do nagminnych narzekania na tut. kraj. W niektórych wypadkach jest to oczywiście reakcja niezdarności życiowej narzekających, którzy w żadnym wypadku i nigdzie nie byliby odnieśli sukcesu życiowego. Po większej części jednak jest to objawem snobizmu; narzekanie należy po prostu do dobrego tonu.

Bo mimo biadolenia ludzie się urządzają. Istnieje tutaj zwyczaj zaopatrywania się na długoletnie raty w działki pod ewentualną budowę domku. Zdaje mi się, że około 50 % przybyłych od razu sprofurowało sobie takie tereny, a dzielniejsi z nich już się pobudowali, korzystając ze stosunkowo łatwych pożyczek państwowych, ale wnosząc w budowę dużo własnego wysiłku w postaci przywiezionych oszczędności oraz własnej pracy. Ci, którzy szczęśliwie uporali się z budową, posiadają dziś obiekt o dosyć dużej wartości, bo ani nominalna wysokość pożyczki bankowej, ani stopa raty miesięcznej nie zmieniły się, podczas gdy wartość nieruchomości wzrosła wskutek inflacji. Trzeba jednak zaznaczyć, że tych, którzy z powodzeniem ukończyli budowę, jest stosunkowo niewiele. Inni działkowcy albo dotąd nie próbowali szczęścia, może ze względu na niski czynsz mieszkaniowy, albo narazili się przy budowie na kłopoty materialne, z których im nie sposób wybrnąć, bo ostatecznie wszystko zależy od dzielności jednostki.

Większość Polaków starych i nowych pracuje na cudzy rachunek. Mogło się wydawać, że skoro tylko Polacy wydostaną się z europejskiej ciasnoty, użyją swych oszczędności na zbudowanie sobie samodzielnej egzystencji, zwłaszcza w handlu, o co niektórzy tak „bohatersko” walczyli z Żydami w Polsce. Tym

czasem do handlu nie poszedł niemal nikt, chociaż warunki ku temu istniały. Natomiast założono, jak wspomniałem, trochę własnych warsztatów wytwórczych. Niestety zabrali się do tego przeważnie niefachowcy-inteligenci. I właśnie ten eksperyment w większości wypadków nie udał się. Niektórzy dawno wycofali się z imprezy, inni ledwie zipią, a reszta siłą ciężania dalej brnie w długi i nieprzyjemności, narażając bardzo często zasadniczo dobrą dotąd markę polską na szwank. Niestety różnego rodzaju macherów jest wśród nas więcej, niżby pobieżna analiza w Polsce na to mogła wskazywać. Zdaje się jednak, że taki stan rzeczy jest normalnym następstwem rozbitcia istniejących grup społecznych i zanikania wytworzonych przez nie handlowców.

Są oczywiście także jednostki, które dobrze sobie dotąd radzą; to znaczy zdołały stanąć na stosunkowo pewnym gruncie, wyrobić sobie jakąś markę i ze swej pracy wykroić środki do dalszej kapitalizacji. Chyba nie trzeba dodawać, że te skromne sukcesy są wynikiem samozaparcia i trzeźwego osądu istniejących możliwości... Niestety podobnych selfmademanów jest mało. W opinii natomiast dominuje grupa nierobów, poszukiwaczy skarbów i w ogóle niebieskich ptaszków, i według nich, pożałuj Boże, ocenia stara emigracja no i tutejsze społeczeństwo nowych. I znowu mamy do czynienia ze zjawiskiem zupełnie naturalnym; nikt bowiem nie dostrzeże setek pracowitych i rządnych, skromnych ludzi, ale każdy wskazuje na typka, który wszędzie ma długi, słowa nie dotrzymuje, gorzej, nabiera ludzi gdzie tylko może, a przy tym rozrzutnie szafuje słowem Polak i Polka, nie zapominając dodać sobie stopnia lub dwóch w hierarchii wykształcenia lub przedwojennego stanowiska. Nie trzeba dodawać, że istnieje tutaj, jak wszędzie, ruchliwa komórka komunistyczna, zwłaszcza wśród żydowskiej inteligencji i bogatego żydowskiego kupiectwa, która wykorzystuje taką okazję dla postpowiania pojęcia Polak, robiąc z typka typ.

Zaznaczyłem z początku, że starzy zorganizowali wcale porządny związek i wystawili okazały dom polski. A więc znaleźliśmy na miejscu możliwości dołączenia własnego wysiłku do istniejącej akcji polskiej. I istotnie większość nowych od razu przystąpiła do organizacji, trochę ludzi zabrało się także do roboty kulturalno-oświatowej. Wyniki są widoczne. Jednak porównując skromne siły, jakimi rozporządzali starzy, z zasobami osobistymi, przywiezionymi przez nowych, wyniki są niepomierne niskie. Trzeba zaznaczyć, że każdy z nowoprzybyłych ukończył normalną szkołę powszechną, kilkadziesiąt osób posiada wykształcenie na szczeblu średnim, a jakaś dwudziestka ma za sobą całe lub częściowe studia wyższe. Żadna z emigracji polskich nie rozporządzała dotąd takim przygotowaniem osobistym. Zdawać by się więc mogło, że podobna ilość ludzi wykształconych po prostu rozsądzi impetem swej działalności społecznej ciasne dotąd, z konieczności, ściany polskiej gromady. Stało się jednak inaczej. Większość nowych płaci zaledwie swe składki członkowskie. Są i tacy, którzy nawet na tę skromną

ofiare się nie zdobędą — o Skarbie Narodowym szkoda gadać — chociaż stać ich codziennie na sakramentalną butelkę skrobogarda, eufemistycznie ochrzczonego mianem wina. Niektórzy panowie dobrze zagnieżdzeni w różnych instytucjach zaledwie, od wielkich uroczystości, raczą zaszczycić swą godną osobą polską gromadę. Są i tacy, którzy odrzucili od siebie polskość jak zmierzłą szmatę. Wprawdzie jednostki ciągną, ale jest ich za mało jak na istniejące możliwości i zadania. Najwięcej zastawia niemal całkowity brak w pracy społecznej ludzi w sile wieku, którzy wyrosli już tylko w polskiej szkole. Pytałem się raz takiego „średniaka”, dlaczego nie bierze udziału w naszym życiu społecznym, chociaż po całych dniach łupi w brydża i dlaczego nawet „Głosu” nie abonuje. Odpowiedź była charakterystyczna: „Mnie nic nie interesuje, ja czekam tylko na moment, kiedy będę mógł wrócić do kraju, na moją dawną posiadłość”. Bez komentarzy! Niestety nie jest to wyjątek.

Jest jeszcze jedna dziedzina godna omówienia, ale z braku czasu poruszę tylko pewne jej aspekty. Mamy tutaj w ośrodku, skupiającym gros Polaków, kościół obsługiwany przez księży-Polaków. Mimo że księża urządzają co niedzielę nabożeństwo polskie, udział w nich Polaków jest nader słaby. Co zaś najsmutniejsze — dzieci wyrastają bez nauki religii w języku polskim.

Taka sama abstynencja cechuje większość inteligencji w stosunku do abonowania, ba nawet czytania czołowych pism emigracyjnych, jak „Wiadomości” i „Kultura”. Nawet nasz tutejszy „Głos” ich nie interesuje, chociaż stara się jak może. Zdało się, że nowa emigracja postara się natychmiast o przekształcenie tygodnika na dziennik, bo możliwości ku temu istnieją. Wstyd powiedzieć, ale tygodnik pozostał tygodnikiem, i nadal walczy z trudnościami, sprzedając z biedą około 5.000 egzemplarzy na kilkadziesiąt tysięcy rodzin polskich w Argentynie, Chile i Urugwaju.

Ten smutny bilans zmusza każdego myślącego Polaka do wyciągnięcia pewnych wniosków. Czynię tak i ja, zastrzegając się jednak, że są to wnioski moje i nikomu ich nie narzucam.

Może być, że my, Polacy, przeżywamy pewien kryzys polskości. Że nam się już wszystko przejadło, że sprawy polskie nas przestały interesować, że raczej dbamy o przystosowanie się do nowych warunków. Przyznam się, że i mnie nie odpowiada ten Polak, wieczny społecznik, który z wytartym kołnierzem i wydeptanymi buciorami będzie pucował kłamki i na gwałt tworzył Polskę. Więcej mi się podoba typ zasobnego i zaradnego obywatela, który swoim stanem życiowym, obrośnięty tłuszczem sąsiedzkiego szacunku, stanowi o pojęciu Polaka w mentalności obcych. Ale chodzi właśnie o to, żeby nawet w najlepszych warunkach życiowych nie zapominać o swoim obowiązku wobec kraju i narodu.

Można rozumieć gorycz niektórych ze starej emigracji. Ich rankor do starej ziemi, którą podświadomie, mimo wszystko,

najwięcej kochają, jest zrozumiąły. Ale nas, nowych, ziemia nie wygnała, przeciwnie karmiła nas większym lub mniejszym kawałkiem chleba, nieraz nawet — obfitym, jak na nasze biedne warunki i osobistą zaś odpłatę. Przeszliśmy wprawdzie bardzo silny kryzys psychiczny. Zdaję sobie i z tego sprawę, że również wojsko swym bezmyślnym drylem i swą beznadziejną głupotą dało się wszystkim do syta we znaki i wytworzyło przeróżne kompleksy oporów wobec polskiej gromady. Ale: czas płynie, czas goi. Mamy tutaj do czynienia z ludźmi w najlepszym wieku. Od zakończenia wojny większość powinna była przyjsć do siebie i zacząć wytwarzać nowe wartości społeczne, zwłaszcza po przetrwaniu niebываłych doświadczeń ostatnich lat.

A tymczasem coś tu nie gra. Przecież każda społeczność składa się zasadniczo z masy, którą trzeba kierować. A tym kierującym czynnikiem, chociaż nie koniecznie, powinna być tak zwana inteligencja, to znaczy ludzie, którzy przeszli przez sito zakładów naukowych. Toteż nic by nie było w tym dziwnego, gdyby stara emigracja nie wytworzyła żadnych wartości kulturalnych, czy społecznych, właśnie z braku tej przodującej warstwy. A jednak zrobiła ona dużo, a nowi, przesyleni po prostu tym zaczynem, zrobili dotąd tyle co nic.

Przyczyny tej jałowizny społecznej tkwią, moim zdaniem, w złym doborze inteligencji i fałszywym jej wychowaniu. Wiadomo — z próżnego i Salomon nie należy. I w tym miejscu dotknęliśmy jednej z istotnych bolączek naszego polskiego organizmu. Po pierwsze — mieliśmy w kraju stanowczo za dużo szkół średnich ogólnokształcących i nawet uniwersytetów typu ogólnego. Zredukowanie tych zakładów mniej więcej o połowę i zużycie zaoszczędzonych środków na podniesienie poziomu życia nauczycieli, i co za tym idzie na dobór odpowiednich sił, oraz na utworzenie instytucji stypendialnej dla udzielenia biednym uczniom pożyczek na odbycie studiów, byłoby automatycznie podniosło poziom szkół i tym samym zasiłowało zakłady w wartościowy element uczniowski. Bo przedwojenny poziom naszych szkół średnich i wyższych był nastawiony na przeciętnie sto i mniej procent ilorazu inteligencji uczniów. Wybitniejsze jednostki przezważnie się w szkole marnowały. Źródło prawdziwej inteligencji pozostało niemal nietknięte na wsi i na przedmieściach robotniczych. Dziś dobrali się do niego czerwoni.

Po drugie — program tych szkół był wciąż jeszcze zanadto średniowieczny. Uczono dużo, za dużo ale za to po łebkach, bez głębszego zrozumienia zadania nauki. Każdy nauczyciel uważał swój przedmiot za alfę i omegę świata. W szkołach średnich, a już szkoda gadać o uniwersytetach, nie istniała nigdy jednoobrazowość działań kształcących i wychowawczych. Uczeń wychodził z budy wypchany różnorodnymi luźnymi półwiadomościami, ale za to akuratnie wyspecjalizowany w sztuce nabijania belfra.

Skutkiem tych zabiegów szkolnych, bo nie wychowawczych przysparzano społeczeństwu rok rocznie kilkanaście tysięcy „in-

teligencji" bez inteligencji, bez gruntownego wykształcenia, bez zaprawy w tajniki rządzenia sobą i grupą, a co gorsza, bez umiejętności samodzielnej pracy naukowej, samodzielnej pracy w ogóle, jak to na żywym ciele emigracji ze smutkiem konstatujemy.

Mam nadzieję, że czytelnicy mnie nie posądzą o całkowite uogólnianie. Znam znakomitych pedagogów, znam także ludzi, którzy z korzyścią ukończyli zakłady naukowe. Tak samo nie zwałam całej winy na naszą Polskę. Wiem może lepiej niż większość czytelników „Kultury” — bo jestem trochę z fachu — ile Polska uczyniła na polu szkolnictwa. Ale jeżeli na marginesie opisu pewnej zbiorowości polskiej na emigracji szukam przyczyn niemrawstwa wśród przodującej z natury rzeczy warstwy, to musiałem je odnaleźć w nieodpowiednim doborze kandydatów do tej warstwy i fałszywym podejściu do wyposażenia ich w zaprawę życiową.

Czytamy w krajowych zeszytach „Kultury” o organizacji szkolnictwa w obecnej Polsce. Jesteśmy świadkami wprowadzenia w życie z żelazną konsekwencją typu szkolnictwa, służącego z całą bezwzględnością celom imperialistycznym. Bo jedynie Sowiety zrozumiały decydującą rolę, jaką planowo urządzona szkoła odgrywa w kształtowaniu przyszłego pokolenia, mimo różnic w charakterze indywidualnym czy zbiorowym uczniów.

My na emigracji znajdujemy się w specjalnie korzystnym położeniu, bo możemy spojrzeć na siebie z boku, niemal z perspektywy, a więc korzystamy z okazji, jaka się narodowi polskiemu, ani może żadnemu innemu, jeszcze nigdy nie przydarzyła. Możemy krytycznie ocenić siebie na tle obcego podłoża. Powinniśmy zatem wykorzystać tę niebywałą okazję w całej pełni, przeprowadzić gruntowną analizę naszych reakcyj na napotykaną i niewidzianą w programie życiowym sytuację, oraz starać się dotrzeć do przyczyn, tkwiących u podstaw naszego zachowania się. A na podstawie wyników, trzeba nam już dziś pomyśleć o organizacji szkolnictwa w przyszłej Polsce, bo nie sposób utrzymać wszystkich innowacji obecnych, a trudno nam wracać do epoki kamiennej czasów przedwojennych.

A. M.

Z socjologii sportu

Socjologii sportu jako odrębnej gałęzi nauki jeszcze nie ma. W ostatnich jednak kilku dziesiątkach lat sport wyrósł do miary społecznego problemu, który domaga się naukowej analizy i systematycznego opracowania. Jest to tym bardziej konieczne, ponieważ państwa totalne używają sportu do celów propagandy politycznej dzięki czemu sport stał się zagadnieniem polityczno-międzynarodowym. Jest rzeczą konieczną, by w tych sprawach

zabrali wreszcie głos ludzie interesujący się zagadnieniami ogólnej kultury, gdyż sport przestał być dziś wyłącznie problemem kultury fizycznej.

Dla właściwego zagajenia dyskusji należałoby wyjaśnić parę zagadnień podstawowych. Ostatnia Olimpiada na przykład, zakwalifikowała wagę problemu zawodowstwa, pseudo-amatorstwa i czystego amatorstwa. Odżyło na nowo zasadnicze pytanie: dlaczego na olimpiadach startują tylko zawodnicy oficjalnie uważani za amatorów? Są przecież sporty jak np. boks, zapaśnictwo, jazda figurowa na łyżwach, tenis a przede wszystkim piłka nożna, gdzie zawodowi sportowcy są znacznie lepsi od amatorów. Dlaczego więc nie dopuszcza się ich do igrzysk, które mają być pokazem najlepszych osiągnięć w danej gałęzi sportu?

Znawcy sportu wiedzą, że dziś różnica pomiędzy sportem amatorskim i zawodowym polega już tylko na tym *kto finansuje* danego sportowca? Jeżeli finansistą jest osoba prywatna lub przedsiębiorstwo to jest to sport zawodowy. Jeżeli natomiast finansistą jest państwo lub organizacja społeczna — która ciągnie z tego sportu różne korzyści, a nawet zyski to jest to formalnie sport amatorski.

Stwierdzenie powyższe choć zgodne z rzeczywistością jednak zbyttno upraszcza całość zagadnienia. Żądania domagające się zrywania w prawach olimpijskich zawodowców z amatorami są mimo wszystko przedwczesne, a nawet szkodliwe. Dlaczego? O tym niżej.

Pod wpływem niekorzystnych warunków przede wszystkim gospodarczych w pewnych krajach amatorzy biorą pieniądze za uprawianie sportu. To jednak nie wyklucza, że gdzie indziej w korzystniejszych warunkach gospodarczych i kulturalnych amatorzy uprawiają sport zupełnie bezinteresownie. I tak np. w Anglii, w Holandii, w Szwajcarii czy w zamożniejszych krajach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów do dziś dnia istnieje sport czysto amatorski. Wypły brytyjskie pokryte są gęstą siecią klubów turystycznych i sportowych oraz drużyn piłkarskich czysto amatorskich. Wprawdzie i w Anglii pewne fabryki — jak wszędzie zresztą — stosują sport tzw. „fabryczny”, który jest pseudoamatorski, ale są to wypadki, jak do tej pory, bardzo rzadkie. Oczekiwać jednak można, iż pod wpływem dalszych trudności ekonomicznych pseudoamatorstwo w różnej postaci, a więc i sport fabryczny zacznie zyskiwać w Anglii na sile.

Sport fabryczny, który służy reklamie danej firmy był niewątpliwie najważniejszym „hodowcą” pseudo-amatorów. Członkowie drużyn fabrycznych, choć angażowani są podobnie jak i inni robotnicy, mają wobec swego chlebodawcy tylko jeden obowiązek a mianowicie reprezentowanie firmy w zawodach sportowych dla celów reklamowych. „Sportowiec” fabryczny otrzymuje wyższe wynagrodzenie niż robotnik i tylko pozornie pracuje w danej fabryce.

Po pierwszej wojnie światowej państwa totalitarne zastosowały zasady sportu fabrycznego w skali państwowej. Pod pozoro-

rem państwowej opieki nad sportem wprowadzono pseudo-amatorstwo zapewniając wybitniejszym sportowcom częściowe lub całkowite utrzymanie z funduszy państwowych. W ówczesnych warunkach ogólnej biedy i kryzysu gospodarczego w Europie pseudo-amatorstwo niemal zupełnie wyparło sport amatorski. Wielu znawców przedmiotu wyrażało pogląd, że czyste amatorstwo jest fikcją nie dającą się utrzymać w normalnych warunkach współczesnego życia. Niestety taki pogląd panował również i w Polsce przed wojną.

Zapomniano, że sport nowoczesny powstał samorzutnie w krajach przodujących gospodarczo jako forma „hobby” i rozrywki warstw bardziej zamożnych.

Z powyższego należy wyciągnąć dwa wnioski: po pierwsze — sport amatorski będący wyrazem naturalnej dążności wyładowania nadmiaru energii w zabawie i współzawodnictwie — może powstać w sposób naturalny i samorzutny tylko w społeczeństwach, które osiągnęły pewien poziom dobrobytu gospodarczego. Oraz drugi wniosek — iż los sportu amatorskiego zależy jest nie tylko od warunków gospodarczych lecz od całości układu stosunków kulturalno-cywilizacyjnych w danym społeczeństwie.

Nie tylko więc prawa ekonomii rządzą rozwojem sportu amatorskiego. Momenty psychologiczne są również wielkiej wagi. I tak np. w bogatej Ameryce w atmosferze ustawicznej gonitwy, za dolarem sport amatorski nie znajduje sprzyjającej atmosfery psychicznej. Natomiast atmosfera ta stwarza olbrzymie możliwości dla sportu zawodowego i pseudo-amatorskiego. Wysokie zarobki sportowców zawodowych pociągają tysiące, a może i miliony młodych Amerykanów w kierunku sportu pseudo-amatorskiego. Wielu młodych trenuje z zapałem w nadziei, że zdobędzie kiedyś pieniądze i sławę Dempsey'ów, Weissmuellerów, czy Sonii Henje. Wielu — zwycięstwo olimpijskie uważa za odskocznnię do kariery zawodowca. Wielu sport amatorski traktuje jako ukryte źródło dodatkowych zarobków.

Najpopularniejszym sportem amerykańskim jest niewątpliwie Baseball. Popularność ta gwałtownie się wzmogła od czasu sukcesu tzw. „Małych Lig”, które w okresie od r. 1947 do 1952 wzrosły z 60-ciu do 7.562 drużyn i skupiają obecnie ponad 150 tysięcy chłopców w wieku od lat 8 do 12. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że wkrótce „Małe Ligi” staną się domeną wielkiego „businessu” Baseball'u. I nie byłoby w tym nic złego, bo członkowie zespołów Baseball'u doskonale zarabiają. Ale przeciętny chłopiec amerykański nie będzie już zapewne marzył o zawodzie... strażaka, prezydenta Stanów Zjednoczonych, a szczytem jego pragnień będzie kariera zawodowego... „baseballisty”. Czy to nie wyrze ujemnego wpływu na przyszłość? Przerosty społeczne są zawsze niebezpieczne! Ostatnia reforma sportu akademickiego USA spowodowana głośnymi skandalami przekupstw wśród drużyn akademickich oczyściła wprawdzie sport akademicki ale czy można liczyć na stałą poprawę skoro więk-

szość amerykańskiej młodzieży patrzy na sport wyłącznie jako na źródło doskonałych zarobków i sławy. Odgrywa w tym wszystkim ogromną rolę typowo amerykańska „psychologia dolara”, która każe szukać coraz większych zarobków, coraz większych „sukcesów”. W tej atmosferze pseudo-amatorstwo stało się jakby naturalną formą sportu mimo, że Ameryka jest krajem bogatym. Wielu Amerykanów zdaje sobie sprawę jaki wpływ powyższa atmosfera wywiera na kulturę ogólną i nie brak działaczy, którzy z całym przekonaniem walczą o czystość sportu amatorskiego, który mimo wszystko w Ameryce istnieje choćby tylko w szkołach różnego typu i w wojsku.

Sport wojskowy, akademicki czy szkolny jak każdy sport wychowawczy (wychowanie fizyczne) nie może być niezależny. Jeżeli sport wychowawczy ma spełnić określoną rolę pedagogiczną to oczywiście musi być planowany i kierowany. I dlatego wychowanie fizyczne planowane z góry w razie potrzeby można radykalnie zreformować odpowiednią ustawą i przepisami. Inaczej jednak sprawa wygląda gdy sport uprawiają ludzie niezależni, samodzielnie zarobkujący i dojrzały. Ów sport — nazwijmy go sportem cywilnym — jest funkcją warunków gospodarczo-społecznych. Jeżeli więc zachodzi potrzeba uzdrowienia ogólnego cywilnego sportu to nie wystarczą ani ustawy ani reformy wewnętrzno-organizacyjne. Uzdrowić trzeba w pierw warunki gospodarcze i oczyścić atmosferę moralną a wówczas i sport powróci do zdrowia. Naturalny sport amatorski jest owym papierkiem lakmusowym, który reaguje na każde zakłócenie w normalnym rozwoju społecznym. Ta właściwość naturalnego sportu amatorskiego nie została jeszcze należycie przez socjologię wyzyskana.

Sport amatorski jako naturalny przejaw kultury fizycznej ludzi żyjących na pewnym poziomie dobrobytu gospodarczego może pomyślnie się rozwijać tylko w społeczeństwie, którego rozwój idzie po linii trwałego i powszechnego dobrobytu i socjalnego bezpieczeństwa. Wszelkie zaburzenia w tym naturalnym rozwoju odbijają się natychmiast na sporcie amatorskim, którego formą zwyrodniałą jest pseudo-amatorstwo.

Pseudo-amatorstwo nie byłoby takim złem gdyby istniało jawnie jak np. w starożytnej Grecji, gdzie zwycięzca olimpijski korzystał oficjalnie z różnych przywilejów natury materialnej jak zwolnienie od podatków itp. Obecne jednak pseudo-amatorstwo w samym założeniu jest kłamstwem, fałszem i kamuflażem. Pseudo-amator oszukuje wszystkich. Pseudo-amator kłamie twierdząc, że sport uprawia tylko w chwilach wolnych od pracy zawodowej i że sam siebie utrzymuje z pracy społecznie pożytecznej. I to właśnie jest z gruntu niemoralne. Nie wolno mieszać dwóch form — amatorstwa i pseudo-amatorstwa. Krzywdzi to amatorów i przeczy najprymitywniej pojętym zasadom sprawiedliwości i etyki społecznej.

Sport amatorski nie da się zlikwidować dopóki będą istnieli ludzie wolni nie wtłoczeni w gospodarczą niewolę takich czy innych mecenasów — organizacji lub państw. Innymi słowy w

ustrojach demokratycznych normalnie prosperujących sport amatorski będzie zawsze istniał, a dopóki istnieje amatorstwo, pseudo-amatorstwo pozostanie niemoralne i społecznie szkodliwe. Dlaczego? Bo różnica pomiędzy sportem amatorskim a sportem zawodowym i pseudo-amatorskim leży w pierwszym rzędzie w płaszczyźnie społeczno-socjalnej a nie tylko ekonomicznej. *Podstawowa różnica między amatorem a zawodowcem i pseudo-amatorem polega na ilości godzin zużywanych na trening.* Prawdziwy amator, który uprawia sport dla przyjemności i płaci za tę przyjemność własnymi pieniędzmi nie jest w możności poświęcić treningowi tyle czasu co zawodowiec czy pseudo-amator. Obecne wysoko wyrubowane rekordy sportowe są iloczynem talentu i ilości godzin włożonych w trening. Zawodowiec, czy pseudo-amator musi i może trenować więcej niż amator. Musi bo mu każą, pilnują i płacą mu za to, a może bo poza treningiem nic innego nie robi. Wskutek tego amator nie może współzawodniczyć z zawodowcami lub pseudo-amatorami, bo oczywiście, ci ostatni muszą wygrać w każdym spotkaniu. Ponieważ zaś zwycięstwo i poklask są motorem sportu więc amatorzy przestaliby trenować gdyby na drodze do sukcesu stanęli przeciwko nim zawodowcy jawni lub ukryci. Z punktu widzenia społecznego byłaby to klęska. Dlatego Olimpiady i mistrzostwa oficjalnie zarezerwowane są formalnie dla amatorów.

Istotą sportu amatorskiego jest bezinteresowność. Podporządkowanie sportu jakimkolwiek — choćby najszlachetniejszym ogólnym celom — zabija jego istotę. Sport amatorski jest formą rozrywki ludzi wolnych, niezależnych, żyjących w poczuciu bezpieczeństwa i dobrobytu. W państwach uboższych sport amatorski ogranicza się do małej garstki uprzywilejowanych, w krajach zamożniejszych ogarnia masy. I dlatego stopień nasilenia masowego sportu czysto amatorskiego oraz turystyki jest jednym z istotnych sprawdzianów prawidłowości struktury społeczeństwa.

Sport zawodowy jak każdy „business” powstaje samorzutnie wszędzie tam gdzie istnieje po temu odpowiednia koniunktura gospodarcza. Zawodowstwo sportowe ma również do spełnienia pożyteczną misję społeczną choćby jako masowe widowisko ludowe, lub uczciwy sposób zarabkowania, zawód dla wielu ludzi. Zupełnie inaczej jest z pseudo-amatorstwem; całkowicie sztuczne, zbudowane na kłamstwie i fałszu, ze społecznego punktu widzenia nie posiada ono żadnych cech dodatnich. Im prędzej ustąpi czy to na rzecz czystego amatorstwa czy zawodowstwa — tym lepiej.

Ażeby całkowicie wyjaśnić wzajemny stosunek sportu amatorskiego do zawodowstwa jawnego i ukrytego należy jeszcze powiedzieć kilka słów o udziale w Olimpiadach zawodowych wojskowych. Na wzór igrzysk staro-helleńskich wprowadzono niestety do programów Olimpiad nowoczesnych konkurencje wojskowe. Są to: szermierka, strzelanie z pistoletu i karabinu wojskowego, pięciobój nowoczesny oraz jazda konna. Wprowadze-

nie tych konkurencji spowodowało dopuszczenie do igrzysk olimpijskich zawodowców albowiem dawniej wojskowi uprawiali zawodowo szermierkę, strzelanie i jazdę konną. Trzeba jednak podkreślić, że konkurencje te od początku były wyłączną domeną zawodowych wojskowych. Cywilny zawodnik nie mógł bowiem — bez pogwałcenia zasad amatorstwa — stworzyć sobie takich warunków treningu w strzelaniu, szermierce czy jeździe konnej jak oficer zawodowy, który sporty te uprawiał codziennie w ramach zajęć służbowych. Ale nie było w tym ani kłamstwa ani fałszu, bo wszyscy doskonale wiedzieli, że wojskowi uprawiają te sporty zawodowo.

Niczym jednak nie można uzasadnić faktu, gdy pod nazwą amatorów występują wśród prawdziwych amatorów zawodowi wojskowi, którym wojsko płaci za grę w piłkę nożną (drużyna M.W.D. „DYNAMO”, lub drużyna oficerska CDSA z Moskwy) lub za bieganie (Zatopek). Nikt nie jest w stanie udowodnić, że dla oficera jest koniecznością bieganie na olimpijskim poziomie, granie w piłkę nożną, koszykówkę, lub dźwiganie ciężarów.

Jeżeli Komitet Olimpijski zarezerwował dla zawodowych wojskowych — jazdę konną, strzelanie i szermierkę to uczynił to dlatego, że do niedawna wszystkie armie świata były jednako zainteresowane tymi konkurencjami. Natomiast nie wszystkie armie zainteresowane są hodowlą bokserów, pływaków, piłkarzy, hokeistów czy kobiecych gwiazd sportu... Okazało się bowiem, że rekordzistka olimpijska w rzucie dyskiem, Nina Romaszkowa (ZSSR) jest zawodowym wojskowym i bierze udział w mistrzostwach armii sowieckiej.

Nieszczęściem nowoczesnych Olimpiad jest dopuszczenie do Igrzysk Sowietów. Sport sowiecki i wzorowany na nim sport państw ujarzmionych nie ma nic wspólnego z amatorstwem. Jest to kombinacja planowanego wychowania fizycznego z zawodowstwem. Lepszy sportowiec — od rekordów i propagandy, są na utrzymaniu państwa — gorsi są wtłoczeni w organizację komсомolską. Przyjęcie sowieckiego upaństwowionego zawodowstwa do olimpijskiej rodziny amatorskiego sportu państw zachodnich zagroziło b. poważnie Olimpiadom jako idei. Należy zdobyć się na wysiłek i energicznie się temu przeciwstawić. W tym celu winno się spowodować odpowiedni nacisk kulturalnej opinii Zachodu na Międzynarodowy Komitet Olimpijski i pobudzić go do odważniejszego działania. Należy zdyskwalifikować zawodowców zza „żelaznej kurtyny” i oczyścić zachodni sport amatorski z wszelkiego pseudo-amatorstwa.

Miał całkowitą słuszość Marszałek Montgomery domagając się we właściwym czasie niedopuszczenia zawodowców sowieckich do igrzysk olimpijskich. Słusznie twierdził on, że sport prawdziwie amatorski nie wytrzyma konkurencji z upaństwowionymi zawodowcami zza „żelaznej kurtyny”. Marszałek Montgomery przewidział nieuniknioną klęskę olimpijską narodów trzymających się ściśle zasad czystego amatorstwa w konkurencji z państwami totalnymi.

W pierwszym rządzie Anglia jest powołana do ratowania sportu amatorskiego, gdyż w Anglii pseudo-amatorstwa na szerszą skalę nie stosowano. To szczerze demokratyczne społeczeństwo uprawia tylko dwa naturalne rodzaje sportu: czysto amatorski jako „hobby” i czysto zawodowy jako „business”.

Uzdrowienie sportu, a przede wszystkim walka z pseudo-amatorstwem jako czynnikiem demoralizacji społecznej — odbywać się musi na płaszczyźnie obyczajów i kultury ogólnej. Jasne jest, że na tym polu najwięcej do zdziałania mają nie specjaliści, a ludzie światli, którzy zabierając głos w tych sprawach mogą wytworzyć odpowiedni nacisk opinii społecznej.

Józef Wiktor WŁODARKIEWICZ

PRZEDPŁATA

na

POEZJE ZEBRANE

JANA LECHONIA

w oprawie płóciennej.

Ozdobiona portretem autora rysunku Zdzisława Czermańskiego, książka zawierająca będzie dotychczas wydane tomy: „Karmazynowy poemat”, „Srebrne i czarne”, „Lutnię po Bekwarku”, „Arie z kurantem”, a także wiersze nie objęte wydaniami książkowymi oraz utwory przeznaczone do niewydanego tomu „Marmur i róża”, słowem wszystko co Lechoń wierszem do tej pory napisał. Obok tomów wy-czerpanych i stanowiących rzadkość bibliograficzną, „Poezje zebrane” przyniosą wiersze zapomniane i rozsiane po czasopiśmie, dziś zupełnie niedostępnych. W sumie tom liczyć będzie 117 utworów.

Cena tomu w Europie frs. frs. 500.— w przedpłacie. (Cena normalna wynosić będzie frs. 750.—).

Cena tomu w Ameryce (na papierze specjalnym) — w przedpłacie 2,50 dol. (Normalna 3,50 dol.).

Wydanie numerowane bibliofilskie na papierze luksusowym: Cena frs. 3.500.— dol. 10.—

Każdy abonent wydania bibliofilskiego otrzyma wybrany przez siebie wiersz Lechonia w jego autografie.

Pełna lista abonentów wraz z ilością zamówionych egzemplarzy będzie wydrukowana na końcu tomu.

TERMIN PRZEDPŁATY UPŁYWA 15 GRUDNIA 1953.

Po tym terminie obowiązywać będzie cena normalna.

Zgłoszenia wraz z należnością nadsyłać do:

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telephon DANton 51-09

Najnowsza historia Polski

Przyczynki do Powstania Warszawskiego

Umowa kapitulacyjna zawarta po Powstaniu Warszawskim przez dowództwo Armii Krajowej z Niemcami postanawia w 10-tym punkcie II-ej części co następuje:

„10) Układające się strony stwierdzają, że transport, pomieszczenie, straż i opieka nad jeńcami wojennymi pozostaje wyłącznie w kompetencji niemieckich sił zbrojnych (der Deutsche Wehrmacht). Strona niemiecka zapewnia, że zadania te w stosunku do żołnierzy A.K. nie będą powierzone formacjom obcych narodowości”.

Postanowienie to wprowadzono do umowy na żądanie strony polskiej mimo przeciwstawiania się, prowadzącego rozmowy ze strony Niemców, gen. von dem Bacha. Było ono zresztą wynikiem kompromisu. Pierwotne sformułowanie proponowane przez stronę polską, zastrzegając, że straż nad jeńcami wykonywać będą jednostki Wehrmachtu, wyłączało z niej nie tylko jednostki narodowościowe ale i SS.

Takie postawienie sprawy, poza znaczeniem istotnym, było demonstracją przeciwko zachowaniu się tych oddziałów, co w rozmowach podkreślano. Przedstawiciele polscy odmawiali im miana żołnierzy, przypisując czyny niegodne, popełniane podczas okupacji, a szczególnie w czasie walk w Warszawie.

Von dem Bach, generał SS, poczuł się tą dyskryminacją dotknięty do żywego. Zabolalo go też zapewne zestawienie SS z oddziałami narodowościowymi, sformowanymi przecież z „Untermensch-ów”. Zaliczony do kategorii zdyskryminowanych zapytał z ironią, czy może strona polska wskaże do prowadzenia dalszych pertraktacji innego generała niemieckiego spoza SS, jeżeli czyni zastrzeżenia w stosunku do rodzaju wojska, do którego on przynależy.

Po długiej i gorącej dyskusji, po wysunięciu przez stronę polską wielu argumentów, zgodzono się w wyniku obustronnych

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

ustępstw na wyżej przytoczone sformułowanie, w którym zastrzeżenia odnośnie SS pominięto.

Za wprowadzeniem do umowy tych zastrzeżeń przemówiły nie tylko argumenty wysunięte w rozmowach z Niemcami. Na żądanie strony polskiej wpłynęły niewątpliwie również względy innej natury, względy psychologiczne. Wyrosły one, jak wiele innych urazów mających swe źródło w długotrwałych okropnościach wojny, z pewnego procesu dokonującego się w psychice społeczeństwa polskiego.

Hitleryzm, dążący do zawładnięcia światem przy zastosowaniu ludobójstwa i metod sprzecznych z prawami boskimi i ludzkimi, był w przekonaniu społeczeństwa polskiego wcieleniem zła. Chciano widzieć wszystkie siły wprzęgnięte w walkę z nim; każdy kto się z nim łączy stawał się jego współnikiem; stawał się tym gorszy, gdy robił to dobrowolnie.

Nie umiano sobie wytłumaczyć wysługiwania się Niemcom tym bardziej, że nie tylko poszczególni kolaboranci ale nawet narody z Niemcami sprzymierzone były przez nich poniewierane; miały służyć za nawóz dla tym bujniejszego rozkwitu „Herrenvolk'u”. Toteż do wszystkich kolaborantów, do każdego kto udzielał Niemcom pomocy w ich marszu na podbój świata dla narzucenia mu niewolnictwa, odczuwano w Polsce pogardę. Pojęcie pogardy nie oddaje całej skali uczuć, jakie wchodziły w grę. Łączyły się z nią gorycz, zawód, pomawianie o służalczość i oportunizm, brak wycucia kierunku światopoglądowego, ku któremu świat zmierza. Uwzględniając fakt, że wysługujące się zespoły innych narodowości używali Niemcy do najbrudniejszych zadań wynikających z planu ludobójstwa, łatwo zrozumieć do jakiego stopnia potęgowały się negatywne uczucia wobec nich — narodu tak zawzięcie tępnionego — jak polski.

Emocjonalność zacierała obiektywną ocenę zjawisk. Ogół w Polsce nie doceniał, że pobudką działania niektórych zespołów były cele wolnościowe, że np. podłożem ruchu kozackiego i formowania przy boku Niemców oddziałów kozackich była chęć obalenia rosyjskiego tyraństwa i zdobycia niepodległości. Okoliczność ta nie wpłynęła jednak na złagodzenie negatywnego stosunku społeczeństwa polskiego do tych formacji. Inna kwestia czy przez współpracę z Niemcami zamierzony cel byłby osiągnięty, czy z deszczu nie wpadało się pod rynnę.

Cięgi, jakich od nich doznawano, działały systematycznie i nieustannie, gdyż nie było bodaj akcji represyjnej, nie było patroli policyjnych, w których nie braliby udziału żołnierze innej, nie niemieckiej narodowości, a okropności towarzyszące walkom w Warszawie uczucia tę przypieczętowały trwale w sercach mieszkańców stolicy.

W tej atmosferze trudno było o jasny sąd tym bardziej, że szary człowiek nie miał dostatecznych elementów do oceny. W warunkach wojennych dla zachowania tajemnicy nie komunikowano zasad ani ram formowania oddziałów narodowościowych, których najrozmaitsze odmiany można było liczyć nie na

dziesiątki, lecz setki. Sami zresztą Niemcy, ich władze nie orientowały się w tym rozgardiaszu, czego dowodzi ogłoszona ostatnio książka pt. *Wenn Sie verderben wollen*, Jurgena Thornwalda, Stuttgart, Steingruber Verlag, 1952.

W poszukiwaniu siły pomocniczej dla spełniania najrozmaitszych zadań bezpieczeństwa na tyłach frontu każda grupa armii, każda armia i wszelkie władze etapowe i administracji wojskowej na zajętych obszarach Rosji, na własną rękę formowały „Ost Legiony”, nadając im najrozmaitsze nazwy.

Toteż poza kilku specjalistami w sztabach wojskowych i politycznych polskich studiującymi te zagadnienia, nie starano się rozeznaczyć co reprezentują te ruchy i czemu służą. Prasa podziemna miała wiele innych istotnych zagadnień, by temu poświęcać zbyt wiele miejsca. Przeszto się orientować w najrozmaitszych odmianach odznak na mundurach, które mnożyły się w ostatnich latach wojny jak grzyby po deszczu.

Pociągało to za sobą szereg uogólnień. Każdego żołnierza narodowości nie niemieckiej w mundurze niemieckim, jeżeli rysy jego świadczyły o pochodzeniu azjatyckim nazywano „Kałmukiem”, jeżeli mówił po rosyjsku „Ukraińcem”, nie wdając się w jego przynależność narodowościową. Gdy rozeszły się wiadomości, że Niemcy formują armię Własowa (ROA, Russkaja Oswoboditielnaja Armija), pojawiła się dla odmiany nazwa „Własowców” dla każdego oddziału narodowościowego, chociaż Własowcy nie stacjonowali na ziemiach polskich i tylko sporadycznie i pojedynczo pojawiali się dla werbunku lub przejeżdżem. Gdy podczas odwrotu niemieckiego latem 1944 r. przeszła przez ziemie polskie armia gen. Kamińskiego (RONA, Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija), której część walczyła w Warszawie podczas powstania, i jej również nadano nazwę „Własowców”, bądź „Ukraińców”. Nie miało to uzasadnienia, gdyż w armii gen. Kamińskiego służyli wyłącznie Rosjanie i była ona w tym czasie odrębną jednostką, a dopiero pod koniec 1944 r. włączono ją do armii gen. Własowa.

Na tym tle wyrosła legenda, że przeciwko powstaniu w Warszawie walczyły u boku Niemców jednostki ukraińskie i Własowa. Dysponujemy dzisiaj dostateczną ilością materiałów, by ustalić jakich sił narodowościowych użyli Niemcy w walkach o Warszawę, i jakiego były one pochodzenia.

Najbardziej bodaj miarodajna jest relacja gen. von dem Bacha napisana w więzieniu mokotowskim w 1947 r., gdy przewieziono go tam z więzienia alianckiego w Niemczech jako świadka na proces gub. Fischera. Nie jest ona pozbawiona tendencyjności, wynikającej z okoliczności w jakich była pisana. Nie było jeszcze wówczas jasne, czy i von dem Bach nie stanie przed sądem polskim jako zbrodniarz wojenny za czyny w Polsce popełnione. Fakt pisania relacji w więzieniu i groźba sądu polskiego nie pozostały bez wpływu na ujęcie tematu przez von dem Bacha. Relację tę napisał on dla wydawnictwa „Dzieje Najnow-

sze''; zamieszczono ją w tomie pierwszym, w zeszycie drugim, 1947 r.

Jako dowódca sił niemieckich w bitwie o Warszawę znał von dem Bach skład swoich wojsk, toteż chociaż przemilcza pewne wydarzenia, a inne podmalowuje, niemniej relacja jego jest jednym z podstawowych źródeł.

Opracowanie Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie pt. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, Tom III, Armia Krajowa (Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn 1950) przy zestawianiu sił niemieckich powołuje się m.in. również i na to źródło (str. 822).

Opierając się na tych dwóch publikacjach można z dużym prawdopodobieństwem ustalić, jakie siły niemieckie brały udział w walkach przeciwko powstaniu w Warszawie.

Z większych jednostek w składzie grupy von dem Bacha walczyły :

1) Część brygady gen. Kamińskiego w sile około 2.500 żołnierzy, sformowanej w 1942 r. z Rosjan, jeńców Armii Czerwonej, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Uzupełniano ją częściowo młodymi Rosjanami zwerbowanymi na terenach zajętych przez Niemców.

Oddziały gen. Kamińskiego walczyły w Warszawie na odcinku południowym, działając wzdłuż ulicy Grójeckiej, w składzie grupy bojowej gen. Rohra. Mają one na sumieniu najokrutniejsze zbrodnie dokonywane na mieszkańcach Warszawy, czego von dem Bach nie ukrywa w swej relacji.

2) Na odcinku północnym (Żoliborz, Stare Miasto, Puszcza Kampinowska) w składzie grupy bojowej gen. Reinefartha walczyli według relacji von dem Bacha : „Kozacy 9 Armii, którzy należeli do armii Własowa, składali się z 1 batalionu piechoty i 5 szwadronów jazdy”.

Według B. Lewyckiego (*Kultura* Nr 6/56, 1952, „Ukraińcy o Powstaniu Warszawskim) był to 4 kubański pułk pod dowództwem pułkownika Bondarenki.

Gen. von dem Bach, jak widzimy, uległ również sugestii i zaliczył Kozaków 9 Armii do armii Własowa, chociaż nie mieli oni nic wspólnego z ruchem Własowa i formowali się w ramach „Ost Legionów” z narodowości przez Rosję ujarzmionych.

Zachodzi między tymi ruchami zasadnicza różnica. Gdy bowiem ruchowi Własowa przewodziła myśl obalenia komunizmu i odbudowy niepodzielnej Rosji w jej ówczesnych granicach, to podłożem politycznym formowania „Ost Legionów” z narodów przez Rosję podbitych, poza obaleniem komunizmu, była idea odzyskania niepodległości przy współpracy z Niemcami.

Dla von dem Bacha różnica ta była prawdopodobnie mało istotna.

Z relacji von dem Bacha można przyjąć za miarodajne dane co do składu ilościowego tej jednostki kozackiej, nie można zaś zaliczać jej do armii Własowa.

3) W relacji swej von dem Bach nie wymienia w składzie sił niemieckich innych oddziałów narodowościowych.

W tomie III *Armia Krajowa* spotykamy wzmiankę, że w chwili wybuchu powstania w Warszawie znajdowało się na obszarze powiatu warszawskiego 9 batalionów narodowościowych. Były to bataliony Ost Legionu, przypuszczalnie przeważnie turkiestańskiego, rozmieszczone zarówno w różnych dzielnicach Warszawy, jak też w miejscowościach podwarszawskich, częściowo na prawym brzegu Wisły w Zielonce i Rembertowie. Część tych batalionów brała udział w walkach przeciwko powstaniu, gdyż na wielu odcinkach brano do niewoli żołnierzy tych batalionów. Występowały one pojedynczo, nie jako samodzielne grupy, lecz w związku z oddziałami niemieckimi.

Bach nie wspomina o ich udziale w walkach, ale w opisie swym nie wymienia poszczególnych batalionów, lecz tylko większe samodzielne zgrupowania, niemniej trzeba przyjąć, że kilka tych batalionów walczyło przeciwko powstaniu. Bataliony te były oddziałami narodowościowymi, formowanymi na tych zasadach co i Kozacy.

4) Poza zwartymi jednostkami narodowościowymi, oddziały Armii Krajowej spotykały w walkach żołnierzy *) różnych narodowości w mundurach policji niemieckiej. Niemcy wcielali bowiem do swych jednostek policji ochotników ze wszystkich niemal podbitych narodów, a procent obcych narodowości w niektórych batalionach policji przekraczał 50.

Według Tomu III, *Armia Krajowa*, w chwili wybuchu powstania było 19 batalionów policji niemieckiej w łącznej sile około 8.000. W pierwszych dniach sierpnia (co potwierdza von dem Bach w swej relacji), przybyło do Warszawy z Poznania 16 kompanii policji, sformowanych później w dwa pułki po dwa bataliony.

Pomiędzy jeńcami pochodzącymi z oddziałów policji, którzy dostali się do niewoli polskiej spotykało się wielu Białorusinów i Ukraińców. Już w pierwszych dniach walki, oddział Armii Krajowej wziął do niewoli na pl. Małachowskiego dwóch Ukraińców żołnierzy policji niemieckiej, których używano później do różnych drobnych posług. Jeden z nich zginął pod koniec września od pocisku granatnika niemieckiego, drugi pozostał do końca walk i w przebraniu wyszedł z Warszawy wraz z ludnością. Wielu dzieliło los pozostałych jeńców pozostając pod strażą.

Powtarzające się wypadki brania do niewoli przez oddziały Armii Krajowej żołnierzy różnych narodowości w mundurach policji niemieckiej nasuwało przypuszczenie, że po stronie przeciwnej walczą zwarte oddziały narodowościowe. Przekonanie to mogło się utrwalić dlatego, że po dostaniu się do niewoli żołnierze

*) Przyjęto tutaj dla policji niemieckiej nazwę „żołnierze”, a nie policjanci, gdyż policja ta sformowana była w bataliony i pułki oraz uzbrojona na wzór Wehrmachtu. Wyszkolenie policji pozwalało na wykonywanie zadań bojowych, a instrukcje i regulaminy bojowość tę silnie podkreślały.

policji zdejmowali natychmiast odznaki policyjne, by zatrzeć ślady przynależności do niej. Ukrywanie przynależności do policji udawało się tylko wówczas, gdy jeniec nie nosił munduru policyjnego, różniącego się odcieniem od koloru munduru Wehrmachtu i SS. Kolor munduru policyjnego był przecież aż nadto dobrze znany każdemu mieszkańcowi pod okupacją niemiecką.

5) Poza wymienionymi dwoma publikacjami, B. Lewyćkyj we wspomnianym już artykule *Kultury* podaje, że z początkiem sierpnia skierowano spod Krakowa do Warszawy dwie kompanie Legionu Ukraińskiego, w sile 400 żołnierzy, pod dowództwem pułkownika Diaczenki. Po przybyciu do Warszawy miały one zająć stanowiska bojowe przeciwko wojskom Rokossowskiego na Czerniakowie.

Zachodzi tutaj oczywiste nieporozumienie, gdyż Czerniaków zajęli Niemcy w połowie września i dopiero w tym czasie nawiązały na tym odcinku styczność bojową z oddziałami Rokossowskiego poprzez Wisłę po opanowaniu przez nie Pragi i Saskiej Kępy. W tym ujęciu pozostaje niewyjaśnione co robiły, czy i gdzie walczyły te dwie kompanie Legionu Ukraińskiego od chwili przybycia do Warszawy w połowie sierpnia do połowy września, kiedy to znalazły się na Czerniakowie.

Przyjmując udział tych dwóch kompanii w walkach przeciwko Armii Krajowej wcześniej na innym odcinku, nie tłumaczy to jeszcze powtarzanej szeroko wersji, że w tłumieniu powstania brały walnie udział jednostki ukraińskie, o których miedowano z wielu odcinków. Przekonanie takie mogło powstać z braku rozróżnienia i orientowania się w pochodzeniu różnych oddziałów narodowościowych. Wyrosło ono z atmosfery i uogólnień, których źródło scharakteryzowano na wstępie. Wskutek tego zarówno oddziały gen. Kamińskiego, Kozaków 9 Armii i bataliony turkiestańskiego Legionu traktowano bądź jako Własowców, bądź jako Ukraińców, a różnorodność narodowościowa jednostek policji niemieckiej jeszcze bardziej to nieporozumienie pogłębiała.

Gdyby nie pewne okoliczności nie dające się wytłumaczyć, dysponowalibyśmy nadzwyczaj bogatym materiałem źródłowym, który ułatwiłby ustalenie prawdy w tym przedmiocie. Sprawozdawczość bowiem Armii Krajowej do Londynu była nadzwyczaj staranna i wyczerpująca, również i w dziale wywiadu. Garnizony niemieckie w Polsce i stan sił niemieckich na froncie wschodnim były szczegółowo rozpoznane i cały odnośny materiał systematycznie przesyłano do Londynu. Garnizon niemiecki Warszawy również był rozpoznany z dokładnością do batalionu, baterii, każdego zakładu, warsztatu i magazynu, a dane te znajdowały się w aktach Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Niestety, czy to przez głupotę, czy też ze złej woli wyrządono

naszej wojennej dokumentacji archiwalnej w tym dziale niepotwierdzonej stratę. Po wojnie dokumentacji tej nie przekazano do archiwów polskich zgodnie z obowiązującymi rozkazami, lecz po pewnym czasie akta te spalono. Wskutek tego pozbawieni jesteśmy dla opisywanego tematu źródeł najbardziej istotnych.

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

Rubens miał filię w Szkocji

O, Gott, wie gross ist
dein Tiergarten...

GOETHE

Obrazek „pokątnego podchorążego” Czesława Jeśmana o „Rubensie Heroicznym” *) rozradował serca wszystkich byłych cenzusowców, dziś rozsianych po świecie. Obdzieranie głuptaków z koturnów, w które się przyodziali wykorzystując zawalenie się świata, w niczym nie powinno ująć znaczenia, wysiłków i osiągnięć dokonanych przez Armię Polską na obczyźnie. Tej roli nikt nie ma zamiaru pomniejszać, natomiast — jak słusznie pisze Jeśman — nie należy puszczać w niepamięć, nie należy więcej ukrywać bezdennej głupoty i obrzydliwości, które zatruwały życie ludzkiem najlepszej woli i to w imię obawy, że Warszawa przedrukuje. O przykrych sprawach należy mówić na emigracji, a argument o Warszawie nie ma znaczenia choćby i dlatego, że Warszawa wie o nas więcej niżbyśmy chcieli i dlatego również, że wielu z opisywanych, po swych bohaterskich przeżyciach w Szkocji, „zapisało się” na bohaterów w Polsce. Że ich potem wytkli, to nie nasza wina.

Jeśman jest świadkiem koronnym na szczeblu b. Kwatery Głównej Naczelnego Wodza w Londynie. Ja jestem świadkiem koronnym na następnym, „polowym” szczeblu Kwatery Głównej: naprzód Dowództwa Obozów i Wojsk Polskich w Szkocji, potem Dowództwa Okręgu Wojskowego a wreszcie Dowództwa 1. Korpusu, jak to się kolejno nazywało. Pełniłem różne i odpowiedzialne (wobec historii) funkcje, m.in. podoficera ordynansowego przy dowódcy korpusu, gen. Marianie Kukielu, a czasem i przy Naczelnym Wodzu. Działo się to zwykle, gdy Niemcy bardziej intensywnie bombardowali Londyn. Wtedy oficerowie z otoczenia gen. Sikorskiego mówili mi: Panie generale, Wojsko domaga się pańskiej obecności... po czym jechano do pięknego zamku Gask House w Szkocji, gdzie istniała Kwatera Polowa Naczelnego Wodza i gdzie panowała cisza i absolutny spokój.

*) Porównaj Nr 4/66 „Kultury”.

Jeśman całkiem niesłusznie piętnuje oficerów zawodowych. To znaczy niesłusznie, że tylko zawodowych. Uważam, że woda sodowa uderzała w równym stopniu do głowy wielu oficerom rezerwy. Przecież rtm. Strumph-Wojtkiewicz był z zawodu dziennikarzem. Przecież ppłk. Borkowski, anioł opiekuńczy gen. Sikorskiego, był przed wojną handlowcem. Jeszcze we Francji moim bezpośrednim przełożonym był ppor. rez. Eugeniusz Sni-górski, który w cywilu był nauczycielem ludowym w Kopyczyńcach, gdzie — jak mówił — zarabiał 110 złotych miesięcznie. W małym miasteczku Parthenay, spacerując ze mną po ulicy, odmówił wejścia na kawę do kawiarenki, tłumacząc, że... Panie kolego, rozumie pan, że mi trudno publicznie z szeregowym...

To nie wina oficerów zawodowych. To wina instytucji, systemu, reżimu wojskowego, który paczy, który musi paczyć charaktery. Bo system oparty na dwóch monstrualnych absurdach, na specjalnie zorganizowanym braku odpowiedzialności i na tak zwanej drodze służbowej, która wymaga, aby ze skargą na swego prześladowcę petent zgłaszał się do raportu wprost do tegoż prześladowcy, musi wydać rezultaty najbardziej oplakane. To prawda, że pono wszystkie armie świata mają podobną konstrukcję, co wcale przecie nie odbiera prawa do krytyki wszystkich armii świata.

KARIERA BYŁA BŁYSKAWICZNA

Gdy wczesną wiosną roku 1940 zjechałem do Stacji Zbornej w Bressuire, byłem absolutnym jeszcze frajerem. Ponieważ okazałem się tam jedynym żołnierzem mówiącym po francusku, przydzielono mnie natychmiast do komendy na miejsce dotychczasowego tłumacza, Jasia Woyczyńskiego, który jako b. wicekonsul w Tel Aviv i w Manchesterze znał doskonale język angielski, ale odznaczał się tym, że raczej słowa nie rozumiał po francusku, Woyczyńskiego przydzielono potem do żandarmerii i wysłano do Anglii, gdzie był jedynym w dziejach starszym żandarmem z cenzusem, magistrem praw.

Ubrano mnie więc w piękny mundur, składający się z bryczesów, których górna część podchodziła szczerline aż pod pachy, a dolna dosięgała pięć i była wpuszczona w zawsze źle okrycone owijacze, a także z „białej” lnianej, iście wileńskiej bluzy. Kapitulacja Francji zastała stację zborną w Bressuire w rozterce. Jedni deklamowali: Ani kroku w tył bez rozkazu. (Tych było mało. Drudzy wrzeszczeli: Uciekać. Uciekać na pieczętę było dość trudno, bo do najbliższego portu La Rochelle odległość wynosiła około 100 kilometrów, a działo się to już 19 czerwca.

I tu zaczęła się moja błyskawiczna kariera wojenna. Korzystając z ogólnego zamieszania wszedłem do hotelu, w którym znajdowało się kasyno oficerskie i na arkuszu papieru otworzyłem listę imienną tych, którzy wpłacając po 100 franków chcieliby wiać autobusem. Chętnych znalazłem kilkudziesięciu i z pa-

roma tysiącami franków w kieszeni pobiegłem do przedsiębiorstwa autobusowego, gdzie za każde miejsce, które normalnie kosztowało powiedzmy 20 czy 30 franków, ofiarowałem po 100 franków. Właściciel imprezy dał się złapać na wędkę i zgodził się tejże nocy postawić mi do dyspozycji 2 autobusy, na które załadował się sztab, większość oficerów, trochę chorych, parę kobiet i... oczywiście ja. Autobusy zdaje się nigdy więcej nie wróciły do garażu, zabrane potem przez Niemców. Sześć kompanii zbornych po prostu rozpuszczono. Część z nich rozproszyła się po Francji, część zdołała pieszo dojść na czas do La Rochelle i załadowała się z nami. Prowadził tych biedaków płk. Kolanowski, komendant Bressuire, którego Chevrolet jechał pusty, a on sam, pomimo swych 60 lat, szedł przez cały czas pieszo. Część dokumentów spalono przed odejściem, większość pozostała i dostała się w ręce Niemców.

Ale moja kariera wojskowa miała wkrótce dopiero wspiąć się na nowe szczyty. Płatnik Stacji Zbornej, major Kowalski, dał mi całą kupę franków, całą kasę, którą uciekając wbiliśmy do mojej walizki. Gdy bractwo ładowało się w porcie, bezkarnie bombardowane przez dwa niemieckie samoloty i gdy wreszcie i ja z kolei wdrapałem się po kładce pokładowej, obładowany walizą, komendant transportu, pułkownik Sosabowski krzyknął dramatycznie:

— Rzucić walizy do morza!

— Panie pułkowniku, tu są pieniądze...

— Tu się ratuje ludzi, a nie pieniądze! — ryknął pułkownik i pobiegł dalej a ja prześlizgnąłem się z moją walizą. Gdyśmy dojechali do Glasgow, poszedłem zaraz pierwszego dnia do banku, a tam pod wpływem oszołomienia przybyciem *our gallant Polish allies* wymieniono mi franki na funty szterlingi po nieistniejącym i nieistotnym kursie oficjalnym.

Polecałem do szkoły, w której powinienem zastać majora Kowalskiego. Zastąpiłem ze dwie setki oficerów brudnych, nieogolonych, siedzących na łomokach i zupełnie bezradnych. Uszczęśliwiony przepchnąłem się do mego płatnika: Panie majorze, dali kupę forsy! W tej chwili usłyszałem straszny wrzask. To jakiś nieznany pułkownik wołał wściekle:

— Cóż to podchorąży nie wie, że ma się zameldować do oficera najwyższego stopniem z prośbą o pozwolenie zwrócenia się do pana majora?

Nie wiedziałem. Jak Boga kocham, że nie wiedziałem jeszcze wtedy. Ale mnie nauczyli: Pułkownik kazał wyjść na schody i jeszcze raz wrócić. Wojsko to wojsko. Drył to dryl. Nie o to chodzi. Tylko dlaczego tym ludziom przychodziły do głowy takie myśli w takich chwilach?

„...Za uratowanie mienia państwowego... w obliczu wroga... awansuję st. strzelca z cenzusem... do stopnia kaprala...” Był to najdroższy awans. Kosztował parę tysięcy funtów szterlingów.

Tego wieczora zostałem aresztowany na ulicy Glasgow za pijaństwo i następnego ranka skazany na nieopuszczanie sali gimnastycznej, w której byliśmy zakwaterowani, w ciągu dwóch tygodni. W godzinę po wyroku byłem już na mieście, jako tłumacz, służbowo, pomagając przy zakupach dla oficerów, posiadających trochę pieniędzy, a po dwóch dniach opuściliśmy Glasgow, umieszczeni w namiotach na podmokłych łąkach hrabstwa Lancashire.

W Glasgow rozpoczęła urzędowanie komenda placu, a pułkownik Sikorski (nie krewny) naprawdę uwierzył, że jest wojskowym komendantem miasta. Pułkownik Sikorski umiał pisać tylko po rosyjsku, gdy więc potrzebował czegokolwiek od władz angielskich, pisał koncept pisma po rosyjsku. Z kolei adiutant, porucznik Wojsbun, tłumaczył tekst z rosyjskiego na niemiecki, a porucznik Eddie Oppersdorf — z niemieckiego na angielski. Doskonale dawano sobie radę bez pomocy polskiego.

Na łączkach rażno wzięłem się do pracy, udzielając oficerom lekcji angielskiego, po sześć pensów za godzinę. Byliśmy wtedy bez zółdu. Trudności zaczęły się wkrótce, bo ten i ów, o wiele wyższy stopniem ode mnie, nie chciał uznać, że „a” to „ej”, no bo w takim razie gdzie jest „a”? że jak? że „u” czasem wymawia się jak „a”? Ależ, panie kolego (w takich razach zawsze per panie kolego) cóż to za jakiś alfabet? toż to głupi, tępy naród te Angliczany.

Jak ostatni krewny, przyznałem się, że umiem pisać na maszynie. Zamknęli do suteryny na zamku szkockim i od rana do nocy... Rozkazy, elaboraty, poprawki do rozkazów, odwołania rozkazów, a przede wszystkim ewidencje. Od rana do nocy, do obłędu. I w niedziele również, bo „cóż to nie wiecie, że jest wojna?” Uciechę miałem specjalną z papierkami angielskimi. Było nas dwóch tłumaczy, podchorąży Stanisław Jaworski, b. urzędnik M.S.Z. i ja. Ale nie wolno nam było nic poprawiać, mieliśmy jedynie przepisywać na maszynie teksty, pozostawiając wszystkie błędy i wszystkie bzdury, wykoncypowane przez tłumaczy-oficerów. Potem, w Edynburgu, ukończyłem kurs tłumaczy wojskowych przy brytyjskim dowództwie korpusu. Na kursie tym dyplomanci z najwyższymi lokatami byli predestynowani na tłumaczy na szczeblu sztabów brygad i dywizji, dyplomanci z lokatami niższymi — na tłumaczy batalionów i kompanii, wreszcie trzecie lokaty — na tłumaczy administracyjnych. Wszystkie pierwsze lokaty otrzymali podchorążowie i cenzusowcy. Ja zażądałem trzecie miejsce, wobec czego... wróciłem, jako dyplomowany tłumacz, do mojej maszyny do pisania, odwalając dalej moje kawalki, napisane przez oficerów w języku Anglików z Koltomyi.

Praca w adiutanturze generała Kukieła była okresem najprzyjemniejszym. Sam generał jest jednym z najbardziej prawych, mądrych i inteligentnych ludzi, jakich zdarzyło mi się poznać. Wbrew Karolowi Zbyszewskiemu, gen. Kukiel był poważnym

profesorem i uczonym, ubranym w mundur wojskowy i dlatego traktował mnie również jak przebranego w mundur dziennikarza, a rozmowy, które miałem możność z nim przeprowadzić, lub których mogłem być świadkiem, w ciągu półtorarocznego ordynansowania, należały zawsze do pasjonująco ciekawych. Naprzód adiutantem był rotmistrz „Dżejko” Bohomolec, ten co to na „Dalu” Atlantyki kiedyś przepłynął — ideał wszystkich angielskich szoferek. Potem był rotmistrz Glaser, jeszcze z K & K i jeszcze z Widnia. Ten mawiał: „Panie, co oni ode mnie chcą, ja nie wiem czy żyję, a im się tu znowu przeglądu zachciało”. W międzyczasie był jeszcze rotmistrz Dobecki, który przed wojną miał fajną funkcję wożenia po Wilanowach i po „Adriach” zagranicznych gości; był por. Heitzman, docent z Krakowa, polityk ówczesnej klikki Kot-Korfanty, a wreszcie nastąpił as nad asy, porucznik Stanisław Sielski.

Gdy generał Sikorski przyjeżdżał do Szkocji, tak się urządzało, aby nie jadał obiadów w obrębie hrabstwa Fyfe. Naczelnikiem hrabstwa, posiadającym tytuł namiestnika J. K. Mości, był wielki przyjaciel Polaków, lord Elgin, którego siłą rzeczy zapraszano na różne polskie galówki. Gdy zasiadano jednak do stołu w Cupar albo w innym miasteczku hrabstwa Fyfe, lord Elgin, reprezentujący Króla, musiał zgodnie z protokołem siedzieć na pierwszym miejscu. Generał nie lubił, jak kto inny siedział na pierwszym miejscu i dlatego posiłki spożywał gdzie indziej, gdzie lord Elgin był już tylko „miłym brytyjskim gościem”. Specjalistą od protokołu był właśnie porucznik Sielski. Do skromnego życia dowódcy korpusu, który spał na żelaznym łóżku w zimnym pokoju, przykrywał się, jak wszyscy, trzema kocami i jadał, jak wszyscy, najprostsze posiłki, chciał por. Sielski wprowadzić akcenty dworskie. Dla Sielskiego chyba wprowadzony został do słownika wyraz „snob”. Gdy mówił, że wczoraj był u Karola, to należało wiedzieć, że miał na myśli Radziwiłła, a gdy wspominał o śniadaniu z Miciem, to oczywiście tylko z Lubieńskim. Przed wojną pracował po różnych ministerstwach, a marzył tylko o jednym, o M.S.Z. Ponieważ Handel, Rolnictwo i Poczta mu nie odpowiadały, teraz przynajmniej żywał się w protokole. Kiedyś miała się odbyć jakaś uroczystość w pobliskim Perth: przedstawienie w kinie, potem herbata w Station Hotel. Generał Kukiel obiecał, że weźmie udział w uroczystości razem z nieżyjącą już dzisiaj małżonką. Poprzedniego dnia Sielski wysłał mnie służbowo do Perth z rozkazem: „Proszę mi dokładnie odmierzyć w metrach i w minutach drogę z kina do Station Hotel, biorąc pod uwagę schorzałą nogę pani generałowej”. Potrzebne mu to było do protokołu.

Szefem oświaty korpusu był major lotnictwa Lisiewicz, tak zwany Miecio-Pięknoduch, którego jedyną ambicją było mieć dość wolnego czasu na pisanie ładnych zresztą wierszy. Major Lisiewicz odbijał od reszty kolegów dobrymi obyczajami, ogładą, wychowaniem. W roku 1919 był adiutantem Sikorskiego i w jakimś swoim wspomnieniu z tamtych czasów opisywał pociąg

pancerny, obstrzelowany przez Ukraińców pod Lwowem. Generał Sikorski z Lisiewiczem schronili się za lokomotywą i tak uniknęli śmierci. W zakończeniu Lisiewicz pisze: „Biedna czarna lokomotywa. Nie wiedziała wtedy, że uratowała życie człowiekowi, który w 20 lat później miał się stać naczelnym wodzem armii polskiej”. Czyż ten koński zastrzyk wazeliny nie był najlepszym systemem na „przekabacenie” całego wojska w zażartych piłsudczyków? Gdy kapelan wojskowy, ksiądz Bełch, ośmielił się powiedzieć z ambony, że Niemcy dobrze wiedzieli, co robili gdy Piłsudskiego wypuścili z Magdeburga; gdy węszenia ludzi Modelskiego, denuncjacje, zsyłki na Rothesay groziły za to, że ktoś miał wuja w legionach lub szwagra w „Strzelcu” — czy można było wymyślić lepszą propagandę anty-sikorszczyzny?

Już za czasów Boruty, jako dowódcy korpusu, szefem oświaty został kapitan Michułka. Michułka był zdeklarowanym schizofrenikiem, którego błędne zażawione oczy odzyskiwały blask jedynie na dźwięk słowa „Boruta”. Wypreżał się wtedy i patrząc w przestrzeń, wyrzucał z siebie w beładnym bełkocie wyrazy: Bój!... zbrojny powrót!... mózgi dzieci niemieckich rozpryskane na murze!... zapach prochu na tej sali!... bój! Z miejsca też nazwał swój resort Oddziałem Propagandy Bojowej. W czasach, gdyśmy potem redagowali w Glasgow „Dziennik Żołnierza” Michułka z racji swego urzędu zapragnął być naszym inspiratorem artykułów wstępnych. Ponieważ przez cały okres trwania „Dziennika”, aż do jego zniszczenia przez prof. Kota, walczyliśmy skutecznie przeciw obsadzeniu stanowiska naczelnego redaktora przez oficera, stwarzając sobie tym samym największego wroga w osobie Strumph-Wojtkiewicz, przeto i tym razem nie mieliśmy ochoty na kontrolę Michułki. W sukurs przyszedł sam Boruta. Nie trzeba było nawet owijać słów w bawelnę, aby wytłumaczyć generałowi, że jeśli chce, abyśmy mu nadal służyli jako „element dowodzenia”, co do znudzenia przy każdej okazji powtarzał, to musi nas uwolnić od tego kretyna. Zagroziliśmy, że w przeciwnym wypadku puścimy artykuł, podpisany przez Michułkę, a wtedy w wojsku kabaret i śmiech. Zrozumiał i faceta odstawił.

CZY W SZKOCJI BYŁA BEREZA?

Tak jak Sikorski był skutecznie odcinany przez swe otoczenie od rzeczywistości, tak i w sztabie korpusu robiono wszystko, aby generał Kukiel wiedział tylko tyle, co trzeba.

Jednej rzeczy nie dało się zrobić. A mianowicie nie dało się ukryć, zdusić, stłamsić nieszczęsnej, ponurej afery polskiego obozu dyscyplinarnego dla szeregowych w Shinafoot. Pani Janina Wojciechowska, podówczas świetliczarka Szpitala Wojennego Nr 2, jeszcze dwóch adwokatów-podoficerów, przy mojej skromnej pomocy, doprowadziliśmy do wykrycia tego skandalu.

Gdy mieliśmy już fakty i zeznania, gdy mieliśmy nazwiska ofiar i naocznych świadków, gdy w szpitalu leżało już dwóch skatowanych żołnierzy, postarałem się o to, aby odpowiednie notatki wpadły w ręce generała Kukieła. Pamiętam, że zrobiło to na nim wstrząsające wrażenie. Zamknął się w swoim gabinecie, czytał i długo myślał. Gdy skończył, decyzje powziął natychmiastowe i ta zmora w szybkim tempie przestała nas przesładować.

Istniało w Coatdyke pod Glasgow brytyjskie więzienie wojskowe, w którym odsiadywali kary żołnierze różnych armii alianckich: Czesi, Holendrzy, Belgowie, Francuzi, Norwegowie. Panował tam bardzo ostry rygor, zresztą wiadomo, że i w armii amerykańskiej rygor był również surowy, może bezlitosny. Ale skąd rodzi się myśl, aby tworzyć własny obóz karny, dlaczego aż tak daleko szła nasza troska o suwerenność, że musieliśmy sami bić? Odpowiedzią jest tajemnicze słowo: ETAT. Dla obsadzenia etatu w wojsku robi się wszystko. Na genialny pomysł własnego „narodowego” obozu karnego wpadł szef 1. oddziału sztabu korpusu, ppłk. Ruchaj. Była to najczarniejsza plama na honorze munduru, na tym honorze, na punkcie którego tak bardzo byli przewrażliwieni nasi oficerowie. Dlatego żadne względy dziś, po dwunastu latach milczenia, nie zdołają mnie przekonać, że demaskując tę aferę czynię źle. Nigdy nie uwierzę, że spoliczkowanie łobuza w mundurze oficerskim jest obrazą całego wojska, a że oficer polski własnymi rękami katujący więźniów Polaków, jest tylko zwierzchnikiem wykonującym swoje obowiązki.

Na czele obozu dyscyplinarnego w Shinafoot stanął kapitan Korkiewicz. Alkoholik, psychopata, sadysta, który własnoręcznie maltretował więźniów. Zakładano im od tyłu kajdanki na ręce i wieszano na poprzeczce u sufitu, a pan kapitan Korkiewicz sam wiszających dusił za gardło, bił po twarzach i kopał w brzuch. Działo się to w roku Pańskim 1941, a więc Lagerfuehrer Korkiewicz nie był odosobniony w biciu skutych i bezbronnych żołnierzy polskich, bo robiło to samo, równoległe z nim, w tym samym dniu i o tej samej godzinie, wielu innych jego kolegów, Lagerfuehrerów na terenie Polski i Niemiec. Profossem obozu był chorąży Bogacki, znany przed wojną „człowiek-mucha”, zdegenerowany sadysta. Wartownikami byli przeważnie żołnierze, którzy do wojny służyli w policji.

Sprawa wydała się, gdy któregoś dnia do Szpitala Wojennego Nr 2 przywieziono dwóch szeregowych. Jeden z nich, strzelec Rajska, miał odbite nerki, drugi, kanonier Wilczek, Ślązak, powstaniec, działacz społeczny, przybył w stanie zupełnego wyczerpania z powodu głodówki, jaką zastosował jako protest przeciw stosowaniu „słupka”. Wilczek odesłany potem do więzienia brytyjskiego zwariował ze strachu. W rozmowach z panią Wojciechowską zaczęły wychodzić na jaw szczegóły, które mroziły krew w żyłach, bicie, wieszanie, polewanie omdlałych wodą, spanie na ziemi, musztra karna — wzory jakże dosłownie i jakże bezmyślnie skopiowane z Gestapo. Któż to byli ci więźniowie-

przestępcy? Nie wiem już dziś dokładnie, za co odsiadywali kary, ale powiedzmy, że byli to szpiedzy, dezterterzy, złodzieje, oszuści, degeneraci, najgorsze męty. Czyż może nawet w takim wypadku paść choć jedno słowo obrony obozu? Nazwiska katowanych więźniów w polskim obozie dyscyplinarnym w Shinafort są zachowane, tak jak zachowane jest nazwisko kapelana obozu, ks. Starostki, do którego chodzili się spowiadać bici więźniowie, błagając, aby ich ratował, a który zawsze milczał, zastaniając się tajemnicą Spowiedzi. Wiadomości o obozie już od dłuższego czasu zaczęły kursować po oddziałach. Początkowo nie chciano wierzyć, ale jednak coraz to nowe fakty dochodziły do wiadomości wojska. Wreszcie generała Sikorskiego, lądującego w New Yorku, zapytują wręcz dziennikarze amerykańscy, czy prawdą jest, że w Szkocji istnieje nowa Bereza. Na szczęście zdołałem trafić do generała Kukiela. Wiedziałem, że generał sprawy nie zatrze, nie zdusi. Tak się też stało. Zostały powzięte energiczne kroki: Pułkownik Ruchaj wyleciał z trzaskiem ze sztabu korpusu. Naczelnym Wódz po powrocie do Szkocji odwiedził obóz karny, zamknął się w baraku z więźniami i osobiście ich przesłuchał. Pięciu zwolnił natychmiast. Cała straż została momentalnie rozpedzona, a niektórzy z nich, w późniejszym procesie dostali po pięć miesięcy więzienia. Chorąży Bogacki został aresztowany, zdegradowany i skazany na dziewięć miesięcy. Chciał się potem wieszać w celi, ale go odratowano. A Lagerfuehrer Korkiewicz, którego ohydna sylwetka zdegenerowanego łotra ukazała się w pełnym świetle podczas procesów strażników, jako odpowiedzialnego osobiście za tę zdradę munduru? Nie wiem, co się z nim stało. Było jakieś śledztwo, była jakaś dyscyplinarka. Bodajże umarł potem w Edynburgu.

W KWATERZE POŁOWEJ NACZELNEGO WODZA

Mimo wszystko dwójka uznała mnie widać za „pewniaka”, bo gdy zjechał do Gask House dwór generała Sikorskiego, dowództwo korpusu odkomenderowało mnie do kwatery polowej, jako tłumacza i telefonistę.

Myli się Jeśman, gdy pisze o *sense of humour* gen. Sikorskiego. Słusznie należy mu przypisać wielkie zalety ducha. Mądrość, inteligencję, patriotyzm, uczciwość, zmysł polityczny. Ale o poczucie humoru już go nie posądzajmy. I o skromność także nie. Przecież wielki człowiek wcale nie musi być miłym człowiekiem, nie musi zaraz kochać dzieci i kwiatów. Ja go znam „od kuchni”. Znam go w szlafroku i znam przy orderach; znam przemawiającego do wojska i wymyślającego generałom, znam rozmawiającego z rodziną — ale szczerze uśmiechniętego nie widziałem go chyba nigdy podczas tygodni mojej więziennej służby w jego kwaterze polowej. Piszę „wzięzionej”, bo przez cały ten czas ani razu nie wolno mi było wyjść nawet do parku. O godzinie siódmej rano Sikorski schodził w pijamie do gabinetu, a ja

już musiałem sterczeć przy telefonie. Urzędowanie z krótkimi przerwami na dwa posiłki, jedzone w kuchni wraz ze służbą szkocką, trwało dla mnie do pierwszej lub do drugiej w nocy. To znaczy generał robił przerwy, spacerował, grał w tenisa lub wyjeżdżał do oddziałów. Ja jednak tkwiłem przy moim stoliku z telefonem aż do jego pójścia spać, bo każdej chwili mogło się coś zdarzyć. Zdarzało się, owszem. Generał traktował mnie, jak wielkie damy traktują swoich lokajów, to znaczy nie krępował się moją obecnością i wiele „historycznych” rozmów odbyło się w mojej obecności. Raz tylko Kot wylał mnie z gabinetu i nie mogłem dosłyszeć, kogo chciał tym razem u generała wykończyć.

Ja nadawałem wszystkie fonogramy do Londynu i ja przyjmowałem nadchodzące. Przeważnie były to tasiemcowe teksty przemówień, wygłaszanych w tym lub w tamtym oddziale, a żadne najdrobniejsze skróty nie były dozwolane przez pułkownika Borkowskiego. Całość szła do londyńskiego „Dziennika Polskiego”, gdzie Jerzy Szapiro skrzętnie drukował wszystko na pierwszej stronie. Szapiro był potem jednym z pierwszych, który przeskoczył na stronę Warszawy, lokując się na dobrej posadce przy Narodach Zjednoczonych. Nadawanie fonogramów trwało godzinami, bo poza mowami nadchodziły znow stamtąd meldunki o najrozmaitszych sprawach, przeważnie personalnych. Byłem niemy świadkiem dramatycznego rozejścia się generała Sosnkowskiego z Sikorskim. Nadawałem z Gask House grzmiące rozkazy, chcące złamać wolę Sosnkowskiego. Wiem, że były one na drugim końcu drutu przyjmowane przez panią Jadwigę Sosnkowską, która potem dyktowała mi odpowiedź męża. Każdy fonogram kończył się sakramentalnie: Godzina... minut... nadał... przyjęła... Każda wymiana fonogramów zaostrzała sytuację. Z każdą wymianą zdań wzrastało napięcie, z jednej strony rósł upór, z drugiej wzrastało rozgoryczenie. Rozeszły się wtedy drogi tych dwóch ludzi i nigdy więcej nie zeszyły. Aż w dwa lata później stanął nad grobem Sikorskiego generał Sosnkowski i rzucił garść ziemi na trumnę Zmarłego.

Jedynie adiutanta por. Tyszkiewicza traktował generał z wyraznym szacunkiem. Drugi adiutant, śp. por. mar. Ponikowski, który zginął również w katastrofie gibraltarskiej, był traktowany „per noga”. Ja byłem powietrzem. Niezauważalnym powietrzem. Przy każdym wejściu generała wyskakiwałem z krzesła „na baczność”, ale generał nigdy mnie nie zauważał. Czasem tylko, gdy kogoś zwymyślał przez telefon, spoglądał przez chwilę z dumą na mnie i mówił: Widzicie, jak ja traktuję moich ministrów?

Czyż to jest poczucie humoru?

Kiedyś siedzieliśmy w salonie *en famille*, przygotowując mowę generała do B.B.C. Pani Helena Sikorska siedziała w fotelu haftując. Pani Zofia Leśniowska, biedna córka która również zginęła z ojcem w Gibraltarze, dyktowała mi tekst do maszyny.

Pułkownik Borkowski „czuwał”. Jak zawsze. Leśniowska miała, jak to mówiono, kompleks Wandzi Piłsudskiej. Cała zresztą rodzina, poza generałową, była zakompleksowana zupełnie wyraźnie. W pewnej chwili lokaj wniósł cherry i sandwiche. Obniósł wokoło, oczywiście omijając mnie (był ode mnie starszy stopniem). Leśniowska przywołała plutonowego i postawiła przy maszynie kieliszek cherry i kanapkę z szynką.

— Zosiu, oszalałaś? — stanął nad nami generał. — Jeśli chcesz, żeby dobrze pracował, daj kapralowi pajdę razowca z kielbasą, a nie takie frykasy!

Leśniowskiej zrobiło się przykro. Mnie wcale, byłem już przecie trzeci rok w wojsku. Generał wiedział, że nie jestem zawodowym kapralem, wytrenowanym w pisaniu angielskich listów. Czyż to jest poczucie humoru?

Najtrudniej było wstrzymać śmiech, gdy generał dostawał furii w chwilach gdy nie udało mi się otrzymać natychmiastowego połączenia międzymiastowego. Wyrывał mi wtedy słuchawkę z ręki i sam wołał: Hallo, hallo — potem drętwiał i oburzony odskakiwał od aparatu. Bo telefonistki szkockie, nauczone przez naszych „drućków” zabawiały się czasem mówieniem po polsku: „Jak się miewasz, leśny dziadku”.

◆

Nie mogąc dłużej wytrzymać w kwaterze polowej, zacząłem symulować chorobę. Przybocznemu lekarzowi, porucznikowi dr Heldowi, powiedziałem, że symuluję. Zrozumiał i napisał świadectwo i odesłał do szpitala, gdzie zdrów jak ryba, musiałem przeleżeć jeszcze trzy dni. Tak się skończyła moja kariera sztabowa na szczeblu N. W.

WALNY ZJAZD WOJSKA POLSKIEGO

Gdy Sikorski powrócił ze swej podróży do Roosevelta, postanowiono, że przemówi do wojska. Urządzono, jakeśmy to nazwali, walny zjazd wojska polskiego. Na zwieźnienie oddziałów pod Edynburg zużyto tego dnia więcej benzyny, niż dywizja pancerna zużywa w ciągu tygodnia akcji bojowej. Na polach stanęły wszystkie oddziały w wielkim czworoboku, po czym Naczelny Wódz wraz z gen. Kukielem, który wtedy już był ministrem Obrony Narodowej, dokonał przeglądu na jeepie. Pośrodku poligonu wybudowano trybunę, a na niej stanęli (od prawej do lewej) generał Sikorski, dowódca szkockiego okręgu korpusu, generał Thornton, generał Kukiel, admirał Swirski, szef sztabu generał Klimecki i dowódca lotnictwa generał Ujejski. Całością dowodził nowy dowódca I. Korpusu, generał Boruta-Spiechowicz.

Na dany znak stało się to, co na drugi dzień wazeliniański „Dziennik Polski” opisał następującymi słowami: „W pewnej

chwili przełamały się szyki i wiara żołnierska runęła ku trybunie, by z bliska spojrzeć w szare oczy ukochanego wodza”. Mówił Sikorski, a po nim mówił Boruta, ale mówił tak, że go natychmiast, tegoż jeszcze wieczora, zlikwidował pułkownik Borkowski, zabraniając nam drukować nawet tekstu przemówienia. Boruta był jeszcze wtedy bardzo bojowy, bardzo antysowiecki, a to nie było wówczas w modzie.

Jako reporterzy prasy żołnierskiej, przyjechało nas wtedy dwóch: podchorąży Tadeusz Horko, naczelny redaktor „Dziennika Żołnierza” i ja. Ponieważ, jak to już pisałem, generał Sikorski surowo przestrzegał pełnego tekstu, a my stenografii nie znaliśmy, umówiliśmy się z Horką, że będziemy notować na zmianę, dwa zdania on, dwa zdania ja. Stanęliśmy więc tuż przy trybunie, każdy z nogą opartą o stopień, notując na kolanie. Co dwa zdania szepotaliśmy lub trącaliśmy się: Teraz ty. Teraz ja. Tegoż popołudnia zostaliśmy zadenuncjowani w żandarmerii polowej. Meldunek jakiegoś bydlaka brzmiał: Podczas uroczystego przemówienia Naczelnego Wodza dwóch podoficerów w rozchełstanych płaszczach (płaszczki są zawsze w takich meldunkach rozchełstane) stało przy trybunie w niedbale poząch (pozy również są niedbale z zasady), notując coś, szepcząc i trącając się ze śmiechem łokciami.

Po wiecu było polowe śniadanie, a potem konferencja prasowa. Przybyło na nią dwóch nic nie rozumiejących brytyjskich korespondentów wojennych, reprezentujących „Scotsmana” i „Evening News”. Horko i ja reprezentowaliśmy prasę wojskową, a Hapa Gaszyńska występowała zdaje się w imieniu własnym. Jeden ze Szkotów szepnął mi: Zapytaj go, co mu powiedział Roosevelt. Dałem się skusić i wyskoczyłem z tym pytaniem. Generał zacerwienił się z wściekłości i wyksztusił: Może pozwolicie, że naprzód zwierzę się Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, potem powiem radzie ministrów, potem premierowi Churchillowi, a zaraz potem wam. Zgadźcie się na taką kolejność?

Ładna konferencja prasowa. Co robić? Wstałem: Tak jest, panie generale!

— *What did he say?* — pyta mój Szkot. Dobra sytuacja. Wytłumacz mu co powiedział! Horko spróbował: Panie generale, to pytanie zadał korespondent „Scotsmana”.

— Dobrze. Powiedźcie mu, że u prezydenta Roosevelta występowałem w imieniu własnym a również w imieniu królowej Wilhelminy, prezydenta Benesa, króla Piotra jugostowiańskiego i że omawialiśmy metody i cele wojny.

Na drugi dzień ukazało się w prasie to oświadczenie, a na trzeci dzień oświadczenie zainteresowanych rządów sprzymierzonych, prostujące wiadomość bez komentarzy. Po co takie rzeczy robić? Dlaczego pycha i próżność tak wielką odgrywały rolę u człowieka, który wcale nie potrzebował tych rekwizytów, aby być wielkim?

ZWIĄZEK DROBNYCH PODOFICERÓW

W roku 1942 przenoszą mnie do redakcji „Dziennika Żołnierza”, który z pisma 10. Brygady Kawalerii staje się organem całego wojska.

Poddasze redakcyjne w Glasgow miało dużo uroku. Udekorowane pojęczyną oraz rzeźbą tekturową Witolda Marsa, brudne, obdrapane, ale noszące piętno starej pracowni Montmartre'u. Osiemnastoosobowy zespół składał się z autentycznych dziennikarzy, autentycznych warszawskich zecerów, nawet szefem administracji był autentyczny wydawca. Wszyscy byli kapralami, jedynie naczelny redaktor obco odcinał się swymi trzema belkami plutonowego. Nasz metrapaź, Kazio Wysocki, który już „łamał” w Warszawie, w Glasgow, w Wilhelmshaven i w Brukseli, wymyślił dla nas nazwę: Związek Drobnych Podoficerów. Tak jak „pub” naprzeciwno, nazwał P.K.O., bo tam przecie znosiliśmy nasze oszczędności.

Przyjechał kiedyś do nas prof. Stroński. Po skończonej rozmowie powiada: Ja rozumiem, że szanującemu się dziennikarstwu nie bardzo wypada pokazywać się publicznie z ministrem informacji, ale może znacie jakąś małą knajpkę, gdzie niezauważeni zechcielibyście zjeść śniadanie ze mną? To jest klasa!

Z oportunistycznego punktu widzenia nasza współpraca z generałem Borutą, jako dowódcą korpusu, była korzystniejsza od współpracy z generałem Kukielem. Podczas gdy ten drugi był zwolennikiem zycziwej inspiracji, stosowanej w atmosferze rozumnej współpracy, z Borutą właściwie robiliśmy cośmy chcieli, chytrze wygrywając jego kompleks człowieka niewykształconego wobec „panów redaktorów”. Jako „lwy w klatce”, jako „brytany na łańcuchu” i jako ważny „element dowodzenia” mieliśmy łatwe życie. Staliśmy się redakcyjnie niezależni i mieliśmy w Borucie obrońcę za każdym razem, gdy od nas żądano zastrzyku wazeliny. Brakowało dla nas jedynie odpowiedniej nazwy, aby Boruta był szczęśliwy. Prasowa Czołówka Bojowa. Pluton prasy bojowej. Bojówka prasowa lub coś w tym rodzaju. Bo Boruta jednak cierpiał nad tym, że jesteśmy taką cywilbandą. Na Gwiazdkę postanowiliśmy mu zrobić przyjemność. Przyjechał, aby złożyć nam życzenia. Cały zespół ustawił się w dwuszeręgu, pierwszy raz jak należy, a generała wchodzącego do redakcji w towarzystwie Michulki i adiutanta przywitał meldunek Horki:

— Panie generale, podchorąży Horko melduje się, jako dowódca plutonu „Dziennika Żołnierza”.

Boruta był zachwycony. Stanął przed nami i wygłosił dłuższe przemówienie. W tym czasie Boruta miał duże trudności z Sikorskim. W Londynie zarzucano mu, że uprawia w wojsku demagogię i stosuje politykę „umniejszania autorytetu Naczelnego Wodza”.

— Mówią mi, że się bratam z wojskiem — skarżył się w zakończeniu swej mowy. — Mówią mi, że trzymam z chłami, że durniom rękę podaję... A ja wam powiadam, że ja durniom zawsze rękę podawałem, durniom zawsze rękę podaję i durniom zawsze rękę będę podawał — i w tym miejscu z wyciągniętą do Horki dłońą:

— Czołem, panie podchorąży!

— Czołem, panie generale!

Czy już dość przykładów? Cytuję fakty, opowiadam wyłącznie o oficerach na najwyższym szczeblu, o generałach, o wyższych dowódcach. Czyż potrzebne są dalsze przykłady? A więc w roku 1944 zostałem mianowany korespondentem wojennym i dostałem się pod rozkazy najlepszego z ludzi, podpułkownika Bogusławskiego, który był szefem kwatery prasowej. Gdyśmy mieli jechać na kontynent, aby towarzyszyć 1. Dywizji Pancernej, generał Malinowski, w Polsce zastępca szefa sztabu głównego, wezwał nas na odprawę. Było nas ośmiu. Korespondenci wojenni: Marian Walentynowicz, Ryszard Kiernowski, Konrad Syrop i ja, Ksawery Pruszyński jako nadworny literat, marlarz Aleksander Żyw i „szperacz” dokumentów do muzeum pułkownika Borkowskiego — Witold Mars. Korespondenci dostali od Anglików stopnie kapitańskie, a od Polaków — prawa towarzyskie. Malinowski wygłosił mowę, żeby dziarsko, żeby odważnie, żeby zawsze z żołnierzami. Ale — dodał — i od oficerów nie stronić. „Gdy panowie oficerowie w wolnych chwilach, w jakimś miasteczku, pójdą do cukierni na ciastka, iść zawsze z nimi. Nie separować się”. I dodał: Instrukcje fachowe dostaniecie od pana pułkownika Bogusławskiego”.

Pułkownik Bogusławski nie dawał żadnych instrukcji. Poszedł z nami na wódkę, wycalaował każdego i o odprawie u generała prosił nie mówić.

NA LEPSZE STANOWISKA

Była w Szkocji 1. brygada strzelców i 10. brygada kawalerii i 16. brygada pancerna. Mimo najbardziej karkołomnych operacji, jakich na nich dokonywano, wyłoniły z siebie wspaniałą jednostkę bojową, 1. dywizję pancerną. Jak to się stało, że z tej złowieszczej, złowróznej atmosfery szkockiej, z wieloletniej bezczynności, z wzajemnych żalów i złości wyszła jednostka wzorowa, która wśród wielu dywizji, wchodzących w skład 21. Grupy Armii zajęła, obok angielskiej gwardyjskiej dywizji pancernej, jedno z pierwszych miejsc? Jak to się stało, że zapanaował nagle duch braterstwa i jedności, że znikły kompleksy i że odżyło zaufanie? Myślę, że to zasługa wszystkich naraz. Młodych inteligentnych oficerów, nie obciążonych tradycjami przeszłości i szeregowych, którzy w nich zdołali odnaleźć towarzyszy broni, kolegów. Że to zasługa nowej dyscypliny, której nie oparto na ścisłym przestrzeganiu salutowania, lecz na zaufaniu. My-

śle, że to w pierwszym rzędzie zasługa generała Maczka. Tego generała, który nie potrzebował głośno mówić, aby być usłyszanym i który nie używał szumnych frazesów, aby być zrozumianym; którego wszyscy szanowali, bo on szanował wszystkich i którego wszyscy lubili, bo był normalnym człowiekiem, uczciwym, przyzwoitym człowiekiem, stojącym na czele kilkunastotysięcznej grupy innych ludzi. Jak naczelny dyrektor wielkich zakładów przemysłowych. Ani nie wychodził mu oczy z orbit, ani nie deklinował rzeczowników: ojczyzna, chwała, bój, honor — a mimo to wychodziła Falaise i była Gandawa i była Breda. Generał Maczek nie pretendował do tego, żeby być wodzem — był tylko dowódcą. O, jakżeż inaczej byłoby przez te wszystkie lata w Szkocji, gdyby było tam więcej Maczków. Bo w Szkocji dowódcy nie chcieli zrozumieć, że mają wojsko nie zaciężne, ale ochotnicze, myślące, stojące na najwyższym poziomie wyrobienia obywatelskiego. To było wspaniałe wojsko, które wszystko rozumiało i dlatego bez zmruczenia oka wypełniło swój obowiązek do końca. Może lepiej i ofiarniej, niż tego wymagano. Niż było warto. Okazało się, że ani bezrobocie ani względy szkockich dziewcząt stanowi gotowości nie zaszkodziły. Mówiono: do chrzanu z tymi inteligentami. A ci inteligenci rzeczywiście buntowali się przeciw genialnym pomysłom lokalnych władców bzdury, spędzali sen z oczu dygnitarzy, budzili najgorsze współczucia. A potem poszli na wojnę i wszystko się zmieniło. Kwiat inteligencji, ci o których mówiono, że już za starzy, aby zostać oficerami, okazali się w sam raz na to aby fantastycznie walczyć i niepotrzebnie ginąć.

Ale w Szkocji były jeszcze i inne brygady. Poza brygadą spadochronową, która wzięła udział w słynnej bitwie pod Arnheim i której dowódca generał Sosabowski „głową” przypłacił błędy i kłótnie międzyalianckie, były jeszcze brygady kadrowe, fikcyjne, oficerskie. Była piąta brygada dowodzona przez pułkownika Dworaka, była siódma pułkownika Bogorja-Zakrzewskiego i jeszcze ósma, szczątkowa, niepełna. Humor żołnierski nazwał je: Piąta humoreska Dworaka, siódma i wpół do ósmej. W pierwszej brygadzie strzelców królował latami generał Guccio Paszkiewicz, ten którego szanował Piłsudski, choć się mu w roku 1926 oparł na moście Poniatowskiego i którego szanował Sikorski, bo się Piłsudskiemu oparł na moście Poniatowskiego. Paszkiewicz kazał swoim batalionom na zmianę oczyszczać ze śmieci wybrzeże szkockie, bo „wot, przyjdą tu kiedyś Niemcy — mawiał — Niemcy naród czysty, zobaczą na brzegu śmieci i powiedzą: świnię te Palaki”. Paszkiewicz jest chyba największym oskarżeniem soldateski. Jeśli typ o tego rodzaju umysłowości, nawet pół-inteligent, mógł zostać generałem, to doprawdy do nikogo więcej w wojsku nie można mieć pretensji. Wśród niezliczonych anegdot najlepszą jest chyba autentyczna

mowa, jaką wygłosił w kasynie oficerskim w Cupar na pożegnanie swego szefa sztabu, pułkownika Wasilewskiego, którego mianowano wówczas attaché wojskowym przy jugosłowiańskim królu Piotrze w Londynie. Paszkiewicz ogromnie Wasilewskiego lubił i pikanterii w przemówieniu nabiera fakt, że doprawdy żadnej przykrości nie miał zamiaru mu zrobić. Jeśli mowa w skrócie wyglądała jak poniżej, to jedynie na skutek bezwzględnej, absolutnej głupoty Paszkiewicza. „Oficerów mojej brygady dzielę na dwie grupy — mówił swą rosyjską polszczyzną — na gentlemanów i na szuje. Gentlemanów z brygady nie puszczam, bo na ich czele w zbrojnym marszu do Polski powrócę... Szuje pędzę precz... Dziś z radością żegnam pułkownika Wasylewskiego, który odchodzi na lepsze stanowisko...”

Czy do takich dowódców mieliśmy mieć zaufanie? W końcu poszli precz, na lepsze stanowiska. Nie było w nich żadnego pierwiastka ideowego, gdy w parę lat potem wracali do Polski.

Maciej FELDHUZEN

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZŃNIE

Największa na emigracji

KSIĘGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIĄŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

Kronika kulturalna

Film sowiecki - „Młodość Chopina” - Niemcy

Od czasu uruchomienia w jednym z budynków pofestiwalowych Narodowego Teatru Filmowego Londyn stał się dobrym miejscem dla poważnych studiów nad sztuką filmową. Prowadzący ten teatr Brytyjski Klub Filmowy systematycznie wyświetla nieme filmy klasyczne i inne, a że w Londynie istnieje ponadto parę kin kontynentalnych, krytyk ma zawsze do dyspozycji bieżący materiał z różnych krajów i materiał porównawczy, inteligentnie podawany w National Film Theatre. Korzystając z tych ułatwień pokuszę się tym razem o omówienie polskiej *Młodości Chopina* i paru nowszych filmów sowieckich w perspektywie wielkich osiągnięć Eisensteina i Pudowkina.

Choć wielkie dzieła z wczesnego okresu twórczości tych znakomych reżyserów i teoretyków filmu są nadal honorowane w krytyce sowieckiej, praktyka bieżącej produkcji w Związku Sowieckim niewiele ma dziś wspólnego z bliskim personalizmem humanizmem *Matki*, czy *Burzy nad Azją* Pudowkina lub z intelektualnym formalizmem i ekspresjonizmem większości niemych filmów Eisensteina, by wymienić tylko przykładowo *Październik* i *Linie generalną*. Socrealizm filmowy zniszczył talenty ich obu i dzisiaj echa największych odkryć artystycznych kinematografii sowieckiej odzywają się już częściej w filmie włoskim, meksykańskim i francuskim, niż w rosyjskim. Oto parę ilustracji tej haniebnej degrengolady.

Kolorowy *Upadek Berlina* Pawlenki-Cziaurellego obdarzono przed dwoma laty pierwszą nagrodą w Karlowych Warach i uznano za arcydzieło kinematografii sowieckiej. Krytyka zachodnia (w której ciągle jeszcze dużą rolę odgrywają fellow-travelerzy) na ogół nie kwestionowała rzekomych wartości artystycznych tego filmu zwracając jedynie uwagę na tendencyjne wyolbrzymienie osiągnięć armii czerwonej z jednoczesnym pomniejszeniem roli zachodnich aliantów. W rzeczywistości *Upadek Berlina* jest fałszywym arcydziełem. Mamy tu po prostu do czynienia ze zwykłą propagatką, opracowaną przez artystów stojących na usługach

polityki. Metoda twórcza tego rodzaju filmów, których za żelazną kurtyną kręci się mnóstwo, polega na wpleceniu wątku fikcyjnego w zrekonstruowane i odpowiednio dobrane fragmenty historyczne. Nie są to jednak zdjęcia dokumentalne, lecz dokonana przez filmowców tzw. „typizacja” i — dodajmy — kondensacja wydarzeń. Pokazane na filmie sylwetki polityków i wodzów są wykładnikami „sił i idei” zaangażowanych w konflikcie, co bardzo często prowadzi do zwykłego fałszerstwa rzeczywistości. Artystycznie jest to droga schematyzacji i czarno-białego rysunku postaci. Typowym przykładem w *Upadku Berlina* może służyć nierealistyczna, niegroźna, marionetkowa sylwetka miotającego się w spazmach histerycznej furii Hitlera, którego pojawienie się na ekranie śmieszny, lecz nie przejmujący grozą. Równie przesadnie i świadomie groteskowo przedstawiono Churchilla, całą wielkość, dobroć i mądrość rezerwując dla batiuszki Stalina.

Zestawienie *Upadku Berlina* z *Październikiem* Eisensteina daje pojęcie o głębokim upadku filmu sowieckiego. *Październik* jest także rekonstrukcją wydarzeń historycznych — tego, co działo się w Piotrogradzie od lutego do października 1917 roku. I tu duży nacisk położono na realizm: reżyser w bardzo szerokim zakresie operuje statystami z tłumu i amatorami, których osobiście wybrał z uwagi na typowość (tylko trzech zawodowych aktorów odtwarza rolę Lenina, Kiereńskiego i jednego z ministrów). Ale realizm, który w *Upadku Berlina* stał się już tylko pustym dźwiękiem, pokrywającym schematyczną idealizację życia według z góry przyjętych założeń — dla Eisensteina był rzeczywistością jedną z dróg dojścia do syntetycznych efektów. Realistycznymi, czasem brutalnymi zdjęciami dokonywa on analizy zjawisk, by następnie przy pomocy mistrzowskiego montażu rzucić na ekran swe znakomite syntezę lub wywołać potężne efekty, graniczące z fizycznym niemal wstrząsem. W pamięć widza zapadają na zawsze takie sekwencje jak ściąganie przez tłum z piedestału pomnika cara, jak kabotyńskie zachowanie Kiereńskiego w zestawieniu ze statuą Napoleona, na którego ten polityk usiłował pozować, albo — gdy chodzi o kategorię efektów iluzjonistycznych — słynna sekwencja podnoszenia prześel mostów na Newie. Eisenstein, który pierwszy badał językiem filmowym przedstawienie pojęcia abstrakcyjne, nie cofa się także przed daleko posuniętym symbolizmem, a miejscami odchodzi wręcz od konwencji realistycznej. Tak np. gdy rząd tymczasowy powraca do zasad monarchistycznych, obalona poprzednio wielka statua cara powraca na swoje miejsce paroma treściwymi rzutami wbrew prawom fizycznym. Choć nie każdy Europejczyk może zaakceptować bez zastrzeżeń nie schodzący nigdy do *piana* lub *pianissima* patetyczny i monumentalny styl Eisensteina, choć niejednego przerazi ciągle pokazywanie ludzi w kategoriach stada, tłumu, kierowanego przez nielicznych przywódców — nie ma chyba krytyka, który by nie przyznał, że jest to styl wielki, szczerzy i wzbogacający język filmowy, a co więcej wypływający z głębokich po-

kładów duszy rosyjskiej. Patos Eisensteina przechodzi nieraz w krzyk, ale krzyk ten można porównać tylko do wielkich, namiętnych poematów Majakowskiego, który był nie tylko agitator-em, ale i prawdziwym poetą.

Co pozostało z tej wielkości w *Upadku Berlina*? Załedwie trzy fragmenty wojenne — wspaniała bitwa czołgów, nalot na Moskwę i zdobycie Reichstagu — sekwencje, w których znać szkołę klasyków sowieckich w umiejętności operowania tłumem. Inne zalety filmu — to już głównie zasługa techniki (dobry na ogół kolor, umiejętnie użyty w tonacjach ponurych i trupich przy pokazywaniu Niemców i w tonach ciepłych, gdy chodzi o Rosjan) i sztuki nie filmowej, mianowicie muzyki. Szostakowicz dał wspaniałą ilustrację muzyczną. Miara jego osiągnięć jest fakt, że zwykłym fortepianem potrafił w sposób przejmujący pogłębić wielką scenę bitewną.

Zwyrodnienie fabuły i dramaturgii w filmie sowieckim jest niezmiernie pouczającym przykładem epigoństwa sztuki socrealistycznej. Wszak to Pudowkin był tym, który zarówno w swych książkach jak i w filmach pierwszorzędnym nacisk kładł na fabułę. Zakłamana krytyka sowiecka stawia go nadal za wzór do naśladowania, ale Pudowkin od wielu lat nie nakręcił żadnego wybitnego filmu, a zamiast arcydzieł w rodzaju *Matki* lub *Burzy nad Azją* powstają tpe produkcyjniaki.

Konkretną ilustracją tego smutnego procesu degeneracji sztuki będzie zestawienie nagrodzonego przez Stalina *Kawalera Złotej Gwiazdy* (reżyseria Rajzmana, scenariusz Czirksowa według nagrodzonej powieści Siemiona Babajewskiego) z *Burzą nad Azją* Pudowkina (rok produkcji 1928). Bohaterami obu filmów są wybitne jednostki. Pudowkin — zgodnie ze swą metodą — kreśli dzieje młodego Mongoła (rzekomego potomka Dżingis Chana), który w wyniku doznanych od carskich ludzi krzywd staje na czele rewolucji w swym kraju, Rajzman zaś pokazuje dzieje młodego podoficera, który, powróciwszy po ostatniej wojnie do kolektywnej stancji kozackiej na Kubaniu, staje na czele swego okręgu i doprowadza do wybudowania elektrowni. Ale na tym kończą się analogie obu tych dzieł. Bo *Burza nad Azją* — choć z pewnością spełniała, i to dobrze, swą rolę propagandy rewolucji bolszewickiej — jest rzeczywiście dramatyczną, pełną napięcia, wciągającą widza historią skrzywdzonego i dochodzącego swej krzywdy Azjaty, który dojrzewa w ogniu historycznych wydarzeń, a *Kawaler Złotej Gwiazdy* to wyprane z wszelkiego dramatu dzieje „namaszczonego” przez sekretarzy partyjnych, energicznego młodego człowieka, wykonywującego — przy podejrzeniu dobrowolnym poparciu ludności — pewną ograniczoną pracę cywilizacyjną. Gdy w filmie Pudowkina mamy prawdziwego człowieka (znakomicie według szkoły Stanisławskiego odtworzonego przez Inkiszinowa) — kawaler „Złotej Gwiazdy”

jest tylko formułką partyjną na lokalnego przywódcę, która tyle ma życia, ile zdołał w nią wlać dobry zresztą aktor Bondarczuk. I rzecz ciekawa: nieobecność wielkich zalet twórczości Pudowkina nie uchroniła twórców *Kawalera* od powtórzenia jego nielicznych błędów, a nawet od ich rozděcia. W *Burzy nad Azją* Pudowkin chwilami się rozprasza i od głównego wątku dramatycznego odchodzi na boczne ścieżki folklorystyki (czyni to zresztą ze wspaniałą wyrazistością operując nigdy przedtem nie sfil-mowanymi motywami — mam na myśli sekwencje w klasztorze lamów buddyjskich). W *Kawalerze Złotej Gwiazdy* mamy zatrę-szenie scen rodzajowych, co zresztą dla widza zachodniego stanowi jedyną atrakcję filmu. Jednak z punktu widzenia teorii socrealizmu jest to błąd, gdyż bajecznie kolorowe stroje Kozaków, ich wyścigi konne i uczyły rozpraszają uwagę widza i odciągają od głównego „problemu”, jakim jest wodzostwo zatwierdzonego przez Partię małego „Stalinka” i budowana przez stado kozackie elektrownia. Rezultat ogólny: u Pudowkina szczery, z przejściem przedstawiony i przejmujący, osadzony w historii dramat człowieka; u Rajzmana-Czirksowa — malowniczy, lecz zakłamany obraz małego odcinka uprzemysłowienia Rosji, niewiele mówiący o człowieku, pozostawiający w pamięci jedynie wspomnienie masy, oddającej się kultowi techniki. Podobnie wypada porównanie innych współczesnych realizacji filmu socrealistycznego z osiągnięciami wielkiej epoki rosyjskiego filmu nieme-go (i pierwszej fazy dźwiękowego — np. *Aleksander Newski* Eisensteina). Wszędzie bezkonfliktowość, papierowe charaktery, schematyzm postaci i podporządkowanie problemów ogólnoludzkich linii partyjnej i technologii lub technokracji. Nielicznych wyjątków dopatrzeć się można w dziełach biograficznych — jak *Złamane okowy*, film Łopoknysza i Szmaruka o Szewczen-ce, 1951 — gdzie sam temat narzuca pewne minimum kompozycji i konieczność uwzględnienia wartości czysto ludzkich, osobowych. Ale i te filmy grzeszą nieznośnym gadulstwem, deklaratywnością i nadmiarem publicystyki.

Na tle nowszych „osiągnięć” sowieckich wcale obroną ręką wyszedł polski film Aleksandra Forda pt. *Młodość Chopina*. Wbrew powierzchownym ocenom niektórych szowinistycznych publicystów emigracyjnych film ten uważam za wybitny mimo poważnych błędów w kompozycji i w postawieniu postaci tytułowej.

Główne zalety filmu — to znakomita, oparta na dziełach mar-larstwa polskiego, stylowa oprawa plastyczna, świetna muzyka w opracowaniu Serockiego i w wykonaniu Czerny-Stefańskiej i piękna choreografia ludowa w wykonaniu autentycznych tan-cerzy wiejskich. Ponieważ plastyczne kształtowanie dzieł filmo-wych według wzorów malarskich znane było zarówno Eisen-steinowi, Dowżence, czy Pudowkinowi jak i filmowcom zachod-

nim (najlepszym przykładem jest *Henryk V* z Olivierem) — trudno powiedzieć jakim wpływem i w jakim stopniu zawdzięczamy powstanie pierwszego polskiego filmu opartego na malarstwie. W każdym razie jest rzeczą pewną, że Fordowi udało się przełożyć *Młodość Chopina* umiejętnie przetransponowanymi na język filmowy obrazami Kotsisa, pejzażami Szermentowskiego, scenami wiejskimi Chełmońskiego oraz wnętrzami i atmosferą Grottingera i innych polskich plastyków. Końcowe, zresztą znacznie słabsze sekwencje robione są według obrazów rewolucyjnych Delacroix.

Pejzaże romantyczne tchną najautentyczniejszą polskością, a sceny taneczne w karczmie wiejskiej i w Honoratce warszawskiej są arcydziełami stylizowanej fotografii ruchomej — obrazami pełnymi życia, werwy, dobitnie charakteryzowanymi wspinającymi typami ludzkimi. Cudowny dzieciak na przypiecku w karczmie, ruchami bosych nóg i okrągłego brzuszka wtórujący tańcom weselników — to stary znajomy z płócien Kotsisa. Wyraziste twarze chłopów, krótkie sekwencje z różnych stron oglądanych szczegółów, tu i ówdzie udatne *pars pro toto* — to przypuszczalnie inteligentnie zastosowane zdobycze analitycznej metody Eisensteina, którego wpływ wyraźniej widać w dziele Forda, niż refleksy pracy Pudowkina. Nie wątpię, że na dzieło złożyło się także dziedzictwo kinematografii francuskiej i włoskiej. Nie mały udział w plastycznym wyrazie filmu miał zdolny operator Tuzar, który potrafił osiągnąć bułhakowskie, a zarazem stylowo-romantyczne piękno zdjęć plenerowych i zawsze umiejętnie stawiał kamerę w zgodności z oświetleniem i architekturą wnętrza.

Obok tych wielkich zalet ma jednak *Młodość Chopina* także poważne wady. Pomijam już występujące miejscami deklaratywne polityczne gadulstwo i tak charakterystyczne dla filmu sowieckiego dłużytno. Główny błąd polega na nie dość zwartym i za mało dramatycznym scenariuszu. Film nie jest choćby najbardziej rudymenarną historią młodości Fryderyka Chopina i jego rozwoju artystycznego i psychicznego od stopnia ucznia konserwatorium do rangi wielkiego kompozytora i wirtuoza. Przed oczami widza przesuwają się jedynie luźne, arbitralnie powiązane lub wcale nie powiązane sceny z życia wielkiego muzyka. W dodatku sama rola Chopina w wykonaniu zdolnego Czesława Wołejki została przez reżysera źle postawiona. Zapewne w zamiarze wyciągnięcia maksimum powiazań Fryderyka z ruchami rewolucyjnymi i niepodległościowymi, Ford pominął prawie zupełnie czysto ludzkie, młodzieńcze aspekty jego charakteru: dobrze znaną trzpiotowatość Fryderyka i wesołość jego usposobienia. Chopin Forda to młodzian nieśmiały i posępny — czyli nieprawdziwy. Dalszą wadą filmu są końcowe sekwencje symboliczne, gdzie trickami montażowymi (olbrzymia twarz Chopina na tle syntetycznego pochodów powstańców) usiłuje Ford wydobyć ducha muzyki chopinowskiej, a zwłaszcza jej rewolucyjność. Z prasy krajowej wiadomo, że reżyser świadomie zastosował luźną kompozycję epizodyczną i tak właśnie ukształtował grę aktorską w prze-

świadczeniu, że tylko muzyka może oddać przemiany wewnętrzne, zachodzące w pianinie. Jest to kardynalny błąd, gdyż film jest sztuką przede wszystkim wizualną i rezygnowanie z efektów obrazowych przy charakterystyce postaci jest niedopuszczalne. Co by powiedział Ford, gdyby muzyk chcąc przekazać swą kompozycję słuchaczom nie zagrał jej, lecz napisał na tablicy słowa piosenki? A tak przecież — *mutatis mutandis* — postąpił sam Ford wyrzekając się dramatycznej fabuły i dobitnej charakterystyki aktorskiej rozwoju wewnętrznego swego bohatera.

Mimo tych wszystkich wad polska *Młodość Chopina* jest filmem znacznie lepszym od najlepszych powojennych obrazów sowieckich.

Obejrzenie filmu niemieckiego, zwłaszcza wschodnio-niemieckiego nie jest w Londynie łatwe, toteż z gotowością skorzystałem z klubowego pokazu dzieła ruchliwej wytwórni komunistycznej DEFA pt. *Narada bogów*. Jest to film z roku 1950, wyreżyserowany przez Kurta Moetzinga według scenariusza F. Wolfa i P. Gechta, z muzyką Hansa Eislera (fotografia F. Behn-Grund — wymieniam wszystkie nazwiska, aby nie było wątpliwości, że filmowcy rosyjscy w imprezie tej nie brali udziału).

Treścią *Narady bogów* jest działalność wielkiego koncernu I. G. Farben Industrie przed wojną, w czasie wojny i obecnie. Grupując większość akcji wokół losów szlachetnego inżyniera (dobra kreacja Paula Bildta), który, wykrywszy zbrodnicze przeznaczenie gazów trujących, wysyłanych przez fabrykę do obozów koncentracyjnych, rozpoczyna współpracę z komunistami — film pokazuje chciwość, egoizm i zbrodniczą obojętność właścicieli kartelu na wszelkie wartości moralne. Najpierw pomagają oni Hitlerowi w dojściu do władzy, potem nie cofają się przed dostarczaniem środków mordowania Żydów, by wreszcie wyprzeć się udziału w zbrodniach wojennych i nawiązać kontakty z kapitałem amerykańskim w celu knucia planów następnej wojny.

Jak widać ze streszczenia jest to film zrobiony według recepty propagandowej dla tzw. dzieł „demaskatorskich”. A jednak... Mimo nadmiaru publicystyki (zwłaszcza w partiach początkowych) film nie jest bynajmniej tak nieznośny jak obrazy rosyjskie, czy polskie, przedstawiające „radosną budowę socjalizmu”. W miarę rozwoju akcji, w którą zręcznie wpleciono sporo zdjęć dokumentalnych, widz zostaje wciągnięty w atmosferę rozgrywających się wydarzeń, zaczyna się przejmować, oburzać, zajmować stanowisko. Dopiero pod koniec, gdy na ekranie pojawiają się groteskowi Amerykanie — kapitaliści i „podżegacze wojenni”, temperatura zachodniego widza niekomunisty opada i budzi się krytycyzm wobec niewybrednych chwytów politrucko-propagandowych.

Jeśli chodzi o stronę czysto artystyczną *Narady bogów*, to trzeba podkreślić bardzo dobrą fotografię, umiejętność operowania tłumami (pod tym względem filmowcy niemieccy w pełni wykorzystują zdobycze Eisensteina i własną tradycję teatralną Reinhardta) i dobrą, zespołową grę aktorów. Film ten pod względem poziomu artystycznego trzeba by stanowczo postawić wyżej od powojennej produkcji sowieckiej.

W inny zupełnie świat wchodzimy oglądając zachodnio-niemiecki film pt. *Grzesznica*, który nota bene w Londynie wyświetlano w ramach dystrybucji firmy francuskiej umyślnie nie podając nazwy niemieckiej wytwórni. Jest to melodramatyczna historia niemieckiej dziewczyny lżejszego prowadzenia (półprostytutki wojennej), która odnajduje się, a zarazem zatraca w wielkiej miłości do malarza, a gdy ten ślepnie — towarzyszy mu w samobójczej śmierci. Film nie jest pozbawiony wartości artystycznych: oczyszczającą miłość dziewczyny i jej romans z rozkochanym przede wszystkim w swej sztuce artystą pokazano ciepło i prosto. Fotografia V. Vicha, choć nie olśniewająca, wydobywa optimum nastroju przedstawionych sytuacji i środowisk, a reżyseria Willi Frosta (w ramach własnego scenariusza) nie budzi poważniejszych zastrzeżeń. Z drugiej jednak strony dzieło to zbudowano zbyt jednostronnie na roli tytułowej, znakomicie zagranej przez Hildegardę Neff (odbijającą dość jaskrawo od reszty obsady), a ponadto film grzeszy zbyt manierycznym potraktowaniem narracji jako głównego elementu dźwiękowego. Mianowicie producenci ograniczyli muzykę i dialogi do niespotykanego w normalnych filmach minimum (dosłownie kilka miniatury rozmów i oderwanych kwestii) wkładając jednocześnie w usta głównej bohaterki szczegółową opowieść o losach jej i malarza. W rezultacie osiągnięto wprawdzie wielką łatwość wymiany taśmy dźwiękowej na dowolny język (w Londynie nadano narrację samej H. Neff, mówiącej świetnie po angielsku), ale film stał się sztuczny i wewnętrznie skłócony: prostotę wizualną zatruwa nieznośnie natrętny tok opowieści.

Nie trzeba dowodzić, że *Grzesznica* to film moralnie i intelektualnie bardzo ubogi. Czy charakteryzuje on obecne nastroje społeczeństwa Zachodnich Niemiec? Myślę, że czyni to przynajmniej w pewnym stopniu. Jest w nim scena, która utkwiała mi w pamięci silniej, niż zmysłowe i sentymentalne obrazy miłości Hildegardy i jej malarza. Oto ojciec grzesznicy, tradycjonalista i antyhitlerowiec, który długie lata tolerował niewierność swej żony, w pewnej chwili „wychodzi z siebie”: bije ją po twarzy, potem wyjmując z szafy starannie zapakowany mundur oficera rezerwy, rozwija systematycznie paczkę i równie systematycznie zrywa z munduru odznaki swego stopnia. „Zrozumiałam — mówi w swym komentarzu Hildegarda — że ojciec uznał swój mundur za shańbiony”. W tym jednym skrócie scharakteryzowane jest wcale nieźle społeczeństwo niemieckie. Ale to nie wszystko.

Gdy zestawimy *Grzesznicę z Naradą bogów*, muszą nas zastanowić niewesołe kontrasty. Film komunistyczny — choć miej-

scami nieartystycznie i denerwująco — opowiada o sprawach ważnych, dotyczących milionów ludzi. Pokazuje tylko część prawdy, ale byłoby niebezpiecznym uproszczeniem twierdzić, że nie zawiera jej wcale, byłoby głupotą zamykać oczy na jego słuszną pasję, skierowaną przeciwko haniebnym machinacjom amoralnego kapitału, który pomógł Hitlerowi w zdobyciu władzy i utwierdził jego totalistyczny system. A co reprezentuje wyprany z metafizyki, beznadziejny film zachodnio-niemiecki? Ucieczkę od zagadnień społecznych, od rzeczywistości i wreszcie od życia. Rozumiem, że analiza dwóch filmów nie upoważnia do zbyt daleko idących uogólnień. Ale obawiam się, że inne filmy i inne dzieła sztuki niemieckiej z obu stron kurtyny potwierdzają te wnioski.

Inne spojrzenie na sytuację w Niemczech dzisiejszych daje film amerykański (wytw. 20th Century Fox) pt. *Man on a Tight Rope*, pokazujący opartą na prawdziwej historii ucieczkę ze Wschodnich Niemiec całego czeskiego cyrku wędrownego. Temat ten, opisany najpierw w powieści Neila Petersona, uznali widocznie producenci za bardzo interesujący, skoro reżyserię powierzone jednemu z najlepszych filmowców amerykańskich Elii Kazanowi, autorowi *Viva Zapata!*, *Bumeranga* i *Streetcar Named Desire*. Scenarzystą jest tym razem Robert Sherwood, a główną rolę dyrektora cyrku, który pada ranny w potyczce granicznej, ale umiera już na wolnej ziemi w strefie amerykańskiej, zagrał doskonale Frederick March. Zespołowa gra pozostałych aktorów (m. in. Adolf Menjou w roli agenta policji i Glorii Graham w roli żony właściciela cyrku), piękne zdjęcia, dokonane przeważnie nad Izarą, doskonały montaż i bardzo interesujący scenariusz — czynią z tego filmu dzieło nieprzeciętne, choć gorsze od innych osiągnięć Kazana. Kilka zupełnie niepotrzebnie wetkniętych w film banałów propagandowych osłabia nieco wymowę tego humanistycznego i bardzo aktualnego dzieła. Warto dodać, że do jego nakręcenia zaproszono w komplecie właśnie ten cyrk, który dokonał słynnej ucieczki przez żelazną kurtynę.

KRYTYK

Księga mickiewiczowska

Stupięćdziesięciolecie urodzin Mickiewicza (1798-1948) zostało uczczone na Zachodzie przez publikację książki zbiorowej w języku angielskim*). Celem tej książki, jak to wyjaśnia prof. Kridl w przedmowie, jest zaznajomienie przede wszystkim obcych z życiem i dziełem największego polskiego poety. Tego rodzaju prace o naszej literaturze należą do rzadkości, pomimo

*) Adam Mickiewicz, poet of Poland, symposium, edited by Manfred Kridl, New York, Columbia University Press, 1951, str. 292.

że na emigracji znalazła się znaczna ilość polonistów. Lektura pięknie wydanego tomu, ozdobionego ilustracjami, prowadzi do wniosku, że nie mamy tu do czynienia tylko z jubileuszową pamiątką, że przeciwnie, zebrane materiały mają duże znaczenie praktyczne. Ich poziom naukowy czyni z tomu cenne źródło informacji dla wszystkich cudzoziemców, którzy interesują się literaturami słowiańskimi. Poza tym młode pokolenie Polaków wychowujących się w Ameryce i krajach Zjednoczonego Królestwa może tu znaleźć wiadomości i dane trudno gdzie indziej dostępne.

Niebezpieczeństwa jakie grożą przy redagowaniu tego rodzaju „sympozjów” są wielorakie. Przede wszystkim należy opowiadać o autorze zupełnie niemal nieznanym — większość dzieł Mickiewicza była przełożona na angielski, ale w sposób nie zawsze zadawalający, rzadko dający pojęcie o pięknie oryginału. Łatwo jest więc wpaść w ton popularyzatorski, zatracając, w dążeniu do jasnego ujęcia, komplikacje epoki i biografii. Umiano na ogół uniknąć mielizn popularyzacji, chociaż np. okres Towiańszczyzny, zaiste niezwykle trudny do przedstawienia, został zaledwie wspomniany. Inne niebezpieczeństwo kryje się w doborze faktów: w zależności od tego jakie się stosuje kryteria otrzymuje się, jak to tyle już razy robiono z Mickiewiczem, portret sporządzony według pewnej tezy — albo przyczynki, nie składające się na żaden obraz ogólny. Tezy w książce nie ma. W układzie materiału złożonego z rozprawek wielu autorów widać natomiast troskę o uniknięcie przypadkowości i rozplanowanie różnorodnych ujęć tak, aby się uzupełniały. Jeszcze innym niebezpieczeństwem jest skłonność do windowania na piedestał za wszelką cenę, tym bardziej zrozumiałą, że nie wiele jest narodów, które by mogły poszczycić się posiadaniem równego Mickiewiczowi poety. Zapewnia się wtedy (na wiare), że wielki, że ten i ten tak powiedział itd. Głoryfikacji uniknięto tylko częściowo; jest ona inteligentnie preparowana, daje się jednak nieco we znaki w części drugiej. Dużą zaletą książki jest jej malowniczość i dbałość redakcji o wiązanie losów i dzieła poety z nazwiskami i problemami dobrze znanymi czytelnikom zachodnim. Dzięki temu Polska pierwszej połowy XIX-go wieku bardziej się przybliża, przestaje być egzotycznym zakątkiem Wschodniej Europy, Mickiewicz ukazuje się jako pisarz ogólnoeuropejski.

Tom, poprzedzony słowem wstępnym prof. Simmonsa i przedmową Kridla, w części pierwszej („Człowiek i poeta”) zawiera szereg rozprawek. Historyczne i biograficzne dane oraz artykuł ogólny, w którym Kridl zwięźle prezentuje postać, należą właśnie do popularyzacji i zastrzeżenia może budzić rozdział „Przywódca”, gdzie skrót uzyskany jest ze szkodą dla pełni przedstawienia. Sprzeczności w ideach Mickiewicza były wewnętrznymi sprzecznościami żywego człowieka, wiązały się z atmosferą czasu i tylko dzięki niej mogą stać się zrozumiałe. Pod nimi była, pomimo wszystko, potężna jedność. Dlatego próby opisu jego poglądów nigdy nie bywają całkowicie udane. Następna jednak praca, „Poeta przemiany”, zmarłego niedawno prof. Wacława Borowego, w dobry sposób wprowadza w „transformacyjność” zarówno w dziele jak w życiu. Borowy, badając kryzysy moralne z których bohaterzy Mickiewicza wychodzą całkowicie zmienieni (Gustaw Konrad, Jacek Soplica-Robak, Litawor, Alf-Konrad Wallenrod) szuka pokrewieństw literackich — i nie znajduje, z wyjątkiem życiorysów świętych w średniowieczu. Siłę z jaką powraca motyw przemiany uważa za klucz do osobowości tego poety i podkreśla wagę jaką w wierszach religijnych „Rozmowa wieczorna”, „Rozum i wiara”, „Hymn na dzień Zwiastowania N.M. Panny” — ma Transfiguracja (nawet Zwiastowanie jest przedstawione jakby to była Transfiguracja). Klasyczne elementy u autora „Grażyny” są przedmiotem rozprawki Miłosa, „Mickiewicz i poezja nowoczesna”, gdzie przypominany został świetnie zapowiadający się młody historyk literatury Ludwik Fryde, zamordo-

wany przez Niemców kiedy pracował nad książką o klasycyzmie mickiewiczowskim. Józef Wittlin w szkicu o najwybitniejszej powieści polskiej — „Panu Tadeuszu” daje ciekawe wyznania osobiste, o tym jak to lektura Prousta wprowadziła go na nowo w aurę Soplicowa. Bardzo osobisty jest też krótki artykuł George R. Noyesa, nestora amerykańskich sławistów (i tłumacz Mickiewicza): pierwsze, zapoznanie się z „Panem Tadeuszem” w r. 1898, w Petersburgu. Świeże i odkrywcze jest w tym artykule zwrócenie uwagi na metafizyczny (dziecinno-magiczny) charakter realizmu w opisach Soplicowa (zestawienie z Johnem Donne). Następnie rozdział „Mickiewicz jako dziennikarz” przynosi fragmenty z „Trybuny Ludów” — ani ich wybór, ani komentarz nie wydają się wystarczające; w dobie jednoczenia się świata przypomnieć internacjonalizm mickiewiczowski jest pożyteczne — jak również dać próbki mglistych raczej koncepcji redaktora „Trybuny” (traktowanych wyżej przez Kridla z ironią); jednak problem przemiany poety w dziennikarza wymagałby nie tylko informacyjnego ujęcia. Część pierwszą zamyka studium Abrahama G. Dukera „Mickiewicz i kwestia żydowska”; przedstawione są tu zmiany w poglądach poety na tę sprawę, aż do organizowania przez niego Legionu Żydowskiego przeciwko Rosji w czasie Wojny Krymskiej.

Druga część książki jest zatytułowana „Mickiewicz w oczach cudzoziemców”. O pobycie w Rosji i o historii przekładów na rosyjski opowiada prof. Czesław Zgorzelski, opierając się na najnowszych źródłach, dopiero niedawno wydobytych z zapomnienia. Opiniom Rosjan o Mickiewiczu poświęcona jest też rozprawka Johna A. Washburna. Rewelacyjną hipotezę o bodźcu jaki skłonił Puszkina do napisania patriotycznej odprawy Mickiewiczowi — „oszczerey Rosji” przynosi artykuł prof. Wacława Jakubca (Puszkina czytał po polsku — miał wziąć, według Jakubca, „Kordiana” Słowackiego za utwór Mickiewicza). Po Rosji przychodzi kolej na kraje, które zwiedził Mickiewicz w dalszej swojej życiowej wędrówce. Rozdziały o Niemczech i Francji są może najslabszym punktem książki — ograniczają się do cytata, przy czym te sądy Niemców i Francuzów odznaczają się entuzjazmem ale nie zawsze głębokością spojrzenia. Ciekawostka: „Wstyd mi że tak mało wiem o Polakach (którzy ostatecznie są moimi przodkami)” powiada Nietzsche w liście do Overbecka, który mu zachwalał Mickiewicza w przekładzie Lipinera. Rozdział francuski zawiera też przekłady znanego tłumacza Paula Cazin: „Trzech budrysów” i „Zasadzkę”. Bardzo interesujący jest rozdział szwajcarski: raporty władz uniwersyteckich w Lozannie o Mickiewiczu jako profesora literatury łacińskiej. Zasięgą wydawnictwa jest przełożenie materiałów tego rodzaju po raz pierwszy na język angielski. O Mickiewiczu i literaturze czeskiej pisze prof. Krejci. O pozycji we Włoszech profesorowie Enrico Damiani i Giovanni Maver. Stosunki z Ameryką zostały uwzględnione obszernie. Manfred Kridl omawia powstanie „Kartofli” (Ameryka jako kraj wolności w tym młodzieńczym utworze). Dr Ludwik Krzyżanowski (który przełożył znaczną część tekstów w tomie) zajmuje się przyjaźnią jaką zawiązała się w Rzymie pomiędzy Mickiewiczem i Fenimorem Cooper'em. Artykuł o niepozabawionych erotycznego tła wymianach intelektualnych z pisarką Margaret Fuller (anonimowy) wykorzystuje niedawne odkrycia Leopolda Wellisza i podaje fragmenty pamiętników Amerykanki odnoszące się do Mickiewicza (zacytujmy zdanie pana Adama o Chopinie i Liszt: „Chopin talks with spirit and gives us the Ariel view of the universe. Liszt is the eloquent tribune to the world of men, a little vulgar and showy certainly, but I like the tribune best”). „Wprowadzenie Emersona” do Paryża przez Polaka — z katedry Collège de France — stanowi przedmiot osobnego (również anonimowego) szkicu. Tom kończy się krótką wzmianką o „Sonetach krymskich” w Indiach.

Napisałem to zbyt suche sprawozdanie, ponieważ nikt inny nie recenzował w *Kulturze* tej książki w ciągu dwóch lat jakie upłynęły od jej ukazania się. Nie jest tajemnicą, że prof. Kridl został powołany przez uniwersytet Columbia na katedrę imienia Mickiewicza ufundowaną z dotacji rządu warszawskiego. Może to również jest przyczyną milczenia. Jednak wydawnictwo o charakterze naukowym powinno być osądzone merytorycznie, a nie według tego „kto je rodzi”. Czyjaś praca włożona, wysiłek autorów, tłumaczy i drukarzy zasługują przynajmniej na wzmiankę.

Prof. Simmons ubolewa na wstępie do tomu nad słabym rozwojem badań nad literaturą polską na zachodnich uniwersytetach. To jest prawda: literatura rosyjska panuje wszechwładnie, ma katedry i instytuty, polska jest uboga kuzynką. Słowo „slawistyka” staje się niemal synonimem słowa „rusycystyka”. Katedra im. Mickiewicza powinna byłaby być finansowana przez samą zasobną instytucję amerykańską albo przez Polonię Ameryki. Ale nie tu jest miejsce na dyskusję o tym dość zawiliłym problemie.

Można uznać chyba za pewnik, że tym co ratuje Polaków, Czechów, Litwinów, Estów, Ukraińców żyjących w rozproszeniu od wynarodowienia, a więc i od wewnętrznej, duchowej dezintegracji, nie są ich komitety polityczne, ale książka, biblioteka, ośrodek badań, wydawnictwo — a więc wszystko to co utrzymuje tradycję jako arkę przymierza między dawnymi i nowymi laty. Wyjątkowa rola przypada tutaj studiom na poziomie uniwersyteckim. Nie mając wielkiej nadziei, trzeba jednak życzyć, aby rosła liczba autorów też doktorskich o Kochanowskim, Norwidzie czy Mickiewiczu. I żeby pieniądze na naukowe cele można było zdobywać bez uciekania się do niebezpiecznej gry z takim czy innym diabłem.

M. K.

Doktorat

Dnia 9 czerwca 1953 w jednej z sal Sorbony odbyła się obrona tezy doktorskiej Michała Borwicza. Nazwisko to wśród Polaków zagranicą jest mało znane, bardziej w kraju. Borwicz, przed wojną młody literat krakowski, został zesłany przez Niemców do obozu koncentracyjnego w Janowie pod Lwowem — ten obóz był „uniwersytetem SS”, w którym kandydaci na oprawców uczyli się swego fachu. Aktywny w organizacji konspiracyjnej obozu, torturowany, Borwicz zdołał wreszcie uciec i wziął czynny udział jako oficer w działaniach oddziałów partyzanckich PPS w okolicach Krakowa. Po zakończeniu wojny stał się jednym z organizatorów Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce, która miała za zadanie gromadzenie i publikację materiałów dotyczących martyrologii Żydów polskich. Opublikował po wojnie m.in. tom wierszy obozowych „Ze śmiercią na ty” i antologię wierszy o tragedii Żydów: „Pieśń ujdzie cało”. Jego zasługą jest również szereg publikacji zawierających dokumenty. Od 1948 r. przebywa na emigracji.

Tytuł jego doktorskiej tezy brzmi: „Pisma skazanych na śmierć pod okupacją niemiecką, 1939-1945”. Borwicz używa materiałów w jęz. polskim, yidish, francuskim, serbskim, czeskim, niemieckim — jego 400-stronicowa „teza”, nosząca podtytuł „studium socjologiczne” nie dotyczy więc tylko Polski ale całej Europy okupowanej przez hitlerowców. Słusznie profesorowie Renouvin, Gourvitch i Fabre (ten ostatni specjalizujący się w historii Polski) podkreślali rzetelność z jaką zgromadzone zostały dane. Dla

przyszłych badaczy prace Borwicza będą miały pierwszorzędne znaczenie, zarówno jako źródło informacji, jak i przez interpretację faktów pochodzącą od świadka i uczestnika. Recenzję z tezy odłożymy do chwili kiedy ukaże się ona w wydaniu książkowym.

Jak to przyjęte jest na Sorbonie, Borwicz przedstawił również dwie prace dodatkowe: „Polski poprzednik André Malraux — St. Brzozowski” i „Tendencje nowej historiografii w Polsce”. Dyskusja nad tą ostatnią pracą doprowadziła do pewnej kontrowersji między doktorantem i profesorem socjologii Gourvitchem, który zarzucał autorowi brak obiektywizmu. Krytykując negatywną postawę autora wobec podręczników historii opracowywanych obecnie w Polsce, prof. Gourvitch wspominał o węzłach przyjaźni łączącej naród polski z narodem rosyjskim, podając jako przykład przyjaźń Mickiewicza z Puszkinem (zapominając dodać, że przyjaźń ta miała nie tylko róże ale i ciernie).

Byłoby może wskazane, żeby ta wzmianka o doktoracie Polaka stała się zaczątkiem nowej rubryki w *Kulturze*, informującej o poczynaniach naukowych naszych kolegów czy przyjaciół w różnych dziedzinach.

m.

UWAGA POLACY W KANADZIE KSIEGARNIA WYSYŁKOWA I AGENCJA CZASOPISM RADEGAST

570 Aberdeen Ave., WINNIPEG, Man.

Ułatwi Wam nabycie każdej polskiej książki oraz załatwi prenumeratę następujących czasopism: KULTURA, WIADOMOŚCI, ŻYCIE, ORZEŁ BIAŁY i in.
„RADEGAST” dostarcza ze składu w Kanadzie najpiękniejsze polskie płyty POLONIA i innych wytwórni.

TEKA RYSUNKOW MARIANA BOHUSZA SZYSZKI

Spółeczność Akademicka USB ogłasza przedpłatę na Tękę rysunków M. Bohusza-Szyszki, z przedmową dr Stefani Zahorskiej, w wykonaniu Oficyny S. Gliwy.

Teka ukaże się w wersji polskiej i angielskiej i zawierać będzie 16 plansz, tłoczonych na luźnych kartonach formatu 10 x 15 cali.

Cena Teki w przedpłacie wynosi 900 franków, względnie 1 funt, przy czym nabywca zgłaszający się w przedpłacie otrzyma Tękę z wytłoczonym swoim nazwiskiem oraz planszami własnoręcznie podpisanymi przez autora.

Przedpłatę do dnia 20 listopada przyjmuje

W PARYŻU: p. Jadwiga Dabulewicz, 9, rue Anatole-de-la-Forge, Paris-17^e

W LONDYNIE: p. A. Urbański, 3, St. Mark's Terrace, Peel Rd., London, N.W.6.

Książki

Ameryka w oczach przyjaciół

Każde wystąpienie publicystyczne James Burnhama jest aktem politycznym. Aktem politycznym jest również ostatnio wydana przez niego książka. *What Europe thinks of America* (The John Day co., New York, 1953), w której zebrał on i opatrzył przedmową dziewięć szkiców wybitnych pisarzy i publicystów europejskich na jeden temat: Co Europa sądzi o Ameryce. Dialog pomiędzy Europą i Ameryką oparty jest na wielu nieporozumieniach. Wiemy, że przeciętny Amerykanin ma fałszywą wizję Europy, że powierzchownym uproszczeniem jest obowiązujący w Europie mit amerykański (z Hollywood, Coca-Colą, atomem, mechanizacją, MacCarthym, Marshalllem itd.). W dodatku Amerykanin jest źle i powierzchownie informowany o tym co Europejczycy naprawdę myślą o Ameryce. Burnham podkreśla w swej przedmowie, że dziwnym zbiegiem okoliczności amerykańska prasa najszerszej omawia opinie komunistów, lewicę i neutralistów. Czyżby powodem tej jednostronności było pewne zadowolenie, z którym Amerykanie rozpisują się o „niewdzięczności” Europy? Czy też może łatwiej zbyć krytyki które są oparte na przesądach? Jaka-kolwiek byłaby przyczyna tej jednostronności, nowa książka Burnhama spełnia tu rolę niezmiernie ważną; wszystkie zebrane w niej szkice pochodzą od przyjaciół Ameryki, zdecydowanych antykomunistów, którzy są, wszyscy równie szczerzy w swych krytykach, opartych na bezstronnym rozumowaniu i na chęci dopomożenia do zmiany na lepsze.

Dla nas antologia Burnhama jest specjalnie ważna, gdyż na dziewięć głosów reprezentujących całą Europę, trzy należą do przedstawicieli emigracji politycznej ze wschodniej Europy: Ukrainka Juryja Szerecha i Polaków Czapskiego i Mieroszewskiego. Pozostali pisarze to: z Francuzów Raymond Aron i świetny socjolog i znawca komunizmu Jules Monnerot; z Włochów liberalny publicysta Vittorio Zincone i wybitny pisarz Guido Piovene; Anglik, młody konserwatywny poseł do parlamentu i publicysta Julian Amery; Belg, specjalista od spraw kolonialnych Sylvain Throeder.

Zaproszeni do udziału w tej ankiecie Niemcy odmówili w ostatniej chwili — czyżby, jak przypuszcza Burnham w swej przedmowie, dlatego że obawiali się szczerze podać swój punkt widzenia?

W przedmowie do książki Burnham stwierdza:

„Chciałem się dowiedzieć od przyjaznych, obiektywnych i szczerych obserwatorów, którzy zechcieli napisać bez dyplomatycznych wybiegów, co myślą o Ameryce oni sami, i co myślą inni Europejczycy.

„Chociaż są to przyjaciele, ich krytyki dotyczące Ameryki nie są w niczym stepione, miejscami równie ostre, a zawsze bardziej głębokie od krytyk naszych nieprzyjaciół, o których częściej słyszymy. Amerykański czytelnik

zobaczy jednak, że zawartość tych krytyk jest niemal w całości diametralnie przeciwna tym do których go przyzwyczajono.

„Każdy z tych pisarzy i wszyscy nasi przyjaciele zgodnie podkreślają jeden punkt centralny. Przyznają oni otwarcie, że w dzisiejszych warunkach jedynie Stany Zjednoczone mogą przewodzić wolnym narodom świata i tym narodom, które dążą do uwolnienia. Nie ukrywają oni tego faktu, nie oplatują go, nie budzi on w nich goryczy. Ale nalegają na to, żeby Stany Zjednoczone, które obecnie nieuchronnie zajmują czołowe stanowisko, sprostały swej roli „leadera””.

Szkice polskie — to impresje Józefa Czapskiego i polityczna analiza Juliusza Mieroszewskiego. Czapski opisuje młodość, świeżość i bezpośredniość Amerykanów, cechy, które uderzyły Europę w czasie wojny, kiedy Amerykanami byli dla nas młodzi „G.I's” i które sam zaobserwował w czasie swoich pobytów w Ameryce. Tej świeżości przeciwstawia on zamknięty świat amerykańskich prokonsulów w Europie, banalność ich podejścia, ekskluzywność. Kto w tym dziwnym świecie pobiera decyzje? Z kim można rzeczowo rozmawiać? Dla Czapskiego biura amerykańskie i organizacje międzynarodowe podobne są do koszmaru Kafki z „Zamku”, którego bohater umiera przed uzyskaniem prawa zamieszkania we wsi do której go zaprosił tajemniczy właściciel.

Mieroszewski przedstawia tezy polityczne dotyczące Europy Środkowo-Wschodniej, znane czytelnikom *Kultury* z jego artykułów. Stwierdza on, że Stany Zjednoczone powinny się zdobyć na jasno określoną politykę wyzwolenia Wschodniej Europy, zamiast dorywczych akcji propagandowo-agitacyjnych. W wykonaniu tej polityki, Ameryka powinna się oprzeć na przyjaciółach i sprzymierzeńcach wschodnio-europejskich, nie na urzędnikach amerykańskich wschodnio-europejskiego pochodzenia.

Juryj Szerech, pisarz ukraiński, obecnie wykładający na uniwersytecie harwardzkim, poświęca swój szkic odtworzeniu obrazu Ameryki widzianej oczami sowieckiego człowieka.

(j)

„English becomes Polish”

Mało było na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat równie irytujących literackich zjawisk jak naturalizm w połączeniu z „powrotem do ziemi”. Wynikiem literackiej „chłopomanii” inteligentów w binoklach i starych panien po dworkach są te niezliczone tomy fałszu i nudy w których kazano nam w szkole wyszukiwać „zagadnienia”, „kwestie” i „konflikty”. No i ten potworny balast słynnych „opisów przyrody” zaczynających się od „dniało”, „szumiało”, „widniało”, które nie wiadomo dlaczego miały w zadymionych gabinetach zastępować spaceru. Sentymentalny naturalizm, owe „życie owadów” z leżką w oku, „folklor” traktował jako pasiaki, oberek i „oj dana dana”. Nie było w nim oczywiście miejsca na to co w chłopkiej kulturze ma korzenie najgłębsze, związane z podświadomością rodzaju ludzkiego. Na żywe wciąż mity, czerpiące soki z rolniczej pra-tradycji, stanowiące o prawdziwej jedności Europy. Na bogactwo które w nauce wydało choćby „Złotą Gałąź” Fräsera, w literaturze — huculską epopeję Stanisława Vincenza.

Angielska powieść Jerzego Pietrkiewicza *The Knotted Cord* (Heinemann, London 1953) nie ma tego szerokiego oddechu, który jest być może

konieczny w literackiej transpozycji wolnego rytmu życia związanego z roślinnym misterium, ale jest to książka autentycznego poety, który czuje wieś, jej tradycje i jej magię. Pietrkiewicz opowiada o Bronku, chłopczycy ze wsi Fabianki w Ziemi Dobrzyńskiej, którego matka poświęca w wieku pięciu lat św. Antoniemu i którego mnisi habicik oddali od rówieśników, osamotni. Ale właśnie z tej samotności, z traumatycznej świadomości strasznej tajemnicy śmierci i z dręczącego przecucia, że wiąże się ona jakoś z tajemnicą jego własnych urodzin wynika wrażliwość dziecka na poezję wsi. Przez pryzmat tej wrażliwości widzimy dziwny świat zamawiań, ziół i zaklęć, starą Dobromilę, której samotna chata stoi nad cmentarzem dzieci zmarłych na zarazę, pasterza Ptaka, który uczy Bronka czytać z „Wyczynów i Cudów Aleksandra Wielkiego, Króla i Boga Pogańskiego, wiernie i szczegółowo opisanych na pożytek chrześcijańskiego czytelnika”. Ale wieś Pietrkiewicza nie jest abstrakcyjną wsią skoncentrowanych mitów. Przepływa także przez nią i strumień historii: pierwsze lata niepodległości widziane z Fabianek, echa zaborów i wojny bolszewickiej, pielgrzymka Mariawitów (jeden z najlepszych fragmentów powieści).

Najdziwniejsze jest jak naturalnie brzmi powieść Pietrkiewicza po angielsku. Żadne tłumaczenie, nawet najlepsze, nie mogłoby sprostać zadaniu którego pisać w obcym języku dokonał autor: tak udanej transpozycji polskich imion, zwrotów, przekleństw, samego rytmu polskiego języka. Mistrzostwo tej zamiany polskiej treści na angielskie słowo jest uderzające. Język nabiera przez to cech tak autentycznych, staje się tak samoistny, że widzimy nawet najbardziej znane nam, powszednie sprawy w jakimś dziwnym egzotycznych świetle (nie jest to paradoks: język Pietrkiewicza jest „nieodwracalny” na polski, stanowi dziwny stop angielskiej mowy z duchem polskiego słowa). Jeśli o mnie chodzi, wyszło to książce na korzyść: postać „dobrego wójta”, apologia zamożnego włościństwa irytowałyby mnie może w polskiej wersji ludowców „programowości” (nie politycznie, ale dlatego, że w powieści nie powinno być miejsca na programy): po angielsku czyta się to wszystko gładko i niemal bez sprzeciwu. Ostatni rozdział powieści Pietrkiewicza (tytuł każdego rozdziału jest charakterystycznym dla niego poetyckim skrótem) brzmi „Brown becomes White”. O *Knotted Cord* można by powiedzieć: „English becomes Polish”.

KAJ

Polska à la minute

Zmieścić tysiącletnie dzieje narodu na 120 stroniczkach broszury kieszonkowego formatu — można tylko za cenę deformacji. Portret pomniejszony do tej skali zatracza wszystkie cechy charakterystyczne. Wprawdzie H.G. Wells na 320 stronach podobnego formatu skreślił swoją słynną *Short History of the World* ale metoda jaką zastosował była zupełnie inna.

Praca prof. A. Joberta *) jest popularnym, konwencjonalnym wyciągiem czy skrótem pozbawionym wszelkich cech oryginalności. Oczywiście w wyciągu tym jest mnóstwo nieścisłości większego i mniejszego kalibru oraz spora doza niefortunnych sformułowań. Zajęłoby zbyt wiele miejsca wszystkie te potknięcia wyliczać. Nie jest — powiedzmy — ważne wywianowanie Brygady Karpackiej laurem Narwiku natomiast razi określenie, że

*) *Histoire de la Pologne* par Ambroise Jobert — Presses Universitaires de France, 1953.

Warszawa została uwolniona (libérée) przez armię czerwoną choć z kontekstu wynika, że autor zdaje sobie sprawę z roli jaką odegrała armia czerwona w okresie powstania warszawskiego. Katyniowi poświęcone jest jedno zdanie z którego czytelnik dowiadyuje się, że Moskwa przypisywała dokonanie mordu Niemcom i zerwała stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w odpowiedzi na przekazanie sprawy do zbadania międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi.

Autor usiłuje zachować maksimum obiektywizmu. Ale do obiektywnego przedstawienia pewnych zdarzeń trzeba pewnego minimum słów. Autor wyraźnie poświęca obiektywizm dla zwięzłości — co widać najlepiej na przykładzie Katynia. Tego typu metoda pracy prowadzić musi nieuchronnie do deformacji historycznego obrazu.

L.

Polonica i antypolonica

Po „Ambasadach”, w których Roger Peyrefitte opisał „Kariere” francuską w latach przed ostatnią wojną, mamy teraz „Koniec Ambasad” tego samego autora.

La Fin des Ambassades (Flammarion, Paris, 1953) jest ledwo transponowanym pamiętnikiem Peyrefitte'a z lat 1938-1945. Występują w tej powieści ambasadorowie i ministrowie pod własnymi nazwiskami, a pseudonimny najokrutniejszych portretów są tak przejrzyste, że wywołała ona zirykowany protest wyprowadzonego z równowagi „Quai d'Orsay”. Peyrefitte jest epigonem Monachium, oplakuje daną Polsce gwarancję i przystąpienie Francji do wojny. Obraz jaki daje z lat okupacji jest równie niemilośny wobec „résistance”, jak wobec kolaborantów. Równowaga wydaje się jednak naruszona samym faktem, że bohater jego jest członkiem „ambasady” Brinona w Paryżu. Peyrefitte występuje jako „moralista”, ale reguły tej moralności dziwnie są podobne do reguł dobrego wychowania. Niestety opisyje on lata, które mało miały wspólnego z „dobrym tonem”.

„Koniec Ambasad” zawiera szereg wzmianek o Polsce, w ogólnym tonie „pauvre Pologne”. Parę szczegółów zasługuje jednak na przytoczenie, jako charakterystyczny wyraz pewnej sekcji francuskiej opinii.

O braku przygotowania Polski do wojny:

„W prasie legenda o polskiej kawalerii nie była niestety niczym innym jak nowym wydaniem „kawalerii św. Jerzego”. Polskie tajne fundusze rządziły opinią, oplacając prasę. Tę samą rolę odegrały czeskie fundusze podczas Monachium: aż dziw jak francuski pieniądz pożyczony tym państwom służył sprawie przeciwnej interesom Francji. Georges Bonnet dopiero w lipcu 1939 potrafił przeprowadzić dekret zabraniający dziennikarzom przyjmowania subsydiów od obcych państw. Ale potęgi finansowe, francuskie wprawdzie, lecz równie niechętnie pokojowi, wypełniły szybko tę lukę w podsycaniu świętego ognia. Dzieło ministra bojkotowane było w jego własnym otoczeniu: jeden z jego najbliższych współpracowników ukrył przed nim depeszę od naszego konsula generalnego w Wiedniu przytaczającą rewelacyjne oświadczenie polskiego konsula generalnego”.

O raportach ambasadora Łukasiewicza:

„Depesze ambasadora polskiego w Paryżu donosiły wyłącznie o „słałości Francji”, o „chwiejności jej przywódców”, zaś na sześć miesięcy przed

wybuchem wojny prowadzonej przez Aliantów w obronie Polski pisał on z zimną krwią: „Doświadczenia ostatnich dwudziestu lat wykazały, że Francja i Anglia nie dotrzymały ani jednego zobowiązania...”

O agresji sowieckiej przeciw Polsce:

„Podczas gdy agresja niemiecka przeciw Polsce wywołała wypowiedzenie wojny przez Francję i W. Brytanię, agresja sowiecka wywołała jedynie głoślowne protesty. A więc nie w obronie Polski, ale przeciw Niemcom wystąpiła Francja i Anglia... Lord Halifax oświadczył nawet, żeby uspokoić całkowicie Rosjan, że w istocie przywrócona została w Polsce linia graniczna proponowana przez brytyjską dyplomację w Wersalu. Nic równie bezczelnego nie można było powiedzieć milionom ludzi, których się wyrwało z ich domów pod pretekstem obrony Polski”.

O raportach dyplomatów francuskich podczas kampanii wrześniowej:

„Z Londynu ambasador Corbin szyfrował, że według otrzymanych ze źródeł brytyjskich informacji, Niemcy niemal wyczerpały w Polsce swą rezerwę amunicji i że można by ich doprowadzić do całkowitego wyczerpania pojedynkiem artyleryjskim ponad granicą zachodnią”.

O rządzie polskim w Angers:

„Rząd polski ukonstytuował się na naszym terytorium. Osadzono go w Angers i wkrótce wymogi jego wywołały ogólne zniechęcenie. Chcąc stworzyć ministerstwo komunikacji, rząd polski zażądał na wyłączny użytek jednej z naszych linii kolejowych. Tyle bezczelności dodało odwagi naszym dyplomatom, którzy spełniali nadal swe funkcje przy tym fikcyjnym organizmie. Ambasador Léon Noël zażądał dla siebie i dla swego personelu tych samych dodatków nadzwyczajnych z których korzystał w Polsce — i uzyskał je”.

Spotkanie z polskim żołnierzem w Paryżu w 1940 r. (jest to transpozycja spotkania ze śp. Adolfem Bocheńskim, z którym Peyrefitte kolegował w Szkole Nauk Politycznych w Paryżu):

„Pewnego dnia przed Tuileriami Georges poznał w wysokim młodym człowieku, ubranym w dziwaczny mundur, jednego ze swych najbliższych przyjaciół ze Szkoły Nauk Politycznych. Był to Polak, którego nie widział od czasu lat wspólnie spędzonych na rue St. Guillaume, jeden z tych potomków starych europejskich rodów, którzy szukali w tej szkole tradycji francuskiego liberalizmu. Dowcipny, błyskotliwy, inteligentny, pociągał on również Georges'a jakimś wewnętrznym światłem, czystością kryształu... (Georges) często myślał podczas wypadków wrześniowych o tym dalekim przyjacielu. Nawet jeśli sam był zdania, że Polska jest źródłem nieszczęścia Europy, wiedział dobrze, że można potępiać dany rząd nie potępiając narodu. Wiedział, że naród polski nie jest bardziej odpowiedzialny za wojnę niż naród francuski i że oba te narody płacą za błędy popełnione przez Daladierów i Becków. Młody Polak zdawał sobie z tego zapewne sprawę, gdyż będąc publicystą sam prowadził przed wojną zaciętą kampanię przeciw Beckowi. Obaj koledzy dalecy byli od beztrudnych lat młodości, a jednak powrócili najpierw właśnie do tych lat.

— Drogi Georges! Czy pamiętasz jak mnie drażniłeś tym wierszykiem Woltera:

„Le sage voit... sans en être surpris,
Trois Etats polonais doucement envahis”.

Tym razem inwazja nie była tak łagodna. Miałem zaledwie czas się ukryć. Rosjanie podpalili mój dom w kwadrans po przystąpieniu do wojny. Oto zła strona posiadania majątku w Małopolsce!”

— Biedna Polska! zawsze ofiarą!

— Tym razem było sporo składających tę ofiarę, rzekł Polak.

— Czy masz nam za złe żeśmy o was wypowiedzieli wojnę?
— Wypowiedzieliście ją, aleście jej nie prowadzili.
— Byliśmy zaledwie w stanie ją wypowiedzieć.
— Czyż w takim razie nie lepiej było przeszkodzić nam w jej prowadzeniu?”

Zeszli razem do ogrodu. Polak opowiadał o swej cudownej ucieczce, o swej odyssei poprzez Rumunię aż po Marsylię... Odmówił synekury, którą mu ofiarowano w Angers, zaciągnął się do wojska polskiego w Bretanii i marzył teraz tylko o bitwie”.

(j)

Powieść o emigrantach w Australii

Młody pisarz australijski Hungerford, który zadebiutował powieścią „The Ridge and the River”, napisał obecnie drugą powieść na tle życia emigrantów *).

Konstrukcja akcji *Riverslake* jest prosta: — Młody nauczyciel Randolph wraca z wojny i zastaje swe życie małżeńskie złamane. Pod wpływem psychicznego przygnębienia porzuca zawód nauczycielski i udaje się na włoczęę po Australii jako kucharz obozowy. Trafia do Riverslake, w pobliżu budującej się stolicy Australii — Canberra.

Po raz pierwszy w powieści australijskiej pojawiają się bohaterowie Polacy; są to współpracownicy Randolpha w kuchni: Stefan Novikowski i Felix Radinski. Obaj reprezentują Europejczyków i wprowadzają czytelnika w świat nowych przybyszów.

Novikowski jest wysoki, ciemny, ironizujący, dobry pracownik, ceniony przez przełożonych; syn komendanta policji w jakimś miasteczku wschodniej Polski; ojca mu rozstrzelali Rosjanie. Od chwili wybuchu wojny, gdy miał 13 lat, przeszedł piekło Rosji, więzienia, walkę z Niemcami i partyzantkę. Novikowski nienawidzi komunizmu i gotowy jest walczyć w obronie Australii, tak jak kiedyś walczył w obronie swej ojczyzny.

Felix, mały, niebieskooki blondyn, również liczy 23 lata; koleje jego życia były podobne. Mimo, że jest chłopskiego pochodzenia, charakter jego jest miększy niż Novikowskiego. Jedynym celem i radością życia Radinskiego jest dziewiętnastoletnia Litwinka, Marika, mieszkająca z ciotką i wujem Kasnik. Randolph odwiedza tę rodzinę i obserwuje niezwykle obyczajnie jak „bruderszaft” lub całowanie w rękę. Litwini rozumieją po polsku i lubią Felixa nie tylko dlatego, że jest dobrym człowiekiem, ale i dlatego, że jest Polakiem.

Hungerford idealizuje Europę, której symbolem jest w tym wypadku Polska. Np. mówi przez usta Novikowskiego: „gdziekolwiek polskie serca jeszcze pamiętały swoją ojczyznę, Polska zawsze żyła — czy to w Niemczech, czy w Australii”.

Tłem ogólnym powieści jest życie współczesne w Australii, dokładnie mówiąc rok 1949. Całą książkę przenikają problemy socjalne i kulturalne tego kontynentu, ze specjalnym zwróceniem uwagi na stosunek Australij-

*) *Riverslake*, by T.A.G. Hungerford, str. 252, Angus & Robertson, London-Sydney 1953.

czyków do cudzoziemców. Autor, w osobie głównego bohatera, Randolpha, staje stanowczo po stronie Europejczyków. Dostrzega wśród łopaciarzy doktorów, artystów i muzyków; zdaje sobie sprawę, że „to była cena jaką płacili za wolność — niektórzy, na całe życie”. I to „w kraju, gdzie większy jest brak lekarzy, niż robotników”. Hungerford opisuje okropne traktowanie emigrantów w Riverslake. Wszyscy nazywani są „Bloody Balts”. Słowo „Balt” oznacza nie tylko Bałtów właściwych, ale również Polaków, Czechów, Węgrów czy Jugosłowian, — wszystkich, którzy wywodzą się z Środkowej Europy. W późniejszym okresie wprowadzono urzędowo słowo „New Australian”, które prawie wyparło termin poprzedni.

Obraz jest tak ponury, że po przeczytaniu tej książki nikt by nie wyjechał z Europy do Australii. Obaj Polacy buntują się przeciw stosunkom i traktowaniu. — Novikowski mówi: „Jeśli nie miałbym co jeść, jeśli nie miałbym z czego żyć, to jeszcze byłbym człowiekiem w Niemczech. Byłbym Polakiem. Byłbym Stefanem Novikowskim”. Radinski jest podobnego zdania, dodając, że po kontrakcie imigranci rozjadą się do „Ameryki, Południowej Ameryki, Kanady, z powrotem do Niemiec”. Nawet dyrektor obozu, dzielny typ Australijczyka, który nie tylko dyplomacją, ale i pięścią potrafi utrzymać w ryzach prawie tysiąc ludzi, mówi: „dziewięćdziesiąt procent tych ludzi wróci do Europy, gdy tylko pokończą kontrakty”.

Jakkolwiek w swoim czasie protestowałem na łamach polskiej prasy emigracyjnej przeciw zbyt różowemu przedstawianiu australijskiej rzeczywistości, to wydaje mi się, że obraz Australii w *Riverslake* pokazany jest w zbyt ciemnym świetle. Nie można powiedzieć, by był to obraz fałszywy, lecz malujący wąski odcinek życia i to od najgorszej strony.

Ale wróćmy do powieści. Polscy bohaterowie kończą tragicznie. Novikowski wygrywa w karty pokazną sumę pieniędzy, a jego przyjaciel, jeden z młodych Australijczyków, podsuwa mu myśl kupna farmy. Pod wpływem tych sugestii w Stefanie budzi się typowo polska miłość do ziemi i zapomina o swoim zamiarze powrotu do Niemiec. „Ta ziemia będzie go wiązać”. „Nie ta bogata, czarna gleba Polski, która była uprawiana i młowana setki lat, przez jego ojców i pradziadów, ale dziewicza ziemia dzikiego kraju”. Niestety Australijczyk, typ półbandyty, okrada go z pieniędzy. Stefan domyśla się kto to zrobił; idzie do sprawcy i raniąc go, zresztą powierzchownie nożem, odbiera swoją własność. Australijczycy, zapominając o przyczynie zajścia, są oburzeni na Polaka. Randolph staje po stronie Novikowskiego, narażając się na gniew ziomeków. Po kilku dniach znajduje Stefana w nocy, zupełnie zmasakrowanego. Novikowski dogorywa w szpitalu.

Oprócz problemu imigracji, Hungerford ukazuje siłę i terror związków zawodowych. Podkreśla również bezklasowość społeczeństwa opisując jak kucharze, członkowie parlamentu, szoferzy i urzędnicy wspólnie spędzają czas na zebraniach i rozmowach towarzyskich.

Powieść Hungerforda czyta się gładko i ciekawie. Akcja toczy się żywo. Dialogi są na ogół bardzo zgrabnie napisane, a w wielu scenach uderza silny realizm. Nie brak też humoru i ironii.

Riverslake nie można przypisać dużych wartości literackich, tym niemniej jest to lektura ciekawa. Poza tym książka ta ma wartość pódokumentalną, jako obraz życia emigrantów i rozwoju Australii.

Lech PASZKOWSKI

Technika a wolność

Katolicy nie tylko dla tego najgłębiej analizują cywilizację przemysłową, że zagraża ona przede wszystkim wartościom, które dla katolicyzmu są wartościami najwyższymi, ale i dla tego, że spełnia ona przeciw główną misję „katolicką” — europeizuje świat. Jeżeli kartezjański idealizm miał sens polityczny, sens ten tkwi w upowszechnieniu Kościoła, który Średniowiecze zamknęło w granicach Europy. Nie ma w tym nic przypadkowego, że triumfy racjonalizmu — tak oczywiste w dziedzinie materialnej — kończą się odwrotem od idealizmu ku realizmowi, czy to w formie marksistowskiej czy tomistycznej. Jeżeli cywilizacja techniczna ma pozostać europejską, musi wrócić do swych źródeł.

Można metodycznie wątpić, gdy się wie, co jest niewątpliwe. Myśl europejska poddała wątpliwości nie tylko oczywistość, ale wszelką w ogóle rzeczywistość. Kartezjusz jeszcze wątpił, by uzyskać pewność — my już wątpimy, bo chcemy być wolni. Katolikowi francuskiemu, Bernanosowi, jednej z najzarliwszych natur Europy, do końca życia nie da spokoju nietzscheańskie pytanie: „Wolność, ale po co?” (*). Wolność pozbawiła nas poczucia, a nawet potrzeby niewątpliwości. Odbija się to na niej samej, bo wolność „umiera w sercu ludzi”.

„Musimy ratować człowieka bez zwłoki, bo jutro może nie zechce już być ratowany... Mechanizacja świata odpowiada rzeczywistej tęsknocie współczesnego człowieka, tęsknocie nie wyznanej, wstydlivej, tęsknocie do rezygnacji, do obezwłasnowolnienia”. Tę tęsknotę cywilizacja techniczna gotowa zaspokoić, bo jest jej bardzo na rękę. Problem sprawiedliwości społecznej — zauważa Bernanos — widzi ona jako problem „materiału ludzkiego”.

„Materiał ludzki trzeba pielęgnować, jak każdy materiał. Wolność nie tylko nie sprzyja jego wydajności, ale zmniejsza ją i ilościowo i jakościowo. Do czegoż w świecie maszyn może służyć wolność? Czyż nawet „demokracje nie stały się niemal wszędzie dyktaturami ekonomicznymi”?

A przeciw maszyn nie należy niszczyć. Tak samo myślała Simone Weil, która chciała uratować nawet strukturę przemysłu, nawet morderczą racjonalizację pracy. Zapewne, w technice Europa znalazła środek swej misji „katolickiej”, tj. powszechnej. Zburzyć maszyny, to udaremnić całą przyszłość Europy. Ale od zachowania cywilizacji przemysłowej do poddania się jej z rezygnacją, tj. do wiary w przemysłowy determinizm, droga jest daleka i katolik nie może na nią wejść. Więc co robić?

Simone Weil patrzyła na każde atelier fabryczne jak na wioskę galijską, z której może wyjść zbawienie. Żyła nadzieją, że powstanie w jakiejś nieznannej fabryce Pierwsza Gmina, która dokona transsubstancjacji doli robotniczej — nie od góry, nie przez wysiłek inteligentów, ale przez zryw robotników. Zryw nie polityczny, nie społeczny, nie rewindykacyjny — mistyczny!

Bernanos zapatrzony jest w Rewolucję Francuską, która była jego przeżyciem mistycznym. „La France pariera pour l'homme!” Pamiętajmy, że koncepcję tę wykladał w odczytach, które jako emigrant polityczny wygłaszał do okupowanej Francji. Cała „Résistance” wierzyła wówczas w podobną misję Francji. Skończyło się na tym, co jest i na neutralizmie. Ale Bernanos nie dożył tego rozczarowania. Wielu résistantialistów dziękuje Bogu, że nie musi słuchać słów, jakie by znajdował, gdyby żył.

*) Georges Bernanos, *Liberté pour quoi faire?* Gallimard.

(j.u.)

Most absolutny

Ukazuje się ciągle sporo książek, których tematy są za-czerpnięte z doświadczeń ostatniej wojny. Powieść napisana przez Francuza Pierre Bulle *) albo raczej długa nowela, jeżeli o przynależności do tego rodzaju literackiego decyduje układ opisów zgrupowanych dokoła jednego zdarzenia — pozostałyby w tej serii dokumentów historycznych gdyby nie szczególnie zamiar autora. Daje on studium charakterologiczne pewnej postaci, zajmującej dotychczas w świecie miejsce dość pokazne. Fakty służą tylko do podkreślenia cech typowych i możemy sobie wyobrazić że powieściopisarz przyglądając się w jakimś kasynie wojskowym angielskiemu rumianemu pułkownikowi, zastanawiał się jak ten człowiek zachowałby się w różnych okolicznościach. Pisząc, wymyślił sytuację w której bohater został poddany próbie.

Pułkownik Nicholson jest wzorowym żołnierzem i patriotą. Po klęsce na półwyspie malajskim dostaje się do niewoli japońskiej. W obozie jeńców przewiezionych w dżunglę na granicy Burmy i Thailandu jest najstarszym hierarchicznie oficerem i główną jego troską jest utrzymanie wśród żołnierzy ducha i dyscypliny. Jeńcy w tym obozie są używani do budowy mostu o znaczeniu strategicznym na rzece Kwai. Nicholson toczy wojnę z japońskim komendantem obozu, Saito, podsuwając mu pod nos międzynarodowe konwencje, czym stale doprowadza go do wściekłości. Kiedy Saito wydaje rozkaz żeby oficerowie pracowali fizycznie, tak jak żołnierze, Nicholson mówi kategorycznie nie, i ze stoicyzmem znosi tortury. Japończyk przegrywa: żołnierze angielscy na budowie uprawiają sabotaż, nie można z nimi dać rady bez angielskich oficerów, a komendant umiera ze strachu przed przełożonymi widząc, że nie zdoła w tych warunkach skończyć mostu na termin. Nicholson, wypuszczony z aresztu i już znów, półoficjalnie, dowódca, robi przegląd budowy i jest pełen obrzydzenia dla partactwa Japończyków. Postanawia pokazać żołnierzom małym jak się robi przyzwoitą robotę. Od przestraszonego Saity dostaje zgodę na objęcie kierownictwa budowy. Angielscy inżynierowie opracowują plany, wkrótce most jest na ukończeniu.

Drobny szkopuł: jest to most, przez który mają iść pociągi z wojskiem japońskim w przygotowywanej inwazji na Indie. To jednak nie istnieje w świadomości Nicholsona. Istnieje tylko most — rzeklibyśmy przez wielkie M — zadanie które może wykonać dobrze tylko biały człowiek, istnieje duma z wypełnionego obowiązku utrzymania ducha i dyscypliny wśród podwładnych. Tymczasem trzej emisariusze brytyjskiego wywiadu, zrzucony z samolotu w dżunglę nad rzeką Kwai, przygotowują się do wy-sadzenia mostu. W nocy podpływają na tratwie pod filary, umocowują ładunki plastiku, a jeden z nich, Joyce, umieszcza się

w zaroślach przy kontakcie żeby wysadzić most rano, kiedy wjedzie pierwszy japoński pociąg. W nocy poziom rzeki nagle opada. Nicholson rano spaceruje po moście, zauważa ładunki i drut. Alarmuje Saitę, razem idą ku zaroślom. Młody Joyce wyskakuje z kryjóWKi, podrzyna Saicie gardło. Ale Nicholson rzuca się na niego i Joyce ma za miękkie serce, żeby zabić angielskiego oficera. Nie był przygotowany na tak niespodziewaną interwencję. Nadbiegają Japończycy. Most jest ocalony.

Wyjątkowy wypadek szaleństwa? Nicholson był dzielnym człowiekiem. Umiał jednak myśleć tylko przegródkami. Osiągnięcie techniczne nabierało dla niego wartości absolutnej. Wymyślał mu się cel jego działalności. Oczywiście łatwo przypuścić, że ten typ ludzki ma wiele odmian i że lojalność ślepa może występować na różnych „piętrach”, na przykład kiedy chodzi o hasła, które przekształcają się w coś nietykalnego, niekontrolowanego rozumem. Jest tutaj drażliwy punkt styczny pomiędzy prawdziwym patosem wierności i automatyzmem, który może rodzić nawet zbrodnie, popełniane z czystym sumieniem. Potomkowie arystokratycznych rodzin niemieckich, na przykład, sprawując wysokie funkcje w armii Hitlera, byli ze swoją etyką w porządku właśnie dzięki zamykaniu się w swoim „obowiązku zawodowym”. Nie dostatecznie się myśli o skomplikowanym procesie psychicznym u tych niewielu, którzy wybrali „drogę zdrady” (później na ogrodzone przegródki czy szacunek dla hasła „wyabsolutnionych” były w ich umysłach niedoskonałe). Ten problem zaprzęta u nas m.in. Słowackiego („Słzi krzycząc: Polska! Polska! — wtem jednego razu/Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu;/Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,/Słzi dalej krzycząc: Boże! Ojczyzna! Ojczyzna!/Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,/Spojrzał na te krzyczące i zapytał: Jaka?).

Pułkownik Nicholson, czujemy to, nie jest w intencji autora tylko przykładem starej gwardii kolonialnej, określonej przez motto z Józefa Conrada. Ukazuje się jako personifikacja zaślepienia. Bogactwo znaczeń zawarte w tej krótkiej powieści, napisanej rzeczowym spokojnym językiem, wyróżnia ją spośród se-tek utworów nie mających równie przemyślanego celu.

Czesław MIŁOSZ

Dwie powieści o Wrześniu

Reżim komunistyczny w Polsce dołożył wszelkich starań, aby odpowiedzialność za klęskę wrześniową roku 1939 rzucić wyłącznie na ówczesny rząd polski i naczelne dowództwo. Z historyków pośpieszył komunistom z pomocą płk. Jerzy Kirchmayer, którego pracę pt. *Kampania wrześniowa* wydał „Czytelnik” jesz-

*) *Le Pont de la rivière Kwai*, Plon, 1953.

cze w roku 1946. Książka ta jednak nie zadowoliła politruków : w kilka lat później Kirchmayera zlikwidowano i „na odcinku wrześniowym” zapanowała w Kraju cisza. Dopiero w roku bieżącym nagrodami państwowymi wyróżniono powieści : Jerzego Putramenta — *Wrzesień*, i Wojciecha Żukrowskiego — *Dni Kłeski* *).



Usłużna krytyka socrealistyczna nazwała *Wrzesień* „eposem oszukanego narodu”, a naczelny krytyk grupy „Dziś i Jutro”, Zygmunt Lichniak, pobił wszystkie rekordy lizusostwa wieńcząc dzieło głównego politruka Związku Literatów Polskich takimi superlatywami, na jakie nie zdobyli się nawet najgorliwsi komuniści. Więcej jeszcze : Lichniak uznał za zalety powieści także jaskrawe błędy artystyczne, z których wyśpiewał się sam Putrament w dyskusji publicznej w dniu 21 października 1952 r. **). W tejże dyskusji autor *Września* z całą szczerością przyznał, że w opisie tragedii wrześniowej zupełnie świadomie opuścił wszystkie epizody bohaterskie i lokalne sukcesy polskie — jak obronę Westerplatte, bitwę pod Kutnem itp. — aby, jak powiedział, „wydobyć pewien akcent historiozoficzny”.

Te zwierzenia są ważne, gdyż określają zamiar artystyczny, którego ustalenie winno być punktem wyjścia każdej metodycznej krytyki, gdyż jej celem jest przecież odpowiedź na pytanie, czy i jak autor wykonał zamiar swojego dzieła.

Cechy zewnętrzne tej powieści — jak wielowątkowość, duże rozmiary, brak głównego bohatera, podejmowanie opisu różnych środowisk — świadczą wyraźnie, że zamiarem autora było napisanie epepej kłeski wrześniowej. Z drugiej strony niedyskrepcje Putramenta w czasie wspomnianej dyskusji mówią wyraźnie, że z samego założenia miała to być epepeja fałszywa, bo pomijająca bardzo ważne wydarzenia narodowe opisywanego okresu, świadczącego o woli oporu i bohaterskiej postawie narodu i żołnierza polskiego. Jeśli dodamy, że dzieło to pomyślane było jako utwór socrealistyczny, to jest podporządkowany filozofii i metodzie materializmu dialektycznego — to jasne będzie, iż z takich przesłanek nie mógł powstać utwór epicki. I nie powstał.

Pozostańmy jednak wierni zasadzie rozpatrywania osiągnięcia w ramach zamiarów twórcy. Skoro Putrament dobrowolnie uniemożliwił sobie napisanie epepej, spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, czy zdołał w sposób artystyczny przeprowadzić swój węższy zamiar. Mianowicie, czy udało mu się napisać powieść, przekonywującą czytelnika, że kłeska wrześniowa zawiniona była wyłącznie przez „kapitalistyczno-faszystowską klikę sanacyjną”,

* Putrament Jerzy, *Wrzesień*, Wyd. III, Wydawn. Min. Obr. Narod., Warszawa, 1953, str. 420; Żukrowski Wojciech, *Dni Kłeski*, Wydawn. Min. Obr. Nar., Warszawa, 1952, str. 307.

** Patrz „Nowa Kultura” Nr 46 z 1952 i „Dziś i Jutro” Nr 47 z 1952 r.

która otumaniała lub sterroryzowała cały naród i której przeciwstawili się tylko komuniści, rzekomo jedyni prawdziwi wrogowie niemieckiego faszyzmu? Rozstrzygnięcie tej kwestii wymaga bliższego przyjrzenia się utworowi Putramenta.

Aby sprostać swym apriorycznym założeniom, autor *Września* uciekł się do bardzo prostego zabiegu. Historyczne *dramatis personae* — jak Rydza, Becka, Szembeka, Stachewicza i Składkowskiego — umieścił w tle i spróbował scharakteryzować małymi scenkami lub kilkoma pociągnięciami pióra. Na plan pierwszy wysunął natomiast wymyślone przez siebie postacie fikcyjne, którym kazał działać w sposób rozstrzygający i rzekomo reprezentatywny dla środowisk, w jakich je umieścił. Mamy więc szarą eminencję rządową — wiceministra spraw wewnętrznych Burdę, mamy rzekomy *spiritus movens* sztabu naczelnego wodza, płk. Rąbicza, i typowego (w intencji autora) przedstawiciela legionowej generacji, generała Dęba-Friedeberga. Dziennikarstwo sanacyjne reprezentuje niejaka Gaysse-Tarnobrzeška, kapitał międzynarodowy — enigmatyczny Vestri itd., itd. W zasadzie takie pomieszenie postaci historycznych z fikcyjnymi można by uznać za chwyt zupełnie uprawniony — gdyby osoby fikcyjne zostały ustawione realistycznie w stosunku do historycznych i gdyby miały dość życia, aby udźwignąć przydzielone im role. Żaden z tych warunków nie został spełniony. Sylwetki prawdziwych wodzów i dygnitarzy są w powieści Putramenta zbyt nikle, a jego własni bohaterowie zbyt nierealni i papierowi, by wywołać złudzenie życia. Galeria owych Burdów, Dębów, Rąbiczków *et tutti quanti* — to po prostu taśmowo wyprodukowane kukielki. Wszystkie nakręcone są jednym kluczem. Chorobliwa ambicja, próżność, żądza pozorów władzy i nienawiść do konkurentów — oto cechy tych pseudocharakterów, powtarzające się do znudzenia. Żadnej niespodzianki, ani jednego odruchu bezinteresowności, czy szlachetności : nikczemność, małostkowość, najwyższej — jak u Dęba-Friedeberga — groteskowa poza, głupawy, pijacki odruch fałszywej dumy, znów zrodzonej z neurotycznej ambicji. Polityka i nienawiść do ludzi tak przeżarły autora *Września*, że nawet dla swego Markiewicza — jedynej postaci, której „pozytywny rozwój” chciał pokazać czytelnikowi — nie ma słów ciepłych : traktuje go z lekceważeniem, niemal z pobłażliwą pogardą. W momencie przełomowym, gdy ten głupawy, ale poczciwy podporucznik zaczyna rozumieć, że tylko komuniści są coś warcu, Putrament pokazuje go jako „oficerka”, u którego „coś tam się dzieje w tej niedużej łepetynie”.

Ale może przynajmniej komuniści odmalowani są żywo? Bynajmniej. Ta kategoria bohaterów wypadła jeszcze gorzej, do czego przyznał się sam Putrament w czasie wspomnianej dyskusji. Oto jego własne słowa (ze szczególnym kabotyństwem wypowiedziane w trzeciej osobie, „z punktu widzenia sekretarza Z.L.P.” :

„(autor) bardzo słabo zna środowisko robotnicze, ludowe (...) do części swych bohaterów podchodzi jak do dzieci, usiłuje ich udziecinnić (...) Możli-

na by postawić zarzut (...), że postacie burżuazyjne są (...) oddane z dużą pasją, podczas gdy bohaterowie pochodzący z ludu są postaciami 'bledszymi'".

Jest sporo prawdy w tym wyznaniu. Nie można odmówić autorowi czegoś w rodzaju pasji — raczej zaciekłości — w partiach satyrycznych. Nie posiadając epickiego dystansu Putrament potrafił jednak miejscami uskrzydlić swą nienawiść jakąś trafną metaforą, jakimś drapieżnym chwytem satyryka. Ubogie to na ogół, i niedostateczne, aby tchnąć życie w kukielki generałów i dygnitarzy, ale zawsze coś. Tego czegoś brakuje przy kreśleniu postaci komunistów: jego Walczak, Krygier, Kalwe, czy Krawczyk (cudownie uzdrowiony nienawiścią do faszyzmu i podpalający czołg niemiecki w bzdurnie nieprawdopodobnych okolicznościach) — to nawet nie kukielki — to chodzące megafony do wygłaszania frazesów żargonem komunistycznym.

Tak przedstawia się „realizm” *Września* w sprawach „domowych” Putramenta. Czy możemy się spodziewać od niego większej prawdomówności w rzeczach ogólnonarodowych? Byłoby to naiwne wymaganie. Putramentowi nie wystarcza klejenie papierowych ludzi, mających udowodniać jego polityczne założenia. Bezceremonialnie tworzy całe armie (jak nieistniejącą w źródłach Grupę Prusy), do sztabu naczelnego wodza wprowadza fantastycznego potentata drugiego oddziału, a zarazem szpiega i dywersanta niemieckiego, kpt. Słizowskiego, który skrytobójczo usuwa jedyne zdrowo myślącego stratega, a następnie przy pomocy fałszywego rozkazu likwiduje opór armii Narew. A wszystkie te fantazje snuje autor jakoś szkicowo, z bezczelną arogancją i jakby z pogardą dla głupoty czytelnika — słowem, w sposób gazeciarski, nieartystyczny, zgoła nieprzekonywujący.

Kompozycja powieści, wzorowana na *Komunistach* Aragona, zawiera jaskrawe błędy, do których autor musiał się przyznać w swej samokrytyce. Mniejsza z tym, że gubione są wątki — jest to dopuszczalne w utworach tego typu, jeśli takie frędzle uzupełniają całość. Ale u Putramenta inaczej. To już nie frędzle, to kłaki, wystające ze źle zeszytego wora.

Wreszcie styl i język. Otóż to — tych „stylów” jest aż kilka. Zaczyna się rozlewnie, wielkimi rzutami, trochę manierą Brezy i Kadena — tylko znacznie gorzej. Potem mamy rytm nerwowy, silenie się na metafory, na skróty, symbolizmy i jędrne zdania. Jak papierowy kwiatek do kozucha przyczepiono historię technicznego Janka Muzykanta, zabitego przez niemieckiego lotnika — napisaną wyraźnie pod Prusa. Nie pomoże tłumaczenie Putramenta, że tworzył swą książkę w kilku rzutach w chwilach wolnych od dyplomatycznych zajęć. To nikogo nie obchodzi: mógł ją pisać choćby nogami na suficie, byle integralnie i w jednym tonie. I bez błędów stylistycznych i językowych, których mógł uniknąć autor opowiadań „Święta kulo”, wśród których znalazły się rzeczy dobre, może nawet wybitne.

W sumie *Wrzesień* jest nieporozumieniem i jaskrawym wodem artystycznego upadku nie pierwszorzędnego zresztą, ale zdolnego autora. Putrament nie zdołał spełnić nawet swego węższego, półartystycznego zamiaru. Z realizmem, nawet z trochę inteligentniej pojmovanym socrealizmem powieść jego nic nie ma wspólnego. Jest to jakieś dzikie skrzyżowanie taniej publicystyki, paszkwilu i lichej beletrystyki fantastycznej.

Na tle niehumanistycznej, suchej i artystycznie lichej powieści Putramenta *Dni Kłęski* Wojciecha Żukrowskiego, choć nagrodzone tylko III-cią nagrodą państwową, wyglądają niemal na arcydzieło. Ale nawet w oderwaniu od tego marnego tła dzieła autora pięknych opowiadań wojennych *Z kraju milczenia* stoi silnie i stać będzie w literaturze polskiej mocą swej artystycznej prozy, siłą wizji i wielkim ładunkiem prawdy historycznej, polskiej i ogólnoludzkiej.

Żukrowski nie zamierzał tworzyć epeji wrześniowej. Zamyśl swój ograniczył do znanego z własnych przeżyć, niemałego zresztą epizodu — walk armii Narew na przestrzeni od Rożan do Chelma. Pod względem czasu ta bezpretensjonalna, jednowątkowa, formalnie prawie kronikarska powieść obejmuje mobilizację sierpniową, sukcesy i porażki wspomnianej grupy wojskowej, jej ponowną koncentrację po kłęsce, wkroczenie armii czerwonej w dniu 17 września i parę tygodni panowania bolszewickiego nad Bugiem. Gdy Putrament, opisując pierwsze dni obrony Warszawy (w jego wersji opór organizują, oczywiście, komuniści), nie dostrzega w ogóle postaci Starzyńskiego — Żukrowski, mimo oddalenia swej akcji powieściowej od stolicy, znalazł ciepłe słowa dla wielkiego Prezydenta.

Głównymi bohaterami *Dni Kłęski* są podchorąży Antoni Nowosad i jego młodzi koledzy. Otaczają ich żołnierze, oficerowie, uciekający przed najeźdźcą cywile — wszyscy żywi, kreśleni pewnym piórem rasowego pisarza, znającego czas wojny, czującego ludzi, chłonącego świat wszystkimi zmysłami, sercem i głową. Choć może mniej metaforyczna od innych utworów Żukrowskiego, proza *Dni Kłęski* mieni się bogactwem obrazów, tętni odgłosami prawdziwej wojny; w chwilach zaciszniejszych, gdy zmordowane wojsko spoczywa na biwaku — rozbrzmiewa lotem ptaków, pachnie ziemią i dymem pogorzeliisk. Jest w tej książce walka i męstwo, jest strach i romantyczna brawura podchorążego Babickiego, spryt i rubaszny humor rozmaitych kaprali Górnickich, Kamrajów, czy Doboszków. Jest radość małych zwycięstw i wielki smutek kłęski; wściekłość, rozpacz pobitych, ale i nadzieja tych, co nie stracili wiary.

Mimo skromności swych założeń, Żukrowski dał powieść o szerokim, epickim oddechu. Jest to książka nie tylko dobrze napisana, ale głęboko przeżyta i przemyślana. Ten dystans, któ-

rego brak Putramentowi, rozstrzyga o wartości osiągnięcia — ponad zamiar artysty.

Mamy w *Dniach Klęski* paru „dobrych komunistów”. Jak u Putramenta, są to również byli więźniowie. Jak we *Wrześniu*, jeden z nich niszczy czołg niemiecki zapalając go butelkami z naftą. Ha, trudno — widać jest to czynność zarezerwowana dla komunistów w ułożonym przez naczelnego politruka regulaminie powieści wojennych (choć Żukrowski pozwolił rozbić inny czołg „reakcjonistów” Gembarzewskiemu przy pomocy rusznicy przeciwpancernej). Ci komuniści w *Dniach Klęski* są mniej przekonujący od reszty mięsistych bohaterów powieści, ale bez porównania żywi od automatów arcykomunisty Putramenta.

Powieść Żukrowskiego kończy się sceną pomyślaną prawdopodobnie jako rodzaj dygu czy hołdu pod adresem wschodniego sąsiada. Podchorąży Nowosad, ciężko zraniony przez dotkniętego zbiorową psychozą, wężącego rzekomych dywersantów polskiego zupaka, oddaje się dobrowolnie pod opiekę krasnoarmiejców, „aby móc walczyć dalej”. Niestety, kolego Żukrowski, my znamy dobrze dalsze dzieje pańskiego bohatera: niewolę sowiecką, łagry, a może grób masowy w łasku Katyńskim.

Janusz JASIEŃCZYK

Notatki wydawnicze

René de Solier jest wnikliwym i inteligentnym krytykiem literackim i krytykiem sztuki. Jego ostatnia powieść, *Les Gardes* (Gallimard, Paris, 1952) jest zamkniętym labiryntem słów i myśli. Czas? Początek XX wieku. Miejsce? Zapadła francuska prowincja — Limousin. Ale ani czas, ani miejsce, ani nawet ludzie nie mają w tej dziwnej powieści znaczenia. Warto natomiast posłuchać co mówią w niej automaty, w które autor włożył własną bogatą erudycję i wiedzę o życiu.

O pierwszych latach Rilkego — poety pisze młody pisarz czeski na wgnaniu Peter Demetz. Jego książka, *Rene Rilkes Prager Jahre* (Duesseldorf, 1953) daje nam ciekawy obraz tej literackiej Pragi Rilkego i Kafki, w której język niemiecki miał prawo obywatelstwa narówni z czeskim. Okazuje się, że Rilke był w pierwszych latach młodości miernym, banalnym poetą, piszącym banalne, symboliczne wiersze. Skąd późniejszy wspaniały wzlot? Trudno jest znaleźć na to odpowiedź w samym życiu Rilkego, borykającego się z kłopotami pieniężnymi, prowadzącego snobistyczne korespondencje z duchessami. A jednak gdzieś pomiędzy studium Rodina i rezydencją książąt Turn und Taxis pod pozorną anemią bytu dojrzewały „Elegie z Duino”.

Korespondencja Rilkego z Gide'm (Corréa, Paris, 1953) dość nieoczekiwanie potwierdza tezę o „kompleksie niższości” środkowo-europejskich

pisarzy wobec wielkiej zachodniej literatury, rozwiniętą niedawno w „Kulturze” przez Gombrowicza. Wielki poeta zwraca się do Gide'a trochę jak uczeń do mistrza, urzeczony jego prestiżem i — narodowością. Gide jest grzeczny, nawet zaciekawiony, ale nieco protekcyjny. Nie zdaje sobie w każdym razie sprawy z tego, że poezja Rilkego zachowa wagę dzieła sztuki, pokona czas i przestrzeń, podczas gdy jego własne dzieło pozostanie chyba zawsze w pierwszym rzędzie charakterystycznym wyrazem epoki.

Młodzi pisarze włoscy często pozwalają nam odkryć na nowo rzeczywistość tej włoskiej prowincji, którą stuletnia tradycja literacka francuska, niemiecka i anglosaska zakryła mgłą, jednolitego banału. Ale myślą się krytycy literacy dzisiejszej Polski, którzy widzą w Piemencie Pavese, we Florencji Prataliniego, w Sycylii Vittoriniego odpowiednik „socialistycznego realizmu” (tu należy dodać: widzą aż do chwili kiedy Pratalini czy Vittorini opuszczają szeregi partii). Młoda powieść włoska jest realistyczna, nawet brutalnie realistyczna, ale różni się ona od dydaktycznego reportażu polskiego zasadniczo: wybór tematu i atmosfery nie jest nigdy w Włochów przypadkowy i istnieją głębokie wewnętrzne powiązania pomiędzy nudą i pustką młodych burżujów z Turynu i samobójstwem Pavese; pomiędzy prostytutkami z przedmieścia Florencji i żywotnością połączoną ze zwątpieniem u Prataliniego; pomiędzy siłą, węzłowatością sycylijskich chłopów i nadzieją wbrew rzeczywistości u Vittoriniego. Tak jak wszyscy autentyczni pisarze, ci Włosi nie opisują „fabryki”, czy „życia robotników”, ale przede wszystkim swoje własne głębokie problemy: nawet krajobraz obdrapanych pólów staje się poniekąd ich „wewnętrznym krajobrazem”.

Ten „subiektywizm” w terminologii socrealistycznej (czyli innymi słowy ten wysiłek stworzenia dzieła sztuki) widoczny jest także w książce Anay Marii Ortese, *Il Mare non Bagna Napoli* (Einaudi, Milano, 1953). Jest to rzeczywistość Neapol, który nic nie ma wspólnego z „O Sole Mio”, czy z nadmorską promenadą na Via Caracciolo. Ortese opisuje mrowisko ludzkie z zaułków na Monte di Dio, burbońskie koszary koło Portici w których gniewdzą się — po dziesięć rodzin na salę — tysiące bezrobotnych. Książka Ortese daje obraz przerażający, ale beznamiętny. Nie jest to książka „humanitarna”, ani nawet „społeczna”, pomimo gorzkiej lekcji jaką daje włoskiej burżuazji i kościółowi. Gdyż Anna Maria Ortese odczuwa nędzę Neapolu z jej okrutnym pięknem tak jakby odczuwała swą własną chorobę.

Pamiętniki dygnitarzy wiele zyskują na braku inteligencji, wyobraźni i osobowości autorów. Pisząc swe *Souvenirs* (Albin Michel, Paris, 1953), zacytuje prezesa sądu apelacyjnego w stanie spoczynku, Pierre Bouchardon, przypuszczając zapewne, że opisuje swe własne życie „własnymi słowami”. Tymczasem mamy tu do czynienia z kapitalną próbą stworzenia pamiętników takich jakie *powinien* napisać wysoki dygnitarz Trzeciej Republiki w pierwszej połowie XX wieku. Wszystko się zgadza! I balast powierzchownej „klasycznej kultury” i „esprit gaulois” i wszystkie banały Monsieur Prudhomme. Od procesu Mata-Hari aż po świetne sceny ucieczki w popołudniu wszystkich najwyższych „Magistrats” francuskich w 1940 r., mamy przed sobą zawsze autentyczne „źródło” historii tej „sukiennej szlachty” (jak ka-prys francuskiego języka nazywał królewską magistraturę) na służbie Marianny.

Przegląd miesięczników

Październikowy numer *Preuves* zawiera ciekawą analizę ekonomicznych przemian w Sowietach. Po raz pierwszy w sierpniowej mowie Mołotowa i we wrześniowej mowie Chruszczowa przed Komitetem Centralnym władze sowieckie ujawniły olbrzymie niedobory rolnictwa. Lekarstwem ma być, jak się wydaje, nowa forma NEPu. Zwraca uwagę w mowie Mołotowa i Chruszczowa brak jakiegokolwiek aluzji do Eysenki, podczas gdy o Miczurinie wspomina się tylko w związku z jakąś nową metodą siewu kartofli (bez żadnej pretensji do biologicznej rewolucji). Ani słowa również o „wielkich robotach”, które miały zapłodnić cały Turkiestan i część południowej Syberii i które zostały prawdopodobnie zarzucone.

W tymże numerze Raymond Aron daje ciekawy prognostyk co do przyszłości stalinowskiej Rosji:

„Pomiędzy „demokratycznym odrodzeniem”, stalinizmem i bonapartyzmem jest miejsce na szereg form pośrednich. Utrwalenie stalinizmu bez zmian jest nieprawdopodobne, gdyż wymagałoby to jedynowładcy, a z chwilą, gdy jakiś spadkobierca objąłby niepodzielnie tron, musiałby nadać własną pieczęć reżimowi, tak jak to zrobił Stalin. Kilka patologicznych objawów stalinizmu — kult zmumifikowanego Lenina czy żywego Stalina, wyznania dobrowolnie oskarżonych, nieomyślność państwa w dziedzinie nauki — powinno zniknąć lub stracić na sile ze względu na stabilizację klasy burżuazyjno-biurokratycznej i na podwyższenie poziomu umysłowego całej ludności. Słusznie się przypomina różnym specom zachodnim, że stalinizm nie jest niezmienny, tak jak Stalin nie był nieśmiertelny.

„Poza tymi ogólnikami, schemat rozwoju byłby następujący: 1) Czy reżim sowiecki, nawet zliberalizowany, może istnieć bez jedynowładcy? Otóż członkowie Prezydium muszą starać się przeszkodzić wywyższeniu Malenkowa, gdyż autorytet jego byłby całkowity dopiero gdyby mógł uśmiercić swoich towarzyszy. 2) Przypuśćmy że dojdzie do koncesji wobec ludności: zwiększenia siły kupna robotników, powrotu do pewnych form własności prywatnej chłopów, zwiększenia pewności bytu burżuazji: wiadomo że dyktatura naraża się na rozkład z chwilą liberalizacji. Jakie koncesje mogą zrobić następcy Stalina nie naruszając swej władzy, którą chcą w pierwszym rzędzie utrzymać? 3) Stalinizm stworzył gospodarkę planowania z własnością kolektywną w rolnictwie i przemyśle. Jakie wolności może stawić takie społeczeństwo? Do jakiego stopnia biurokracja może się obejść bez usprawiedliwiającej ją ideologii? Jedność Partii i nieomyślność państwa nie są jeszcze równoznaczne z totalitarnym szaleństwem, ale wykluczają koncepcję prawa i wolności politycznej jak ją pojmujemy na zachodzie.

„W bezpośredniej przyszłości, rozwój reżimu sowieckiego wydaje mi się zależny od dwóch czynników: dopóki nie będzie jedynowładcy, rozluźnienie tyranii jest nieuniknione. Dopóki Sowiety będą chciały zachować swój wpływ na Europie, swe wojska w Weimarze i swoją całkowitą władzę nad satelitami, dopóty reformy wewnętrzne podporządkowane będą wymogom zimnej wojny.

„Te dwa czynniki, przeciwne sobie, zakreślają granice pomiędzy którymi nastąpią przemiany reżimu.



W ostatnim numerze *Flambeau* Anatol Muhlstein wypowiada się za trzecią ewentualnością wymienioną przez Arona: za pewną formą „bonapartyzmu”. Ścisłą argumentacją logiczną i w oparciu o bogatą erudycję his-

toryczną wykazuje on że w „sprawie Berii” nie należy szukać konfliktów ściśle personalnych. Z trzech „aparatów” rosyjskich jeden — partyjny — został osłabiony zaraz po śmierci Stalina podziałem władzy pomiędzy Malenkowem i Chruszczowem; konflikt musiał wybuchnąć pomiędzy dwoma pozostałymi — policją i wojskiem. Dla Muhlsteina nie ulega wątpliwości, że w Sowietach wojsko może jeszcze nie rządzi, ale już panuje. Dlaczego nie powtórzył się Termidor? Wydaje się, że rywalizacje pomiędzy marszałkami doprowadziły, tymczasem przynajmniej, do kolektywnych i ukrytych rządów hierarchii wojskowej. W każdym społeczeństwie zmęczonym dyktaturą naturalny jest ten wzrost wpływów wojska. Armia jest zawsze bardziej związana ze społeczeństwem niż totalitarna klika rządząca. Poza tym, jak słusznie podkreśla Muhlstein, wojsko w Rosji nie brało udziału w krwawych stalinowskich represjach i to jeszcze zwiększa jego popularność. Jakie głębokie znaczenie miałyby ta zmiana dyktatury w Rosji? Muhlstein widzi w niej koniec sowieckiej teokracji, kres rządów reżimowych teologów. O ile tak jest istotnie, mielibyśmy wkrótce do czynienia w Sowietach z rządami klasycznych imperialistów, których pretensje nie będą się już rozciągały na cały świat.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

HISTORIA

- VERMEIL (E.). *L'Allemagne contemporaine sociale, politique, culturelle 1890-1950*. Tome I-er : *Le règne de Guillaume II, 1890-1918*. Pp. 384. Tome II-ème : *La République de Weimar et le Troisième Reich, 1918-1950*. Pp. 440. (Ed. Montaigne, AUBIER, Paris, 1953).
- Czortkowska ofenzywa*. Str. 37. (Wyd. Bractwa Koł. Wojakiw 1-oj Ukrainkoj Diwizii UNA. Monachium 1953).

LITERATURA

- ROPS (Daniel). *La nuit du cœur flambant*. Pp. 104. (Ed. Plon, Paris, 1953, fr. 480).
- O'HARA (Mary). *Le fils d'Adam Wyngate*. Pp. 440 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- FAULKNER (William). *Absalon ! Absalon !* Pp. 331. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 670).
- CARCO (Francis). *L'ami des peintres*. Pp. 288. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 790).

- CHAVARDES (Maurice). *Le rendez-vous de l'aube*. Pp. 237. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- MARGERIT (Robert). *La femme forte*. Pp. 229. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 390).
- HUXLEY (Aldous). *Le meilleur des mondes*. Pp. 243. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 450).
- PEYREFITTE (Roger). *La fin des ambassades*. Pp. 377. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 550).
- JAMET (C.). *L'Homme égaré*. Pp. 317. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 600).
- WERFEL (Fr.) *Pieśni o Bernadecie*. Tom I. Str. 244. Tom II. Str. 213. (Nakł. Kat. Ósrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953).
- JAROSŁAWSKA (Daria). *Pomiędzy Beregami*. Powieść. Str. 188 (Nakładem Wyd. „Kiyw”, Philadelphia, 1953. Cena dol. 2,20).
- LYSAK Oleg. *Za strilekij zwiczaj*. Powieść. Str. 341. (Wyd. Bractwa Koł. Wojakiw 1-oj Ukrainkoj Diwizii UNA (Monachium 1953)).
- KARPIENKO-KRINICA (P.). *Soldati moho legionu*. Str. 48. (Wyd. „Orlik”, Chicago, USA).

- MIEASZEWSKA (W.). *Bogactwo. Powieść współczesna*. Str. 229. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953).
- ARBAN (D.). *Dostoiewski „le coupable”*. Préface de B. de Schleezer. Pp. 271. (Ed. René Julliard, Paris, 1953, frs. 600).
- GAWALEWICZ (M.) i STACHIEWICZ (P.). *Królowa Niebios. Legendy o Matce Boskiej*. Str. 189 z 9-cioma ilustracjami P. Stachiewicza. Obwolutę projektowała Elżbieta Jonscherowa. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, Londyn, 1953, cena 15 sh.).

DOKUMENTY CHWILI

- FISCHER (Louis). *Vie et mort de Staline*. Pp. 291. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- SAINT-AULAIRE (Comte de). *Confession d'un vieux diplomate*. Pp. 794. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 1.500).
- SAINT-EXUPERY (Antoine de). *Carnets*. Pp. 242. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 350).
- MENDES-FRANCE (Pierre). *Gouverner c'est choisir*. Pp. 146. (Ed. Julliard, Paris, 1953, Collection La Nef, frs. 360).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Inny świat*. Str. 234. (Nakł. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1953. Cena 12/6 sh.).
- Les Etats-Unis, révolution permanente*. Par les rédacteurs de Fortune, avec la collaboration de Russell W. Davenport. Traduit de l'anglais par J. Pelletier. Pp. 245. (Ed. du Rocher, Monaco, 1953, frs. 495).
- TOLSTOI (T.). *Journal*. Préface par André Maurois. Pp. 345. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 630).
- ANSALDO (J. A.). *Mémoires d'un monarchiste espagnol 1931-1952*. Traduit par J. Viet. Pp. 319. (Ed. du Rocher, Monaco, 1953).

POEZJE

- PRZYŁUSKI (B.). *Strofy o malarstwie*. Str. 48. Poezje. (Wyd. Nakładem Studium Malarstwa Ształgowego Społeczności Akademickiej U.S.B. w Londynie. 1953, Druk Oficyny Stanisława Gliwy).

- RADZYMIŃSKA (J.). *Opowieść o cudzoziemcach*. Str. 80. (Nakł. Stow. Literatów i Dziennikarzy Polskich w Argentynie, Buenos Aires, 1953).
- MATEJCZYK (W.). *Tristesse éternelle*. Str. 34. (Nakładem Grupy „Rytm”, Londyn, 1953).

NAUKA

- LATIL (de Pierre). *La pensée artificielle*. Introduction à la cybernétique. Pp. 332. (Ed. Galimard, Paris, 1953, fr. 890).
- HEIDEGGER (Martin). *Kant et le problème de la métaphysique*. Introduction et traduction par Alphonse de Woelhens et Walter Biemel. Pp. 308. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 640).
- SAINT PHALLE (Alexandre de). *Le rôle social de la monnaie*. Pp. 190. (Ed. Plon, Paris, 1953).
- DUBREUL (H.). *Le travail et la civilisation*. Pp. 294. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 660).
- HAYEK (F. von). *Scientisme et sciences sociales*. Traduit de l'anglais par R. Barre. Pp. 157. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 495).
- Harvard Slavic Studies*. Vol. I. Praca zbiorowa pod redakcją H. G. Lunt'a. Tom I. Str. 396. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge, Mass., USA, 1953).
- RUDNYŃCZYK (J. B.). *Slavica canadiana A. D. 1952*. Pp. 31. (Ed. Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1953).
- LUCZIK (J.M.). *Do metodologii nazwoznawstwa*. Str. 22. (Nakł. Ukr. Wolnej Akademii Nauk, Winnipeg, Kanada, 1953).
- UNBEGAUN (B.). *L'origine du nom des Ruthènes*. Str. 12. (Nakł. Ukr. Wolnej Akademii Nauk, Winnipeg, Kanada, 1953).

RÓŻNE

- LUCYK (G. M.). *Old-Church-Slavic as a religious cult language*. Pp. 32. (Ed. Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1953).
- CIZEVSKY (D.). *Survey of slavic civilization*. Vol. I. Pp. 143. (Wyd. American Academy of Arts and Sciences, Boston, Mass., 1952).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W pierwszej części swego artykułu pt. „Totalitarna demokracja” z 9/71 zeszytu *Kultury* p. Stermiński proponuje nam przyjęcie następujących tez :

- 1) Marx pomylił się w ocenie okoliczności rozwoju przyszłych partii komunistycznych ;
- 2) „o treści i charakterze życia politycznego decydują procesy świadomości i wpływ idei” ;
- 3) „stosunki gospodarcze odgrywają rolę wtórną” ;
- 4) „Stąd też błędna jest popularna na Zachodzie teza o możliwości powstrzymania komunizmu przez podniesienie dobrobytu”.

Pierwszą tylko tezę przyjąć można bez zastrzeżeń. Trzy pozostałe nasuwają wątpliwości. Z przykładów bowiem p. Stermińskiego wyciągnąć można wprost przeciwne wnioski. Kapitalizm i uprzemysłowienie jakie obserwujemy w Ameryce i Anglii okazały się, pisze autor, niekorzystne dla rozwoju komunizmu w tych krajach. Wiemy zaś, że wysokość stopy życiowej, dobrobyt, związany jest z przemysłem. Czyż nie wynikałoby z tego, że aby zwalczać rozwój komunizmu należy podnieść stopę życiową potencjalnych rekrutów ? Przystałoby jednak żonglować logiką. Niebezpieczne wydaje mi się przeniesienie punktu ciężkości komunizmu i jego atrakcji wyłącznie w sferę procesów myślowych i idei. Położenie nacisku na ten czynnik ma sens w wypadku skomunizowanych intelektualistów i tu jednak nie należy tracić kontaktu z materialną rzeczywistością, z warunkami. Wystarczy przeczytać wspomnienia ex-komunistów tej kategorii by przekonać się, że motywem przyjęcia komunizmu była u nich moralna indygnacja i wiara w lepsze jutro — i jedno i drugie związane ściśle z gospodarczymi, społecznymi etc. warunkami. Nie spotkałem jeszcze wypadku w którym komunizm zostałby uznany za prawdziwy, w toku procesu umysłowego podobnego temu jaki skłania nas do przyjęcia twierdzeń Euklidesa.

Sytuacja zmienia się w wypadku mas. Przewagę biorą nie intelektualne przekonania a zracjonalizowane emocje i pragnienia oparte na doświadczeniu życiowym. Przyjrzyjmy się także temu co obiecują i do czego apelują agentury kominformu. Pisząc to nie mam zamiaru pomniejszać roli i znaczenia idei i procesów świadomości w kształtowaniu się światopoglądów. Chcę natomiast znaleźć właściwe dla nich miejsce. Idea systemu społecznego, jak sama nazwa wskazuje, jest wytworem myśli. Realizacja jej zależy jednak także od czysto materialnego czynnika, od warunków. Proporcja różnić się będzie w poszczególnych wypadkach i nie ma sensu szukania uniwersalnej formuły. Nie mogą wyobrazić sobie skuteczności gołych argumentów za fałszywością komunizmu (makulatura tego typu rośnie z roku na rok) i karności nad wyższością i zaletami systemu reprezentowanego przez Zachód skierowanych np. do Murzynów Południowej Afryki.

Wtórny charakter stosunków gospodarczych może być przyjęty w następującym sensie : urabiają one w pewnych wypadkach masę, czynią je gotowymi na przyjęcie totalitarnych rozwiązań i mesjanistycznych systemów bez ścisłej determinacji. Ile jedna determinacja ta jest wynikiem procesów świadomości a ile propagandy, jest tajemnicą polityków.

Cambridge.

Tadeusz GIERYSKI

P.S. Pragnę podziękować p. Stermińskiemu za zwrócenie mej uwagi na bardzo interesującą książkę i za bardzo przejrzyste streszczenie jej głównych punktów.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wspomnienia Korbońskiego (w 71 Nrze *Kultury*) o „Swicie” w Polsce były nadzwyczaj ciekawe i — warto podkreślić — doskonale napisane. Ale...

Ale dlaczego p. Korboński pisze o 2 poległych radio-nadawcach „Ziutek” i „Mirek”. Chciałoby się znać nazwiska tych bohaterkich chłopców. Okrzeją przeszłość do historii! Ci dwaj młodzieńcy zasłużyli na to w najmniejszym stopniu. Potraktowanie ich anonimowo jest niestosowne i krzywdzące.

Dlaczego z dziejów walki podziemnej mamy znać nazwiska tylko przywódców. Ci skromni szeregowi są częstokroć o wiele wspanialszymi postaciami.

Łączę wyrazy szacunku.

Karol ZBYSZEWSKI

P.S. A swoją drogą „Tajemnica Naczelnego Wodza”, czyli fakt, że „Swit” jest w Anglii, był nam, Polakom w Londynie, powszechnie wiadomy. Nie ma tajemnicy, gdy jest w nią zamieszany Janusz Laskowski. A pracował on w „Swicie”...

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę przede wszystkim pogratulować Panom ostatniego numeru „Kultury” poświęconego kulturze amerykańskiej.

Jestem tutaj zaledwie 1 1/2 roku, więc trudno byłoby mi rywalizować w opiniowaniu życia kulturalnego Stanów z ludźmi tego kalibru co np. pp. Wittlin i Wańkiewicz. Nie mniej uważam, że teatr, balet, muzyka baletowa, malarstwo i literatura amerykańska oraz nowy film potrafią zaspokoić najwytrawniejszego smakosza europejskiego wychowanego na Eliocie, Bartoku, Klee itd. Europy nie warto natomiast przyrównywać ze Stanami w dziedzinie faktów związanych z techniczną stroną udostępniania tzw. szerokim masom wartości kulturalnych. Muzea, do których wstęp jest bezpłatny, świecą przepychem bogactwa i posiadania. Zespoły najlepszych orkiestr symfonicznych ściągają w okresie letnim tysiące ludzi na bezpłatne koncerty po wszystkich miastach tego kontynentu. Pewne stacje radiowe (tzw. FM) nagrywają z płyt codziennie przez 16 godzin najlepszą muzykę świata bez wtrącania w to ogłoszeń reklamowych, co niestety potrafi obrzydzić słuchanie muzyki na małym aparacie radiowym (AM). Wystawy retrospektywne poświęcone jak ostatnio Legerowi dają w dorobku artysty bodajże wszystko! Koszta związane ze sprowadzeniem obrazów rozsianych po wszystkich większych miastach Ameryki i Europy oplacają miasto i fabrykanci. Najbogatsze firmy w Chicago utrzymują np. dom artysty wyposażony w pracownię malarskie, mieszkania dla artystów, drukarnię itd. Artysta zarabia reklamą której wartości artystycznej są naprawdę duże. Dochodzę do tych wniosków na podstawie własnej praktyki, ponieważ pracuję w dużej drukarni amerykańskiej, której podstawowym zamówieniem są magazyny medyczne firmy Abbot, drukowane w kilku językach. W związku też z Abbottem pragnąłbym donieść Panom, że nazwisko jego pod reprodukcją Shana podane zostało mylnie. Natomiast techniczne reprodukcje Shana powiększają w dwójnasób wartość ostatniego nr „Kultury”. Są świetnie wykonane. Upierałbym się jedynie, że dobór wierszy w dziale poetyckim jest zbyt jednostronny. Osobiście w poezji amerykańskiej dopatruję się największych i najoryginalniejszych wartości w jej relatywizmie, podcienionym dość ostro nutą sarkazmu i satyry (lirycznej). Awangardowe wielosłowie nie wytrzymało próby w zetknięciu z rzeczywistością po drugiej wojnie światowej. Będąc w Museum of Modern Art w N. Yorku śledziłem

z najwyższym zainteresowaniem reakcje młodej inteligencji amerykańskiej, studiującej Guernicę oraz obszerne noty, zajmujące bodajże całe boczne skrzydło sali wystawowej. Ktoś z naszych młodych poetów tłumaczył nie dawno wiersze Ezry Pounda. Nie rozumiejąc zbyt dobrze jego awangardowych przenośni pomnożył je o kilkanaście polskich banałów poetyckich. Dlaczego nie tłumaczył jego MOEURS CONTEMPORAINES, które tchną atmosferą lirycznej kpiny Morgensterna i... kto wie czy nie wywodzą się z tej samej apoteozy, która jest udziałem najciekawszych malarzy współczesnych i poetów. Z tego gatunku wywodzi się również większość wierszy Karola Shapiro, redaktora chicagowskiej „Poetry”. Chętnie widziałbym właśnie w tłumaczeniu Miłosza wiersz wspomnianego autora pn. THE PROGRESS OF FAUST, zawierający drobne polonica.

Przesyłam wyrazy prawdziwego szacunku

Jan LESZCZA

A słoń gdzie ?

Kiedys w reportażu z kresów napisałem z zachwytem, że zastałem potomka senatorskiego rodu na traktorze i że wprowadziwszy mnie do domu, pokazywał mi portrety przodków usmolonym w smarze palcem.

Zdawało się — pochlebne zestawienie. Dziedzic jednak obraził się, że ma brudny palec.

St. Mackiewicz napisał o Żeligowskim, że przyjechał do oddziału będącego w opałach i ujrzawszy kuchnię połową, powiedział swoim kresowym akcentem: „Nu, tak zjemy najpierw ta zupa”. Zdawało się — piękny skrót, malujący opanowanie dowódcy. Żeligowski jednak obraził się, że wyśmiewają jego polszczyznę.

Podstawowe pojęcia socjalne uzyskują prawo obywatelstwa równie powoli, jak i poszczególne słowa.

O swojej życiowej drodze lubi mówić i zastużony twórca Fundacji Kościuszkowskiej, który nieraz podkreśla, że przybył do USA jako syn fornala i oto do czego doszedł własnym ciężkim wysiłkiem.

I raptem — znajduje obrońcę przede mną nie w jakimś zmanierowanym dipisie, który „całuje rączki” i uważa, że o czymś takim mówić nie wypada, tylko w panu Bartoszu, miłym panu Bartoszu, u którego w Stevens Point spożywałem polskie szynki na Wielkanoc 1939 r., który bronił mnie listem do prasy przed atakami (o ile pamiętam „Czerwonego Hrabiego” Drohojowskiego).

Nie odpowiadałbym na ten list. Zwykle nie odpowiadam na listy w mojej sprawie, bo zwykle wyjaśniać nie ma co (np. ostatnio listy pp. Hemara, Pawlikowskiego itd.). Ale korzystam z tego raclawickiego ataku, żeby przy okazji załatwić inną sprawę.

Pan Bartosz wyklóca się ze mną o jakieś inicjały. Muszę mu powiedzieć w sekrecie, który zresztą jest sekretem poliszynela, że chodząc po muzeum amerykańskim przeze mnie roztasowanym, spostrzegł robaczki, a nie zauważył słoń, ściślej — brakujących słoń.

Cóż znaczą przekrecone inicjały wobec np. pominięcia wśród muzyków Rodzińskiego (boję się p. Bartosza, nie stawiam inicjału), którego przecie znam osobiście, albo p. Reni Lorentowiczówny, której obrazy znajdują się w muzeach Chicago, Filadelfii, wystawiane w Metropolitan Museum, której ilustracje zdobią tegoroczną „Book of the Year”, a która, co najgorzej, dekorowała przed wojną bibliotekę w moim własnym domu!... No proszę... „Ty niedługo zapomnisz jak się własna żona nazywa” — brzmi dydaktyczny smrodek.

Łażę więc nasiąknięty ruganiem rodaków, jak „bohaterscy lotnicy” — rozgotowanymi kurami na „bankietach”, jak Pawlikowski — „azjanitami”, politycy — legalizmem lub, dla odmiany „mandatami”, dział literacki „Orla Białego” — grafomania, Londyn — nagrodami literackimi, kierownicy radiów — pobożnymi życzeniami, a partycypanci dyskusji przy okrągłym stole — bezradnymi pochrząkiwaniami. W nocy mnie budzą telefony egeryj grożących „otwartymi listami”, prasa, którą w czambuł i umyślnie pominięciem poszukuje oselek do naostrzenia noży i jeden tylko Ben-Akiba Yolles dobrotliwie stwierdza : „A jakby pan włożył w pisanie o nich, to jeszcze gorzej by pan nie wylazł”. Takich oto tam brak słoni, a tu chmurzyska zmieniają się w letni bartoszowy deszcz: X a nie K i M, a nie N.

A przecież ciekawe : w „Kulturze” zamieściłem trzy essaye o Ameryce, w „Wiadomościach” drugie trzy na tenże sam temat. Pisałem tam rzeczy dzikie : że Ameryka przestaje reprezentować cywilizację europejską, że kościół nie można utożsamiać z tą cywilizacją, że Ameryka przechodziła te same procesy materialistyczne, jakie przechodzi Rosja, tylko Rosja szła od kultury do cywilizacji, a droga Ameryki jest odwrotna, że Polacy są katalizatorem między cywilizacjami europejską i eurazjatycką, że rola emigracji jest większa niż nam się zdaje przez naszą kulturę organiczną, przeciwstawną kulturze nieorganicznej Ameryki, że zespół pojęć etycznych Ameryki, jej łapówkarstwo, ekscesy, sybarytyzm, pojęcie odwagi są objawami innej moralności, bo każda cywilizacja ma inną moralność, etc.

Ach, Boże, czegoż tam się nie nagała. I co ? Czy zatelefonowała jaka egeria per „ty idioto!” ? Czy kto zauważył te słonie bezsensów ? Nikt... Oczy rodaków spytanych czy czytali coś z tego robią się mętne i nie nastawione jak oczy noworodka. Zaglądam do listów czytelników w „Wiadomościach”, czytam „dajcie nam więcej Frylinga”. Listy z różnych krajów żądają więcej genialnego Bormana, a żebyż, cholera, jeden który napisał : „dosyć tych idiotyzmów Wańkowicza”. Przecie to tak przyjemnie kogoś wyśmiać. Ileżby dowcipasów napłodził bez głowy i ogona sam wielki pogromca Gombrowicza, Jan Ostrowski. No i nie widzi... Takiej okazji...

Jest pono sposób na przebudzenie śpiących w Tatrach rycerzy. Na szczęście znalazłem i ja sposób na obudzenie emigracji. Należy, po prostu, pomylić inicjały „M” i „N”.

Samego pana Bartosza gryzą widać wątpliwości, skoro pyta : „A może takie odchylenia wybacza się wielkim pisarzom”. Drogi panie — wybacza się... Nawet i niewielkim. Dlatego mógłbym i ja o to prosić. Ale za Boga tego nie robię, nie chcąc zatonać w niepamięci.

Dlatego „nie traćwa nadziei”, że równocześnie z tym moim listem znajdziemy w tymże numerze dalsze liczenie robaczków.

Melchior WANKOWICZ

Szanowny Panie Redaktorze !

Uprzejmie proszę o łaskawe zamieszczenie w najbliższym zeszycie *Kultury* uwag niniejszych, dotyczących artykułu pt. „Studia Sławistyczne w USA”, który się ukazał w numerze 7/69-8/70 ukazał.

Ponieważ ostatni zeszyt żadnego wyjaśnienia ze strony Redakcji w tej sprawie nie zawiera, czuję się w obowiązku podać do wiadomości czytelników *Kultury* co następuje.

Nie wchodząc w żadne szczegóły, których rozstrząsanie na forum publicznym uważam za niewłaściwe, ograniczę się do stwierdzenia tylko, że wyżej wymieniony artykuł został wydrukowany, pomimo wielokrotnie powtarzanych przeze mnie — w ciągu sześciu miesięcy — kategorycznych zastrzeżeń, bez uwzględnienia mojej korekty.

W związku z powyższym wnoszę poprawki do dwóch następujących ustępów :

1) Na stronie 29 zdanie, w którym wymieniam prof. Karpovicha, winno brzmieć : „Przez szereg lat wykładał historię Rosji, z uwzględnieniem Polski, Rosjanin, wnuk powstańca polskiego, prof. M. Karpovich, który mimo szczerej przyjaźni dla Polski siłą rzeczy mógł udzielać Polsce bardzo skromną część swej uwagi i wiedzy”.

2) Na stronie 31 ustęp dotyczący prof. Rosego powinien brzmieć : „Z tym większą radością należy wciąż jeszcze witać i cenić piękne dzieło prof. Rosego o Stanisławie Konarskim, mimo że ono przeszło 20 lat temu się ukazało”.

Wspomnę poza tym, ale już tylko mimochodem, o paginacji : poprzekreślane strony w ogłoszonym tekście mego artykułu uczyniły, że przeczytanie tego artykułu stało się łamigłówką, którą rozwiązać może chyba tylko autor. Nie będę korygował wręcz błędnych informacji o mnie, podanych w zeszycie „amerykańskim” *Kultury*, jako że nie chcę zajmować czytelnika moją osobą.

Chciałbym jednak zaznaczyć, że ta ostatnia gorzka przygoda nie jest pierwszą gorzką przygodą moją na terenie *Kultury*. Kilka lat temu moje studium „O prozie Puszkina” zostało wydrukowane bez uwzględnienia mojej ostatniej korekty, i co gorsze — jako rzecz po polsku przez mnie napisana, podczas gdy tekst w *Kulturze* ogłoszony był niudolnym, rojącem się od rusycyzmów przekładem — nie mego pióra — artykułu, który się ukazał w kwartalniku rosyjskim *Nowyj Żurnal*. Mimo moich próśb Redakcja *Kultury* i w owym wypadku żadnego wyjaśnienia nie zamieściła.

Krzywdy mi wyrządzonej dawniej i ostatnio nikt mi nie naprawi. I nie o to już mi dziś chodzi. Podaję wszelako te fakty do wiadomości czytelników *Kultury*; z motywów mniej osobistych niż ogólnych. Często w czasach ostatnich stawiam sobie pytanie : na czym polegają — poza nakreśleniem ogólnej linii czasopisma i koncytowaniem zeszytów — właściwe zadania redaktorskie, i jakie są zwłaszcza obowiązki redaktora w stosunku do autorów, którzy *bona fide* powierzają mu swe dzieła i nazwiska ? Lekceważenie tych zadań i *obowiązków*, Panie Redaktorze, może zrazić do *Kultury* tych, którzy cenią w piśmie Pańskim rozmaite i liczne jego zalety.

Zeche Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

W. LEDNICKI

P.S. Nawiasowo zaznaczę, że artykuł M. Wańkowicza, skądinąd nader interesujący, zawiera wiele nieścisłości faktycznych i chronologicznych; co prawda autor wciąż się posługuje *praesens historicum*, co może jego samego ratuje, ale czytelnika od konfuzji nie ratuje... M. Wańkowicz pisze :

„Prof. Taubenszlag... wydaje, etc.” (podczas gdy prof. Taubenszlag od szeregu lat jest w Polsce);

„Polski Instytut Naukowy wydaje *Poems of Adam Mickiewicz* pod redakcją George Rapall Noyesa” (książka ta wyszła w r. 1944);

„Prof. Krzyżanowski wykańcza i wydaje książkę R. Dybowskiego *Poland in World Civilisation*...” (dzieło naszego znakomitego anglisty Romana Dyboskiego, a nie „Dybowskiego”, w nowym wydaniu pod redakcją Dr L. Krzyżanowskiego, ukazało się w r. 1950).

I znów nie po to żeby swoją osobą zajmować czytelnika, ale po to, by dać jeszcze jeden przykład niedociągnięć redakcyjnych, że tu użyję eufemistycznego określenia, przytoczę szczegół następujący : w notatce redakcyjnej *Kultury* czytamy, że *Panlawizm* jest moją ostatnią książką, wydaną w r. 1949. M. Wańkowicz pisze : „W. Lednicki... *teraz wydaje po angielsku*

książkę o ideologiach europejskich". W rzeczywistości w r. 1948 wyszło moje studium pt. „Panslavism” w książce zbiorowej *European Ideologies*. M. Wańkiewicz pisze o „uniwersytecie Berkeley” — takiego uniwersytetu w Ameryce nie ma. Berkeley jest natomiast siedzibą centralną jednego z największych uniwersytetów — jeśli nie największego na świecie — Uniwersytetu Kalifornijskiego itp.

Nadmienię że Redakcja *Kultury* otrzymała w swoim czasie z najbardziej autorytatywnych źródeł wszystkie biograficzne dane dotyczące autorów, którzy wzięli udział w zeszytach „amerykańskim”. Zdawałoby się, że przynajmniej ten szczególnie reprezentacyjny zeszyt, choćby ze względu na dobór wybitnych nie polskich autorów, zasługiwał na bardziej dokładną i ostrożną „robotę” ze strony Redakcji.

W. L.

Szanowny Panie Redaktorze !

W swoim wywiadzie, p. Jeleński podał kursywą, jako wypowiedź gen. Weyganda : „przewieźliśmy z Francji do Polski przez Niemcy sześć dywizji Hallera”, co jest niezgodne z prawdą. W 1919 r. z Francji do Polski przewieziono tylko 3 dywizje bojowe i zaczątki organizacyjne następnej dywizji, a tak zwaną „Dywizję Instrukcyjną”.

Do Polski w 1919 r. przybyły : 1-sza Dywizja Strzelców, 2-ga Dywizja Strzelców i 6-ta Dywizja Strzelców ; w składzie bojowym.

Zastanawia każdego ten przeskok w numeracji, tak jak i mnie 34-y lata temu. A stało się tak, ponieważ powstałe we Francji dowództwo armii polskiej, z tytułu swoich kontaktów z polskimi organizacjami wojskowymi poza Krajem, po zorganizowaniu już i 2-giej Dywizji Strzelców (1-sza była zorganizowana w 1918 r.), projektowało możliwość zorganizowania 3-ciej Dyw. Strz. na Murmaniu (skończyło się na Baonie Murmańskim), organizującej się na Kubaniu dyw. gen. Żeligowskiego nadało kolejny numer 4-ty Dywizji Strzelców, a polskiej dywizji na Syberii nadało numer 5-ty Dywizji Strzelców (każdy z tzw. „Żeligowczyków”, czy „Sybiraków” nosił na swoich odznakach pamiątkowych inicjały : „4 D.S.P.” i „5 D.S.P.”). W konsekwencji tego i nadano numer kolejny 6-tej, tej dywizji we Francji, która była zorganizowana po 2-giej dywizji.

Również kursywą podał p. Jeleński oświadczenie gen. Weyganda : „Piłsudski zniszczył to małe wojsko, zapewne zazdrosny o rolę, którą mogło odegrać”, co moim zdaniem, jako byłego żołnierza tego wojska, nie odpowiada prawdzie również.

Każdy, kto był w Polsce, na wiosnę 1919 r., na pewno wie dobrze, jak bardzo się przydały dywizje hallerowskie, rzucone na front, na Wołyniu i w Małopolsce.

W 1920 r. chlubnie się zapisały w historii tej wojny, w walkach i rozgromieniu konnej armii Budiennego : 13-ta Dywizja Piechoty (b. 1-sza Dyw. Strz.) i 18-ta Dywizja Piechoty (zorganizowana, po uzupełnieniu „Dyw. Instruk.”). A 12-ta Dywizja Piechoty (b. 6-ta Dyw. Strz.), pod świetnym dowództwem ówczesnego płk. Januszajtisa, zadziwiająco walczyła w Małopolsce, wiążąc pracę na Lwów masy bolszewickie (nawet będąc odciętą przez parę dni od reszty naszego wojska).

Jedynie 11-ta Dywizja Piechoty (b. 2-ga Dyw. Strz.) i to brygada składająca się z 46 i 47 pułków piechoty, które skompromitowały się podczas odwrotu znad Berezyny, lecz zrehabilitowały się pod Radzyminem, nie wyniosła ta dywizja większej chwały wojennej.

W liście za mało miejsca na podanie bardziej ciekawych i pięknych szczegółów, dotyczących walk byłych hallerowskich dywizji.

O „zniszczeniu” mowy być nie może. A jeżeli gen. Weygandowi zależało na „roli” politycznej, jaką dywizje hallerowskie mogłyby w Polsce odegrać, to, ta ciężka sytuacja naszego Kraju, powstającego z niewoli, w chaosie, jak również okres początkowy organizacji sił zbrojnych w ogóle, a gdy trzeba było bronić się przed napastnikami, na wykorzystywanie wojska do celów politycznych nie pozwalały, pod żadnym warunkiem.

Gen. Weygand przybył do Polski w 1920 r. dopiero i widocznie wiadomości o losach dywizji hallerowskich czerpał od ludzi takich, którym zależało na oczernianiu osoby Marszałka Piłsudskiego.

Pozwolił sobie p. Jeleński na oświadczenie generałowi, że : „Bitwa Warszawska wciąż jeszcze żywo jest omawiana przez naszych historyków”. Ciekaw jestem, jakich to historyków i to w liczbie mnogiej, p. Jeleński ma na myśli ? Czy nie reżimowych, którym tak bardzo zależy na przeinaczeniu faktów historycznych ? Wydaje mi się, że poza gen. Kukielem, nikogo by nie wymieniał. Ale pytanie, czy oświadczenie, tak prowokujące postawione, że gen. Weygand szybko się zorientował z kim ma do czynienia, no i użył sobie.

Dla mnie zastanawiające jest oświadczenie gen. Weyganda, że : „Myślę, że mogę twierdzić, iż gdyby nie nasza interwencja, nie doszłoby do Bitwy Warszawskiej”. Ale u kogo interwencja ? Chyba u tych, którzy chcieli skłonić Marsz. Piłsudskiego do prośnienia Bolszewików o pokój ? No, bo jeżeli chodzi o Marsz. Piłsudskiego, to możemy być pewni, że gen. Weygand nie potrzebował interweniować. Tym bardziej, że sam przecieć w 1940 r., w swoim kraju, we Francji, w starym państwie, z starą i bogatą w tradycje wojenne siłą zbrojną, nie potrafił należycie „interweniować”. Lepiej byłoby, gdyby już o tej interwencji, po swojej własnej katastrofie w 1940 r., nie mówił, i nie poważał się na krytykę Marsz. Piłsudskiego, któremu przecieć nawet doradzić niczego nie był w stanie; do czego zresztą przyznał się gen. Weygand.

Gen. Weygand potrafił pompatycznie powiedzieć o bardzo dobrej współpracy z gen. Rozwadowskim, szefem sztabu Naczelnego Wodza, a mianowicie, że gen. Rozwadowski towarzyszył mu „codziennie w kampanii”. Zapomniał generał, że urzędując na Placu Saskim, miał swego orędownika gen. Sosnkowskiego, który go godził z gen. Rozwadowskim, jako że dochodziło do tego, że ich kontakt ograniczał się do przesyłania z jednego do drugiego pokoju pism służbowych, a co złośliwie nazywał Marsz. Piłsudski „notami”.

Lepsze miałem wyobrażenie o gen. Weygand, o wiele lepsze. Ale wypowiedzi w wywiadzie udzielonym p. Jeleńskiemu, całkowicie rozszyfrowały mi generała.

Ubolewam tylko nad tym, jaki to zamęt musi powodować w umysłach naszych młodych ludzi, czytających takie wywiady, którzy w okresie niepodległości naszej Ojczyzny, byli za młodzi, aby zdawać sobie sprawę z tego, co się w Kraju działo.

Na tym kończę, załączam wyrazy poważania.

Tadeusz TCHÓRZEWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Janusza Jasieńczyka pt. „Agitować czy propagować?”, który bardzo starannie i pracowicie zanalizował działalność tak zwanego Głosu Wolnej Polski, wydając mu na wstępie świadectwo moralności, w którym czytamy, że „z punktu widzenia polskiej racji stanu rozgłośni G.W.P. nic zarzucić nie można”. Wprawdzie także p. Jasieńczyk wolałby w tej rozgłośni nie słuchać wystąpień Mi-

kołajczyka — ponawianego przez znaczną część czy nawet większość emigracji — o zdradę stanu, ale to uchybienie autor artykułu przebacza.

Z dalszych jego wywodów okazuje się, że istnieją również inne uchybienia. Oto cały program radiostacji oparty jest na nieznajomości potrzeb i sytuacji w Kraju i zbudowany wedle ścisłych szablonów amerykańskich nie stosownych dla Polski i jej słuchaczy w ujarzmionym kraju.

P. Jasieńczyk nie wierzy, aby trafne sugestie w sprawie reformy tego stanu rzeczy miały szanse szybkiego zrealizowania.

Autor zapytuje, do czego właściwie radiostacja ma służyć? I do czego — „na miłość boską” — agitować?

Otóż w tym właśnie tkwi sęk. Zdawać by się powinno, że „Głos Wolnej Polski” winien zarówno znać potrzeby Kraju, jak po dłuższym okresie czasu dostosować się do sytuacji istniejącej w Polsce tak, aby akcja radiowa z zagranicy uzyskała określone i wyraźne cele.

Jeśli kwestionuje się charakter tego rzekomego Głosu Wolnej Polski — to właśnie dlatego, że nie wiadomo, do czego głos ten nawołuje i do czego ma służyć z punktu widzenia interesu polskiego. To wszystko, co p. Jasieńczyk wyróżnił w programach radiowych z Monachium i New Yorku — może nie budzić nawet zastrzeżeń.

Ale otwarte pozostaje pytanie: o co w tym wszystkim chodzi?

Na to pytanie odpowiedzi nie ma, chociaż Polacy pracujący w radio tak zwanego „Głosu Wolnej Polski” mogliby pojedynczo na pewno odpowiedzieć, gdyby ich pytano, o co idzie Polakom przebywającym na emigracji, żyjącym w Kraju i wspólnie oczekującym na wiadome im rozwiązanie.

Niestety te cele w „Głosie Wolnej Polski” wyrazu swego nie znajdują, ponieważ nie są to cele uznane przez dysponentów głosu tak zwanej „Wolnej Polski”.

Nie tylko to, co się mówi i słyszy w audycjach tego „Głosu”, ale także to o czym się nie mówi i o czym nie słyszy w radiostacji monachijsko-nowojorskiej — musiałoby zostać sumiennie odważone, aby dojść do wniosku, o ile ten „Głos” jest głosem wolnej Polski, a nie tylko głosem amerykańskim mówionym przez Polaków.

I w tym tkwi istota zagadnienia tej sprawy. Badania statystyczno-krytyczne są w tym problemie ciekawym i może pożytecznym studium, lecz byłoby dużym ryzykiem — nawet w świetle analizy p. Jasieńczyka — wydawać o „głosie” tak zwanej wolnej Polski opinię, że jest to rzeczywiście wolny głos. Spór nie toczy się o to, czy stacja monachijska ma dobre czy złe programy, ale o to czy reprezentuje ten tytuł, jaki sobie przywłaszczyła, nie przedstawiając rzeczywistego stanowiska polskiego, ale tylko jego cząstkę, mniej istotną i ważną, a ukrywając resztę prawdy, o której Kraj winien wiedzieć, bośmy mu to winni.

Łączę wyrazy poważania

Klaudiusz HRABYK

Do Szanownej Redakcji Kultury,

W artykule pana Józefa Pretwica „Radio i Radioci”, jaki ukazał się w numerze wrześniowym „Kultury” wśród stacji radiowych, jakie nadają programy polskie wymieniono również Montevideo, z zaznaczeniem w dalszym ciągu, „że żadna z tych stacji nie jest polska: wszystkie są finansowane przez rządy i radiofonie obce”.

W związku z tym pragnę stwierdzić, jako ten, co niemal od początku istnienia Radia polskiego w Montevideo, to jest od dziewięciu lat, interesował się stroną finansową tego radia, a od trzech lat prowadzi sam jeden administrację funduszami Radia, że audycje radiowe polskie w Montevideo

nie korzystają i nigdy nie korzystały z żadnej pomocy finansowej obcej a wyłącznie tylko utrzymują się dzięki ofiarności kolonii polskich w Urugwaju, Brazylii i poniekąd Argentynie. Dodaję przy tym, że kierownik tego radia pan Czesław Straszewicz pracuje całkowicie bezinteresownie.

Z prośbą o łaskawe opublikowanie tego sprostowania pozostaję z poważaniem

W. MAZURKIEWICZ, minister pełnomocny

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Juliusz MIEROSZEWSKI nous parle du procès Kaczmarek et de cette « technologie des âmes » qui enlève à l'homme sous l'empire soviétique jusqu'à la liberté d'un choix ultime : celui de mourir en héros.

L'écrivain ukrainien Juryj SZERECH, professeur à l'université de Harvard, compare l'image que se forme de l'Amérique l'homme soviétique à la vision des Soviets vus par l'Américain. Il analyse un recueil de poèmes consacrés à l'Amérique par Andrij Malyszko, poète soviétique, et un roman de l'Américain Blunden sur la vie en U.R.S.S. En dépit des progrès technologiques — maintient Szerech — le mythe prédominant chez l'homme soviétique, c'est ce « populisme » dont les origines remontent à « l'intelighentsia » russe du XIX^e siècle. C'est ce complexe, joint à un primitivisme général, qui est à l'origine de l'incapacité totale de l'homme soviétique à comprendre l'Occident. L'Occidental ne comprend pas l'univers soviétique, car, de son côté, il considère ce « populisme » comme un trait organique de la société soviétique, ou alors il l'attribue à des complications imaginaires d'une « âme russe » abstraite.

Witold GOMBROWICZ note, dans ses « Fragments d'un Journal », des événements de sa vie quotidienne en Argentine. Mais, de même que dans ses romans, c'est toujours une vision du monde qui est remise en question dans ces notes par cet écrivain d'une sincérité bouleversante.

Parmi les poèmes publiés dans le présent numéro, il y a une traduction de la « Ballade » consacrée par le poète allemand Rudolf HAGELSTANGE à ces soldats de la Wehrmacht qui sont restés enterrés vifs pendant six ans dans un refuge anti-aérien à Gdynia. Hagelstange y fait un examen de conscience allemande d'une poésie profondément humaine.

Pawel HOSTOWIEC examine les véritables implications des récentes élections allemandes.

L'étude que l'ambassadeur Michal SOKOLNICKI consacre aux origines de la deuxième guerre mondiale et aux dessous de la politique allemande de 1933 à 1945, est basée sur tous les témoignages allemands et étrangers publiés depuis la guerre. L'étude des complots contre Hitler et des intentions politiques de « l'opposition » anti-nazie envers la Pologne est d'un intérêt particulier.

Le correspondant de « Kultura » à Londres proteste contre les mesures « macarthystes » adoptées par l'émigration polonaise « officielle » envers les réfugiés politiques arrivés récemment de Pologne. Si la défense contre une conspiration communiste est naturelle à l'Occident (où l'on devient communiste de sa propre volonté), il semble qu'une discrimination entre les membres du parti et ceux qui ont eu la possibilité de ne pas y appartenir est absurde à l'égard de réfugiés des pays sous le joug soviétique.

K. IRANEK-OSMECKI ajoute des notes importantes à la documentation historique de l'insurrection de Varsovie en 1944. Il témoigne, entre autres, qu'il n'y a pas eu, pendant l'insurrection de Varsovie, d'unités ukrainiennes du côté des Allemands.

Maciej FELDHUZEN évoque, avec un esprit souvent mordant, les années qu'il a passé en Ecosse comme simple soldat attaché à des bureaux de divers états-majors polonais pendant la dernière guerre.

Le numéro contient en outre une abondante chronique culturelle et littéraire. Nous nous bornerons ici à signaler un livre : « *What Europe thinks of America* » (The John Day Co., New York, 1953), dans lequel James BURNHAM a rassemblé neuf essais d'écrivains européens. Les essais de nos collaborateurs Joseph Czapski et Juliusz Mieroszewski et de notre ami ukrainien Juryj Szerech y figurent à côté de ceux des Français Raymond Aron et Jules Monnerot.



Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4^e trimestre 1953

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Skiadnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guaiará 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV ^e	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar- cil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winni- peg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkow- iec” (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann- heim-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 2-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kalkskärgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew- Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali- fornia; S. Działczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dżewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Bar- bara, California; M. Szyprowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokółowski, 4856 E. Stiles St Philadelphia 37 Pa.; Polish Ame- rican Book Center, 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/ 171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trie- ste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

Nowości

“ Biblioteki Kultury ”

Czesław STRASZEWICZ
**TURYŚCI
Z BOCIANICH
GNIAZD**

str. 256 — cena 650 frs. (13 sh., 2,00 dol.)

**Nagroda Związku Pisarzy Polskich
na Obczyźnie
na rok 1953**

UFUNDOWANA PRZEZ KOŁO B. ŻOŁNIERZY
ARMII KRAJOWEJ W DETROIT, USA.

Czesław MIŁOSZ
**ŚWIATŁO
DZIENNE**

Wiersze

str. 160 — cena 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Cena 150 frs.